

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYZ

Nr 6/32

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

P. HOSTOWIEC — Essay dla Kassandry * Z. JORDAN —
Przebudowa ekonomiczna Europy Śr.-Wschodniej * J. CZAPSKI
— Łańcuch niewidzialny * J. MAŁANIUK — Kartki z notatnika
* J. KOWALEWSKI — Bodaj-eś ludzkie brudy sprzątał ♦
ARCHIWUM POLITYCZNE: WYWIAD Z GEN. WŁ.
ANDERSEM W SPRAWIE SKARBU NARODOWEGO ♦
OPINIE AMERYKAŃSKIE ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦
ARKUSZE POETYCKIE ♦ KLUB TRZECIEGO MIEJSCA
♦ KSIĄŻKI ♦ BIBLIOGRAFIA.

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Essay dla Kassandry</i>	5
Zbigniew Jordan:	<i>Przebudowa ekonomiczna Euro- py Środkowo-Wschodniej</i> ...	20
Józef Czapski:	<i>Łańcuch niewidzialny</i>	51
Jewhen Małaniuk:	<i>Kartki z notatnika</i>	62
Tymon Terlecki:	<i>«Pani Helena»</i>	67

ARKUSZE POETYCKIE

Marian Czuchnowski:	<i>Znałaś Kordiana</i>	77
»	<i>Przestroga</i>	78
»	<i>Nerwica</i>	78
»	<i>Oda</i>	79
»	<i>Obelga dla pisarza</i>	79
Józefa Radzymińska:	<i>Ciężar słów</i>	80

Janusz Kowalewski:	<i>Bodaj-eś ludzkie brudy sprzątał</i>	81
--------------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z wyspy</i>	100
	<i>Wywiad z gen. Andersem w sprawie Skarbu Narodowego.</i>	106

OPINIE AMERYKAŃSKIE

Tadeusz Sołowij:	<i>Bronie Ameryki</i>	111
Zygmunt Haupt:	<i>«The little magazine»</i>	118

SPRAWY KRAJOWE

Z.—W.:	<i>Rozkaz Nr 26</i>	122
Z.—W.:	<i>Sowietyzacja nauki</i>	125

KLUB TRZECIEGO MIEJSCA

Stefan Czaplński:	<i>Prosta odpowiedź</i>	131
-------------------	-------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Józef Ursyn:	<i>Spacer po domach wydawni- czych francuskich (II)</i>	135
Julius Epstein:	<i>Posiew zdrady</i>	141
Melchior Wańkowicz:	<i>Powieść o proroku-kolaborancie.</i>	145
Alexandra Orme:	<i>Doświadczenia węgierskiego Mi- kołajczyka</i>	151
Helena Heinsdorf:	<i>Kres wędrówki</i>	155

BIBLIOGRAFIA

Jan Kowalik:	<i>Polonica niemieckie (c. d.)</i>	158
—	<i>Od Redakcji</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1950

INSTYTUT



LITERACKI

Tak jak zwykle, następny numer KULTURY ukaże się w połowie lipca w zwiększonej objętości — jako numer podwójny (lipiec - sierpień 1950). Cena tego numeru wynosić będzie w sprzedaży detalicznej: we Francji — 200 frs., w W. Brytanii — 5sh; w Niemczech — 4 DMK.; w U.S.A. i Kanadzie — dol. 1,25; w Argentynie — 7 peso; we Włoszech — 300 lir.; w Belgii — 35 frs belg.

*Numer poświęcony
p. Auberonowi Herbertowi*

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Londyn

Essay dla Kassandry

Cieniom L. R.

I.

U starych autorów greckich Kassandra jest postacią symboliczną, przedstawiającą dramat wewnętrzny i bezsilność proroków.

W "Iliadzie" postać Kassandry jest zaledwie naszkicowana. W świecie homeryckim, gdzie bogowie prowadzą bohaterów za rękę ku sławie i zgubie, nie ma miejsca na dialog proroka z jego ludem. Dialog taki należy do świata republikańskiego. Tam dopiero występuje różnica między tym, który widzi, i jego niewidomym otoczeniem.

Postać Kassandry tragicznej jest tworem wyobraźni ateńskiej, wzrastającym i dopełniającym się w demokracji. Wśród zachowanych pomników literatury najczęściej mówi nam o Kassandrze Aischylos w "Agamemnonie" i Euripides w "Trojankach".

Kassandrę, córkę Priama, nauczył przepowiadać zakochany w niej Apollon. "Walczył o moją miłość", mówi o nim Kassandra. Bóg o jasnych lokach nie był jednak szczęśliwy w miłości. Kassandra zwodziła go obietnicami. Mimo zawodu młody bóg uszanował jej powołanie do dziewictwa i nie odebrał daru przewidywania. Według Euripidesa Kassandra pozostała kapłanką Apollona aż do zburzenia Troi. Ponieważ nie dotrzymała danej młodemu bogu obietnicy, nikt więcej nie wierzył jej słowom.

Od chwili przybycia do grodu Priama pięknej Heleny, która porzuciła króla Sparty dla Parisa, i wynikłego stąd konfliktu między Troją i Grecją, Kassandra ostrzegała na próżno o zagładzie grożącej Troi i Priamidom. O tej części jej przepowiedni wiemy mało, ponieważ Homer, główny piewca wojny trojańskiej, nie przekazał nam tych szczegółów.

Po zdobyciu i zburzeniu Troi zwycięscy Grecy zabili wszystkich mężczyzn z rodu Priama i podzielili między siebie kobiety. Kassandra schroniła się wówczas do świątyni Pallas-Ateny, trzymającej podczas wojny stronę Greków. Ajaks ściągnął ją przemocą z ołtarza i dołączył do grupy Trojanek oczekujących na rozłosowanie. Jedną z pięknych waz greckich w Luwrze przedstawia tę scenę.

Profanacja świątyni Ateny i pozostawienie bez pogrzebu ciał poległych Trojan stały się punktem zwrotnym w losach armii greckiej, którą odtąd czekały same klęski. Cytowani tu autorzy greccy przekazali nam ówczesne pojęcia o obyczaju i szczęściu wojennym. W "Agamemnonie" na wiadomość o upadku Troi Klytimestra mówi o zdobywcach miasta: "Jeżeli uszanują bogów zwyciężonego kraju i ich świątynie, mogą nie obawiać się, że ze zwycięzców staną się z kolei zwyciężonymi". Euripides wkłada podobną myśl w usta Posejdona: "Tylko szalenie wyludnia i grabi miasta z ich świątyniami i grobami, czczonymi jako domy zmarłych, bo robi dokoła siebie pustynię i sam ginie w niej".

Obrażona Atena zwraca się przeciw Grekom i topi w morzu część powracającej spod Troi armii. Przy podziale kobiet Kassandra przypada w udziale Agamemnowi, królowi Argosu i dowódcy armii greckiej. Okręt jego przybywa szczęśliwie do kraju, ale zwycięski król wraca, aby zginąć z ręki własnej żony, Klytimestry, mszczącej śmierć córki, Ifigenii, którą ojciec złożył był w ofierze bogom dla zapewnienia powodzenia orężowi greckiemu. Z Agamemnonem przybywa do Argos Kassandra, mająca też zginąć z ręki Klytimestry.

Tu kończy się legendarna, trojańska część historii Kassandry i zaczyna część grecka. Od chwili zburzenia Troi i gniewu Ateny Kassandra nie przestaje przepowiadać śmierci wodza Greków i klęsk mających spaść na jego dom. Ta część historii Kassandry, zachowana u Aischylosa, jest obrazem realistycznym, dostosowanym do pojęć i warunków demokracji ateńskiej. Przepowiednie córki Priama i refleksje słuchaczy zajmują w nim równe miejsca.

Najdramatyczniejszą częścią "Agamemnona" jest długi dialog między Kassandrą i chórem złożonym z obywateli miasta Argos. Chór przedstawia zdanie większości, zdrowy rozsądek, opinię dobrze myślących obywateli. Dialog zawiązuje się w chwili, kiedy wracający spod Troi Agamemnon wszedł do pałacu, gdzie zostanie zamordowany w kąpielni. Kassandra, mająca zginąć z nim razem, spostrzega stojący przed bramą posąg Apollona Drogowego i wybucha skargą: "Biada mi, bogowie! Apollonie, Apollonie!... Opiekunie dróg, dokąd zaprowadziłeś mnie? Do jakiego domu?"

Z chóru pada na to uwaga, że skargi żałobne nie należą do kultu Apollona. Zachowanie się Kassandry wydaje się obywatelom nietaktowne. Jej sława proroka jest im znana, ale sądzą, że w ich mieście prorocy są zbędni.

Kassandra mówi im o zbrodni przygotowującej się w tej chwili wewnątrz pałacu. Słowa jej nie są wizją oderwaną od bezpośredniej rzeczywistości, ale powołują się na okoliczności poprzednie, znane obywatelom miasta. Chór nie zaprzecza jej rozumowaniu, ale odnosi się doń niechętnie: "Czy kiedykolwiek prorocтва przyniosły zwykłym śmiertelnikom jakąś pomyślną nowinę?"

W miarę rozwijania się dialogu obywatele zdradzają nawet dla Kassandry pewne współczucie i zainteresowanie. Pytają kto i kiedy nauczył ją przepowiadać przyszłość. Ten Apollon, powiadają, chociaż bóg, musiał być bardzo zakochany. Pytają czy żyła z nim jak z mężem. Córka Priama odpowiada, że dawniej wstydziłaby się o tym rozmawiać. Ha, dumny jest, kto żyje w zbytku, zauważa na to koryfeusz.

Dialog oddala się chwilami od rzeczy najważniejszej, jak gdyby obywatele chcieli odwlec spojrzenie w twarz rzeczywistości. Kiedy biadają nad niejasnością prorocтва, Kassandra powiada im wręcz, że zobaczą śmierć Agamemnona.

"Milcz, nieszczęśliwa!" — odpowiada koryfeusz. "Niech bogowie bronią nas od tego". Na to Kassandra: "Ty wypowiadasz życzenia; oni przygotowują zabójstwo". Ale i te słowa wydają się obywatelom niejasne. Pragnęliby wiedzieć jak zabójcy zamierzają wykonać swój zamiar.

Czując nadchodzącą godzinę śmierci, Kassandra wstaje i zbliża się do bramy pałacu. Obywatele Argosu nie są bez serca i radzą jej uciekać. "Nic nie potrafi mnie ocalić", mówi Kassandra. "Co mi przyjdzie po jeszcze jednej godzinie?" "Ostatnia godzina ma najwyższą cenę", odpowiada sentencjonalnie chór. Otoczona przez obywateli miasta Kassandra nie oczekuje od nich żadnej pomocy. Jest wśród nich samotna w obliczu losu. Liczba nie ma tu znaczenia. Myśl ta zdaje się przenikać ostatnie sceny dramatu.

Chór pozostaje zresztą nadal sceptyczny. Kassandra cofa się od bramy pałacu. Węszy tam zapach zbrodni i świeżo rozlanej krwi. Choreuci sądzą, że jest to zapewne zapach ofiar złożonych bogom w sieni pałacu. Kassandra żegna ich, prosząc aby dali świadectwo jej cierpieniu i śmierci, po czym wchodzi do pałacu.

Po odejściu Kassandry chór ubolewa przez chwilę nad losem człowieka, gdy z głębi pałacu daje się słyszeć krzyk Agamemnona wołającego, że umiera zamordowany. I tu jednak obywatele cofają się przed przyjęciem tego faktu do wiadomości. Dotąd zwarty w swej postawie sceptycznej i wyczekującej, chór rozbija się na kilkanaście głosów:

„Zbrodnia została dokonana. Głos króla nie zostawia wątpliwości. Przyjaciele, zbierzmy się na naradę... Moje zdanie jest: zwołajmy obywateli: „Wszyscy na pomoc! Do pałacu!”... Biegnijmy zaraz do pałacu, aby złapać morderców na gorącym uczynku!... Jestem tegoż zdania: działajmy, nie ma co zwlekać... Czekajmy i patrzmy: to dopiero początek zapowiadający w naszym mieście rządy tyrańskie... To dlatego, że zwlekamy i pozwalamy im działać... Nie wiem sam co radzić. Nawet ten kto chce działać musi się przed tym namyślić... Jestem tegoż zdania. Słowami nie obudzimy już zmarłego... Jakto? Dla przedłużenia marnego życia mamy korzyć się przed władcami okrywającymi hańbą ten patac?... Wstyd! Lepiej zginąć niż znosić tyranie!... Tak, ale jeden okrzyk nie daje nam przecież pewno-

ści, że nasz król nie żyje... Oburzać się warto dopiero wówczas, gdy się wie na pewno, my zaś bawimy się w przypuszczenia... Chciałbym poprzeć to zdanie. Nasamprzód musimy dowiedzieć się dokładnie co się stało z królem..."

Szarpany rozbieżnymi radami chór nie porusza się z miejsca. W drzwiach ukazuje się tymczasem Klytaimestra z mieczem w ręku, obwieszczając śmierć Agamemnona i Kassandry. Chór protestuje. Wzywa ją do opuszczenia miasta. Klytaimestra broni się, wysuwając różne argumenty. Chór przyznaje im nawet częściowo rację. Dyskusja trwa pewien czas. Wreszcie na scenę wchodzi kochanek królowej, Aigistos, z kilku zbrojnymi zapowiadając, że kajdany i wikt więzienny ulecą niebawem obywateli Argosu od niepowściągliwości języka. Dramat kończy się na tej groźbie.

Wersja ateńska dramatu Kassandry jest racjonalistyczna, pozbawiona pierwiastków legendarnych i nadprzyrodzonych. Wróżby Kassandry nie są wizjami Cazotte'a, lecz raczej trafnym rozpoznaniem znanych składników sytuacji i ich najbardziej prawdopodobnych skutków. Nieufny i podejrzliwy stosunek do nich obywateli nie jest dla Aischylosa skutkiem zemsty Apollona, ale właściwością każdego zgromadzenia Greków. Myśl tę autor przeprowadza konsekwentnie, bo każe chórowi z tą samą niewiarą przyjmować przepowiednie Kassandry co fakty najbardziej oczywiste.

W tym ujęciu dramatu Kassandry jest jednym z wciąż aktualnych, powtarzalnych składników naszej cywilizacji, zależnych od mechanicznych warunków ludowladztwa.

Stąd znajdujemy u Aischylosa tylu przebranych za Greków znanych. W scenie pytań chór przedstawia "ochlos" grecki, ludzako podobny do bezmyślnych i okrutnych tłumów wypełniających nasze stolice. Scena ta mogłaby być wzorem Dostojewskiego.

Jeszcze bliższa naszych czasów jest narada chóru po zamordowaniu Agamemnona. Gdybyśmy ubrali choreutów Aischylosa w maski obecnych ochlagogów, z ich nosami, wąsami, okularami i fryzurami, "różne głosy" obywateli Argosu wydałyby się nam dziwnie znajome. Niemal w tych samych wyrazach obecne chóry demokratów odpowiadały na relacje z obozów koncentracyjnych i na wieści o niebezpiecznych przygotowaniach dyktatorów. Brakło wśród nich tylko choreutów radzących natychmiast biec do pałacu.

II.

Świat antyczny przekazał nam w spadku dwie koncepcje wróżb i przepowiedni: jedną opartą na wierze w potęgę nadprzyrodzone różnych stopni i rodzajów, mających dostęp do spraw przyszłych i gotowych za niewielką opłatą udzielić zainteresowanym użytecznych wskazówek; drugą racjonalistyczną,

opartą na obliczalności procesów natury i naszej domniemanej zdolności przewidywania skutków mogących wyniknąć z czynów i sytuacji.

Pierwszy rodzaj wróżb był w starożytności szeroko eksploatowany przez wtajemniczonych różnych stopni operujących w świątyniach i innych miejscach sprzyjających stosunkom z siłami nadprzyrodzonymi. Ten rodzaj wróżb nie wygasł i dotąd dostarcza zarobku licznym wróżkom, kabalarkom, jasnowidzom i astrologom. Istnieją nawet automaty udzielające wróżb. Jeden z nich widziałem przed laty na wieży Eiffla. Moja towarzyszka wrzuciła doń miedzianą monetę. Z automatu wypadła różowa kartka z napisem: "Tu seras toujours follement aimée".

Do tego rodzaju wróżb uciekano się — tak dawniej jak dziś — głównie w sprawach prywatnych, rzadziej w sprawach publicznej lub ogólnej natury. Rzecz w tym, że w sprawach osobistych nasza zdolność przewidywania wydaje się najbardziej zawodna. Obliczalność wypadków przyszłych zmniejsza się w miarę tego jak wzrasta możliwość ingerencji w nie patrzącego. Zaćmienie księżycy daje się przewidzieć z największą ścisłością. Ingerencja patrzącego jest w tym wypadku równa zeru. Ogólna liczba wypadków automobilowych — przy wiadomym spożyciu benzyny i alkoholu — daje się także dość dokładnie obliczyć na przyszłość, jakkolwiek mniej ściśle niż zaćmienie księżycy. Obliczający nie jest natomiast w stanie przewidzieć, kiedy sam zostanie przejechany przez samochód. Gdyby tę datę udało mu się poznać, przeleżałby cały dzień w łóżku, i obliczenie jego okazałoby się fałszywe. W niektórych chorobach można z pewnym prawdopodobieństwem przewidzieć termin zgonu chorego, ale jest to możliwe tylko w wypadku choroby nieuleczalnej, nie poddającej się zabiegom lekarskim. Życie prywatne posiada — poza terminami płatności weksli — tak mało składników obliczalnych, że pragnący poznać przyszłość w tej dziedzinie za wszystkich czasów zwracali się słusznym tytułem do wróżek i kabalarek.

Sprawy polityczne jako przedmiot przewidywań stanowią teren pośredni, poddający się przybliżonym obliczeniom. W republikach najważniejszym czynnikiem stałym i obliczalnym jest inercja i brak inicjatywy ciał zbiorowych. Można w nich w każdej sytuacji z wielką dozą prawdopodobieństwa przewidywać, że wybory i parlamenty nie powezmą żadnej niespodzianej decyzji, i że w konsekwencji żadne wypadki niezwykle nie zajdą i wszystko pozostanie po dawnemu. Taka stałość i ciągłość stosunków jest źródłem zamożności i kultury republik. Zważywszy jednak główną przyczynę tej ciągłości można przewidywać, że republiki będą mało odporne na wypadki przychodzące z zewnątrz.

Posunięcia dyktatorów są na pozór mniej obliczalne, jako podlegające w większej mierze inicjatywie osobistej jednego człowieka. Jest to jednak najczęściej złudzeniem. Dyktator jest więźniem mechanizmu władzy absolutnej, działającego z wiel-

ką precyzją. Gusty i pomysły osobiste dyktatora grają w tym systemie najmniejszą rolę.

Stanowisko proroka w republice jest pełne sprzeczności wewnętrznych. Jego zdolność trafnego przewidywania jest tym większa, im większą rolę grają w danej koniunkturze składniki mechaniczne, niezależne od inicjatywy zainteresowanych, a zatem łatwiej obliczalne. Inaczej mówiąc, tym łatwiej jest przewidzieć nadchodzącą przyszłość, im mniej obywatele zdolni są sami do rozpoznania skutków swych czynów i swych sytuacji i im mniejsza jest stąd ich interferencja w biegu wypadków. Trafność jego przewidywań jest więc niejako odwrotnie proporcjonalna do posłuchu, jaki może znaleźć u współobywateli. Uwikłany w tę sprzeczność prorok stoi przed swym ludem bezradny, często zrozpaczony. Im pewniejsza jest jego znajomość spraw przyszłych, tym większa samotność.

Pod rządami dyktatorów świadomość przyszłych klęsk jest bardzo rozpowszechniona, i prorok nie ma najczęściej swym słuchaczom nic nowego do powiedzenia. Obojętne jest też czy potrafi ich przekonać, bo zdanie większości nie posiada znaczenia. Najtrafniejsze nawet przewidywania skutków danej sytuacji jest tu bezużyteczne, bo na odwrócenie dalszego biegu wypadków jest już za późno.

III.

Zdolność przewidywania przyszłych wypadków politycznych nie musi być rzeczą rzadką, bo w okresie międzywojennym słyszałem wiele przewidywań, które spełniły się dokładnie. Przewidywania te nie wychodziły nigdy z ust osób zajmujących wielkie urzędy, posiadających wszystkie dane materialne do słusznej oceny sytuacji i powołanych niejako do patrzenia w przyszłość. Mniemanie, że orzeczenia ekspertów, wyczerpujące dokumentacje i tajne raporty mogą zaciemnić najbardziej nawet przejrzyste sprawy, nie jest zatem bezpodstawne.

Patrząc obecnie na te czasy z oddalenia mam wrażenie, że w okresie międzywojennym zdolność przewidywania była przeszkodą we wszelkiej karierze politycznej. Zjawisko to wydaje mi się dziś nawet zrozumiałe. Przyszłość Europy była ciemna i ktokolwiek ją słusznie oceniał był czarnowidzem, którego nikt chętnie nie słucha. Ludzie dobrze wychowani unikali wszelkich wynurzeń na te tematy. Tragiczne w tej sytuacji było to, że przez długie lata niewielki nawet wysiłek ludzi dobrej woli mógł odwrócić grożącą naszemu kontynentowi katastrofę.

Wspominając ówczesnych proroków zagłady, na pierwszym miejscu powinienem wymienić Szymona Askenazego.

Okres pracy twórczej i sławy Szymona Askenazego przypada na jego młodość, na lata poprzedzające pierwszą wojnę światową. Pochodzący, jak Julian Klaczko, z rabinicznej rodziny wileńskiej, ożeniony z zamożną warszawianką. Askenazy był przez długie lata profesorem historii nowożytnej uniwersytetu lwow-

skiego. Miał tam setki słuchaczy; w seminarium jego pracowało do 80 studentów, przetrząsających według wskazówek mistrza archiwę całej Europy. Co roku prawie ukazywała się jakaś nowa, rewelacyjna książka Askenazego: "Książę Józef", "Łukasziński", wiele tomów rozpraw i szkiców historycznych. Już wówczas zaczął się w Europie zmierzch historycyzmu, cechującego poprzednie stulecie. Najznakomitsi historycy Zachodu, Aulard, Chuquet czy Ferrero nie znajdowali większego audytorium i kontentowali się co najwyżej małą grupką uczniów. W porównaniu z nimi Askenazy wyglądał na wielkiego szefa szkoły, sternika łodzi wiozącej młodzież zapalną i uczoną. Dopiero później miało się wyjaśnić, że ów późny historycyzm polski był w znacznej mierze zjawiskiem koniunkturalnym i przypadkowym. Młodzi ludzie, którzy w kraju niepodległym marzyliby o karierach dyplomatów, generałów lub bankierów, w Polsce porzbirowej studiowali historię lub pisali sonety.

W 1914 Askenazy wyjechał zagranicę. Po powrocie do kraju, w odrodzonym uniwersytecie warszawskim słusznym tytułem pretendował do katedry historii. Obudzona do nowego życia Polska była jednak młoda, rozrzutna i kapryśna. W 1920 senat akademicki odrzucił kandydaturę Askenazego. Powołany wkrótce potem na stanowisko delegata do Ligi Narodów, Askenazy porzucił na dwa lata kraj. Złożywszy dymisję jesienią 1922 wrócił do Warszawy i pozostał tam aż do śmierci w 1935 r.

Zbliżyłem się doń w latach 1928 - 1932. W swym mieszkaniu przy ulicy Czackiego Askenazy żył wówczas samotnie i beczynnie. Porzucił wszelką pracę naukową. Liczne rękopisy, niektóre niemal gotowe do druku, drzemały na półce. Kiedy w 1932 uniwersytet warszawski ofiarował mu katedrę na wydziale prawnym, Askenazy odmówił. "Miałem 12 lat czasu do zastanawiania się co im powiedzieć", mówił o wizycie u niego delegatów senatu akademickiego. "Pocałujcie mnie w d... powiedziałem im tylko trzy razy". Decyzja jego wydawała się słuszną. Od wielu lat już poziom uniwersytetu obniżył się do wymagań coraz liczniejszej młodzieży, oczekującej od studiów korzyści doraźnych, przede wszystkim dyplomów. Audytorium, jakie Askenazy posiadał niegdyś we Lwowie, nie było już ani w Polsce ani gdzie indziej.

Askenazy był jak gdyby żywym świadectwem głębokich zmian, jakie zaszły w owych czasach, zmian, których nikt nie chciał widzieć. Był wysoki, koszmarnie chudy, z wielką głową, bardzo długim nosem i parą ciemnych, bystrych i nieżyczliwych oczu. Język i sąd jego były tnące jak nóż. Z biegiem czasu odwiedzano go coraz rzadziej. W ostatnich latach życia był zupełnie samotny.

Być może dlatego, że moje myśli nie odbiegały wówczas zbyt od jego własnych, Askenazy znosił mnie lepiej niż innych. Przychodziłem doń zwykle wczesnym popołudniem Przez godzinę lub dwie opowiadał anegdoty z życia Adama Czartory-

skiego, czytał czasami jakiś fragment porzuconego rękopisu. Po-tem około 5-tej ubierał melonik koloru brązowego zimą, perłowego latem i razem wychodziliśmy na miasto. Droga nasza pro-wadziła zazwyczaj przez Krakowskie Przedmieście, Miodową, plac Bankowy. Przed każdym starym domem Askenazy zatrzy-mywał się i opowiadał co się w tym domu działo w Noc Li-stopadową, jakie osoby były tam zebrane i o czym mówiono.

Wersja słowna tej historii odbiegała nieraz znacznie od tej, jaką zostawił w „Łukasińskim”. Z opowiadanych przezeń frag-mentów wylaniał się powoli obraz chaosu, rozbieżnych i bez-wstydnym interesów, nieporadności. Bohaterstwo sąsiadowało z bezzwrotnym egoizmem i prowokacją. Cień końcowej klęski zdawał się ciążyć na powstaniu od pierwszego dnia. „Historię” — mówił — „pisałem w znacznej mierze ad usum delphini, dla młodzieży, którą starałem się wychować, przygotować moral-nie do nowej walki o niepodległość. Dziś można by to oczywiście opowiedzieć na nowo, inaczej, ale dla kogo? Kto się tym inte-resuje? Komu taka wiadomość może być potrzebna?”

W pogodny letni dzień 1932, obszedłszy utartym szlakiem star-szą część miasta, wyszliśmy w aleję 3-go maja i usiedliśmy na ławce. Naprzeciw zakładano właśnie fundamenty pod jakiś wiel-ki budynek. „Co też tu zamierzają budować?” — zapytał Aske-nazy. „Słyszałem, że Muzeum Narodowe”. „Że też ludzie mają zdrowie i ochotę wznosić tak kosztowne budynki w mieście na zagładę przeznaczonym”. „Dlaczego na zagładę?” — zapytałem. „Kiedy tu z panem siedzę na ławce, widzę niemal jak Niemcy jadą w samolotach i rzucają bomby na miasto”. I na moją sceptyczną uwagę o prorocत्वach, zawołał żywo: „Jak pan te-go nie widzi? Jak pan może tego nie widzieć? Niech się pan przez chwilę tylko zastanowi! Czy może być inaczej?” Znałem wówczas nieźle sprawy niemieckie, i jego dalsze wywody wyda-ły mi się bardzo prawdopodobne.

Tymczasem Askenazy rozwijał dalej swą wizję przyszłości:

„Tylko zupełnie naiwni mogą sobie wyobrazić, że Polska może toczyć wojnę inaczej niż na dwa fronty. Niemcy nie mo-gą przekroczyć granicy pod Zbąszyniem bez tego, aby Rosjanie przekroczyli ją ze swej strony pod Baranowiczami. Trzeba się liczyć z najprostszym mechanizmem takich wypadków. Przed uderzeniem na Polskę Niemcy zgromadzą przeważające siły i zapewnią sobie neutralność czy bezczynność mocarstw zachod-nich. Będzie więc bardzo prawdopodobne, że prędzej czy póź-niej zajmą kraj i dojdą aż do Baranowicz. Czy Rosjanie mogą czekać aż Niemcy dojdą do ich granicy? Nie. Elementarna prze-zorność każe im już przedtem przekroczyć granicę i zająć co się da, aby mieć coś w ręku przy pertraktacjach z Niemcami i w razie możliwego konfliktu trzymać ich jak najdalej od włas-nych granic. Czy tego dnia Unia Sowiecka będzie w aliansie z Niemcami czy też z Anglią i Francją czy nawet z nami, bę-dzie to zależne od gry aliansów na ten dzień, ale bynajmniej

nie zmieni sprawy. Przejście granicy i zajęcie wschodniej czę-ści Polski będzie w owej chwili dla Rosji sprawą nierównie pilniejszą od gry aliansów”.

I po chwili namysłu:

„Ten sam mechanizm działa także w razie pokojowego prze-biegu wypadków. Jeżeli dla jakichś przyczyn Polska będzie musiała cedować Rosji Wilno i Lwów, następnego dnia będzie musiała oddać Niemcom Śląsk i Pomorze. Po oddaniu Lwowa i Wilna dalsza egzystencja Polski byłaby możliwa tylko w opar-ciu o Niemcy, i to oparcie kosztowałoby ją Śląsk i Pomorze. I na odwrót: w razie konieczności cedowania Niemcom Śląska i Pomorza dalsza egzystencja Polski byłaby możliwa tylko pod opieką Rosji, która wzamian zażądałaby Lwowa i Wilna. Zreszt-ą po takim okrojeniu nie byłoby już mowy o jakiejś egzysten-cji niepodległej. Dla mocarstw zachodnich Polska jest tylko pionkiem do szachowania bądź Niemiec, bądź Rosji i po okro-jeniu nie przedstawiałaby już żadnej wartości”.

W trzy lata po tej rozmowie Szymon Askenazy zmarł rze-zkomo na skutek niedomagania nerek. W istocie zabiły go włas-ne myśli, świadomość nadchodzących wypadków, których nikt oprócz niego nie widział. Żona jego zmarła w 1940 w szpitalu warszawskim, jedyna zaś córka została zamordowana przez Niemców.

Nikomemu zapewne nie przyjdzie na myśl szukać słusznych prze-widywań u dziennikarzy, fabrykantów efemeryd, ważnych tyl-ko na dzień bieżący i obracających się w makulaturę z chwilą ukazania się następnego numeru gazety. Od dawna już prasa utraciła ambicję informowania, kontentując się dostarczaniem czytelnikowi rozrywki dla osłodzenia nieuniknionej w gazecie codziennej sieczki wiadomości oficjalnych. Mimo to widziałem i dziennikarzy robiących na prywatny użytek trafne przewidy-wania. Możliwość osobistego poznania środowisk politycznych i parlamentarnych w krajach, gdzie przygotowywały się przyszłe wypadki, dawało im często przesłanki do słusznej oceny naj-bliższej przyszłości.

Z okresu międzywojennego zostało mi w pamięci kilka roz-mów z Robertem Dell'em, jednym z ostatnich dziennikarzy nie-zależnych.

W listopadzie 1922 spotkałem go w Düsseldorfie. Wojska fran-cuskie zajęły były właśnie okręg Ruhry. Od kilku tygodni mię-dzy Francją i Anglią istniał stan, który dziś określamy mianem zimnej wojny. Anglicy dokładali starań do zrujnowania fran-ka i stworzenia Francji trudności finansowych. Nikt nie wie-dział, jak zachowa się w Ruhrze ludność niemiecka. Dowódca niewielkiej armii okupacyjnej, generał Mangin, nawiązał roz-mowy z przybyłym do Ruhry Karolem Radkiem, podówczas kie-rownikiem polityki niemieckiej Kominternu. Paul-Prudent Pain-

levé, którego odwiedziłem poprzedniego tygodnia w Paryżu, oderwał się był od lektury Einsteina, aby powiedzieć, że uważa sytuację za wręcz groźną i okupacja Ruhry wydaje mu się — tak z punktu widzenia wojskowego jak politycznego — niezmiernie ryzykowna. Niepokój ogarnął także sprzymierzeńców Francji. Niemcy sudeccy, sądząc że będą mogli znaleźć oparcie w Anglii, dążącej do osłabienia Francji także od strony czeskiej, zaczęli poszukiwać kontaktów w Londynie.

W hallu hotelu zbudowanego przez Hugo Stinnesa zrobiliśmy krótki przegląd tych wypadków. Dell był poważny i blady, jak gdyby czuł na sobie współodpowiedzialność za szaleństwa wielkich tego świata.

„System polityczny ustalony przez zwycięzców w 1919” — powiedział — „leży już w gruzach. Ameryka cofnęła swój podpis, Anglia i Francja są tak poróżnione, że wpływy ich wzajemnie się znoszą, Rosja nie jest jeszcze gotowa do objęcia po nich spadku. Nie ma komu bronić pokoju z 1919. Niemcy są na razie w stanie chaosu, ale droga dla nich stoi otworem. Anglia nie chce, Francja sama nie potrafi bronić obecnego porządku. O tym czym będzie Europa decydować będą Niemcy. Przyszłość Europy zależy od ewolucji wewnętrznej Niemiec”.

To co widziałem w ciągu następnych dni w Niemczech utwierdziło mnie w słuszności tej prognozy i napełniło złymi przeczuciami. Patrząc w przyszłość widziałem tylko ruinę wszechświatowego, na czym od pokoju westfalskiego usiłowano oprzeć zgodnie współzycie Europejczyków. W końcu grudnia kupiłem w Paryżu garść złotych dolarów, które przechowałem do 1939 i dzięki którym mogłem uciec z okupowanej Polski.

Della spotkałem znów w Genewie późną jesienią 1936. Wojna hiszpańska była już w pełnym biegu i Anglia zdążyła była narzucić Francji, trawionej kryzysem wewnętrznym, politykę nieinterwencji. Role więc były już podzielone: dywizje pancerne włoskie i lotnictwo niemieckie atakowały republikę hiszpańską, system nieinterwencji trzymał za ręce mogących jej przyjść z pomocą. Moskwa nie powzięła była jeszcze decyzji, i jej prasa wylewała co dzień kubeł pomyjów na republikę hiszpańską.

Dell był bardzo niewesoły. Jego niezależna publicystyka przyniosła mu same zawody: został wydalony z Niemiec i z Francji. Mieszkając w Genewie pisywał korespondencje z Ligi Narodów, o której nie było już wiele do powiedzenia. Kiedyśmy zostali sami, zaczął mówić:

„Z Europy, w której wyrostem i do której byłem głęboko przywiązany, nie zostało już nic. Jedyne logiczne dla mnie wyjściem z tej sytuacji byłoby samobójstwo. Jeżeli, mimo to wciąż żyję, ma to dwa powody: jako Anglik mam odrazę do skrajnych posunięć, po które mam 67 lat i w tym wieku samobójstwo byłoby wywalaniem drzwi otwartych”.

Starałem się go pocieszyć jak umiałem, ale na próżno. Chciał

więc zwrócić jego myśli na inne tory, zacząłem mówić o sytuacji politycznej. Dell przerwał mi:

„Właściwie nie ma już o czym mówić. Sytuacja jest jasna. W ciągu ostatnich kilkunastu lat głównym celem polityki angielskiej było sprowadzenie Francji do rządu Portugalii, i ten cel został obecnie osiągnięty. Pozbawiony się jedyne go możliwego alianta w Europie, Anglia w sprawach kontynentalnych nie będzie miała odłąd żadnego głosu. W ten sposób i los Polski został przesądzony. Na francuskiej Portugalii Polska opierać się nie może, Anglia zaś już zrzekła się głosu”.

Widząc go w coraz smutniejszym nastroju, zacząłem rozwijać fantazyjną teorię przeciwstawności pokoleń. Młodzież wychowana w dyscyplinie totalitarnych państw będzie musiała zrazu tajnie potem jawnie tęsknić do jakiegoś nowego liberalizmu. Cytowałem przykłady takich zwrotów z różnych epok i zakończyłem takim mniej więcej obrazem przyszłości:

„Za 10 lub 15 lat zostaniemy obaj zaproszeni do Berlina na odsłonięcie pomnika Dickensa na Nollendorfsplatz. Z tej okazji pruski minister Oświaty zaleci dzieła Godwina jako szkolną lekturę. Wieczorem w Kaiserhofie odbędzie się bankiet na cześć Garrisona-Villarda. Bzy będą kwitły na wszystkich skwerach Charlottenburgu. Będziemy pili jasne piwo z malinowym sokiem, w radosnym i podniosłym nastroju, bo dokoła nas będą sami Niemcy życzliwi i liberalni”.

Mrużąc oczy Dell słuchał mnie z uśmiechem, jak człowiek chwytający się wszelkiego pretekstu do oderwania się od własnych myśli. Potem sposepniał znów:

„Jak wszyscy Anglicy mego pokolenia byłem przez całe życie trochę germanofilem. Ostatnie lata uleczyły mnie z tej słabości. Pokoju w Europie nie będzie tak długo dopóki ogień nie spadnie z nieba i nie wypali miejsca, które nazywa się Germany”.

Tego wieczora Dell musiał być — jak się mówi o prorokach — „inspirowany”, bo nawet „ogień spadający z nieba”, który wówczas wydawał mi się tylko biblijną metaforą, okazał się później rzeczywistością.

Nawet w chaosie wypadków wojennych, gdzie wszystko wydaje się możliwe i brak punktu wyjścia do jakichkolwiek wiarygodnych kalkulacji, słyszałem uderzająco dokładne przewidywania. Latem 1940 mówiono wiele o nieuniknionym i bliskim konflikcie między armią niemiecką i dyktatorem. W razie zwycięstwa, rozumowano, generałowie zostaną zgładzeni przez Hitlera jako już niepotrzebni, w razie klęski — przy niemieckim sposobie prowadzenia wojny — zostaną rozstrzelani przez zwy-

cięzców. Dopóki stoją na czele zwycięskiej armii powinni korzystać z sytuacji, która później nie wróci.

W tym czasie spotkałem wyższego oficera niezwyklej inteligencji, który związkom rodzinnym i wykszoleniu zawdzięczał głęboką znajomość generalicji niemieckiej. Na moje pytanie odpowiedział:

„Niech pan nie pozwala sobie zawracać głowy tymi bzdurami. Wodzowie armii niemieckiej są najlepszymi w tej chwili technikami rzemiosła wojennego i mogą nawet dzięki temu wygrać wojnę. Obalenie dyktatury wymaga jednak zupełnie innych kwalifikacji, przede wszystkim zaś charakteru, którego nikt z nich nie posiada. Nic więc z tego nie będzie. To, że zginą powieszeni, wydaje mi się natomiast bardzo prawdopodobne”.

Kiedy myślę dziś o tej rozmowie, uderza mnie w niej najwięcej słowo „powieszeni”. W 1940 nikt jeszcze nie używał tego słowa mówiąc o osobach wojskowych, które według starego obyczaju rozstrzeliwano. Nawet Tuchaczewski zginął rozstrzelany. Słowo „powieszeni” posiada w sobie konkretność wizji wychodzącą poza ramy teoretycznej kalkulacji.

W okresie międzywojennym nie brakło także prorocत्व pisanych. Przykłady ich znaleźć można np. w literaturze surrealistycznej. Właściwy sens jej, zaciemniony przez krytykę, uszedł uwagi czytelników. W latach 1939 - 1940, patrząc w różnych krajach na stłoczone na brzegach wód masy uciekających, poznawałem w nich klimat powieści Ribemont - Dessaignes'a „Les frontières humaines”. Widok jadących sznurami automobili przykrytych modnymi wówczas materacami przypominał mi słowa czytanego przed wielu laty tzw. drugiego manifestu surrealistów: „Partez sur les routes. Semez les enfants au coin du bois”.

W przewidywaniach posiadających taką dokładność i konkretność uderza często prostota, suchość i niemal ubóstwo przesłanek rozumowania, wyodrębnionych z chaosu rzeczywistości. Przychodzi mi tu myśl prorocтва spełnione dopiero w połowie, które słyszałem w 1923 z ust Mahmuda Tarzy.

Osoba jego wymaga krótkiego objaśnienia. Afganistan jest krajem górskim graniczącym z jednej strony z Indiami, z drugiej z rosyjskim Turkiestanem. Abdurrachman, ostatni emir z pierwszego okresu niepodległości, mawiał o tej sytuacji: „Jestem jak łabędź pływający po strumieniu. Po jednym brzegu strumienia chodzi tygrys bengalski, po drugim niedźwiedź syberyjski, ja zaś pływam pośrodku, i woda jest bardzo niegłęboka”. Kiedy w 1882 rząd petersburski zaproponował mu rektyfikację granicy na Pamirze, emir przeląkł się tak, że zrezygno-

wał z niepodległości i przyjął protektorat brytyjski. W 1917 dwaj Afgańczycy, Weli Chan i Mahmud Tarzy, pojechali do Moskwy i przez półtora roku śledzili na miejscu bieg rewolucji. Przyszedszy do przekonania, że w ciągu najbliższych lat nic nie grozi Afganistanowi od pomocy, wrócili do kraju, obalili ówczesnego emira i osadzili na tronie głośnego później Ammanullacha, który niezwłocznie ogłosił niepodległość Afganistanu, wydał wojnę Wielkiej Brytanii i w wyniku jej osłabnął ponowne uznanie niepodległości kraju. Wkrótce potem emir poślubił córkę Mahmuda Tarzy. Odtąd z Weli Chanem dzierżyli na zmianę dowództwo armii i prezydencję rządu cywilnego. W 1923 Mahmud Tarzy wyjechał do Europy i po starannym zwiedzeniu Włoch, Francji i Anglii osiadł w Paryżu w charakterze posła swego kraju. Tam odwiedziłem go kilkakrotnie w towarzystwie muzumuńskich przyjaciół.

Weli Chan był niewielkiego wzrostu, z twarzą okrągłą jak księżyc, wyrażająca głębokie zadowolenie. Mahmud Tarzy był wyższy, szczuplejszy, skórę miał ciemną jak cholewa, nosił czarną brodę, patrzył najczęściej w ziemię i zdawał się nie przewidywać niczego dobrego. Pewnego razu objaśnił mi różnicę między wyglądem swoim i swego znakomitego kolegi.

„Czy pan rozmawiał kiedyś z Weli Chanem w cztery oczy, czy też widywał go pan w otoczeniu innych Afgańczyków?”

Odpowiedziałem, że nigdy nie widziałem go na osobności.

„W cztery oczy wydałby się panu mniej wniebowzięty. Uśmiech i zadowolenie jest u nas grzecznością, którą wykonujący władzę winien jest swoim poddanym. Aby jeden mógł być na wierzchu, wszyscy muszą się na to złożyć w pieniądzach, upokorzeniach i przykrościach. Byliby więc nieprzyjemnie zdziwieni, widząc że emir jest niezadowolony, i ofiary ich były próżne”.

Tu wyjął z szuflady fotografię Weli Chana w otoczeniu kilkunastu Afgańczyków i ciągnął dalej:

„Patrząc na tę grupę może pan poznać od razu rangę każdej osoby. Twarz stojących na najniższych szczeblach wyraża skupioną uwagę i gotowość do usług. Twarz stojących wyżej wyraża gotowość do usług i przekonanie, że usługi ich będą należycie ocenione. Stojący na samym wierzchu patrzy trochę ponad głowę innych i ma taki wyraz twarzy, jak gdyby widział już z bliska raj Muhameda”.

Mahmud Tarzy był więc człowiekiem nie tylko doświadczonym, ale przywykłym do rozważania spraw ludzkich w ich wielkich aspektach. Korzystając z jego pogodnego nastroju, zapytałem go jakie wrażenia wyniósł z objazdu Europy i co myśli o jej przyszłości.

„Nic dobrego” — odpowiedział — „gdyby Europejczycy zaj-

mowali się jak my wypasaniem kóz i nie mieli innych kłopotów, mogliby być może patrzeć pogodnie w przyszłość. Administracja tak wielkich bogactw i złożonych przedsięwzięć wymaga jednak pewnej inteligencji, której tu nigdzie nie mogę się dopatrzeć. Dlatego myślę, że Europa stoi na progu bezprzykładnej katastrofy, i że wy wszyscy zginiecie marnie, niestawnie jak zwierzęta idące pokornie pod nóż". I po chwili dodał: „Najlepiej jeszcze podobali mi się Anglii. Nie są mądrzejsi od innych, ale na razie mają jeszcze więcej pieniędzy”.

Od tego czasu minęło wiele lat. Słowa Mahmuda Tarzy przypominały mi się nieraz, ilekroć patrzyłem na zdumiewającą dyscyplinę obecnych mrowisk ludzkich. Pod komendą szalonych dyktatorów czy niemniej nieprzytomnych rządów demokratycznych całe narody szły “w karnych szeregach” do nieuniknionych i z dala widocznych katastrof. Nikt nie próbował myśleć samodzielnie, nikt nawet nie uciekał, chyba porwany owczym pędem. Zmiany jakie zaszły w Europie, niegdyś centralnym laboratorium myśli krytycznej, są tak głębokie, że sami nie dostrzegamy już prawie groteskowości naszego zachowania się, które napełniało zdumieniem górala z Afganistanu.

IV.

Zaczynając od Jakóba Burckhardta, wszyscy, którzy w ostatnich dziesiątkach lat widzieli jasno rzeczy przyszłe, byli samotni. Ciężała na nich samotność i bezużyteczność ich wiedzy w czasach mojej młodości z słusznych przewidywań można było wyciągnąć pewne skromne korzyści osobiste. Dziś i te możliwości są zamknięte. Z miejsca, w które ma uderzyć piorun, przezorność nakazuje uciekać. Ale dokąd? Wojna i chaos mogą się zacząć wszędzie. Wojna ostatnia zaczęła się w leżącej na ubożcu Hiszpanii. Dyktatorzy rozważali także rozpoczęcie jej w Ameryce Południowej. Uciekać więc nie ma dokąd. Nieliczne kraje spokojniejsze strzegą swych przywilejów na użytek własnej ludności i zamykają granice dla obcych. Państwo nowożytnie z jego drobiazgową reglamentacją życia nie daje zresztą obcym żadnego wartego zachodu azylu. Uciekać więc nie ma dokąd i nie ma po co.

Zdolność przewidywania nie jest potrzebna współobywatelom, którzy nie przypisują jej żadnego znaczenia. Nie jest potrzebna również samemu przewidującemu, który w obecnej organizacji społecznej nie może z niej wyciągnąć żadnej korzyści. Jest więc niezdolnym ciężarem, dziś trudniejszym do niesienia niż kiedykolwiek.

Po co więc przewidywać? Jeden z przyjaciół zajmujący się polityką powiedział mi niedawno:

„Po 40 latach doświadczenia przyszedłem do pewności, że największy handicap naszego życia stanowią rozsądek i zastanowienie”.

Czy wobec jego całkowitej bezużyteczności uzdolnienie do widzenia rzeczy przyszłych będzie jeszcze nawiedzało wybranych?

To pytanie przypomina mi bardzo już dawną rozmowę w laboratorium, do którego jako młody student przyniosłem kiedyś nową podówczas książkę Blaringhama o nagłych mutacjach roślin i zwierząt. Kierownik laboratorium, uczonego fizjologa i członka wielu towarzystw naukowych, zainteresował się tą książką i czytał ją przez cały wieczór. Następnego dnia rano pytał:

„Studiował pan przedtem historię; czy pana zdaniem cywilizacje historyczne nie były skutkiem mutacji podobnych do tych, jakie opisuje Blaringham?” „Wszystko, co o tym wiemy, zdaje się na to wskazywać. Każda nowa cywilizacja była dziełem paru pokoleń, które — trafiając na pomyślne okoliczności — ujawniała nieznanne przedtem uzdolnienia”. „To samo przychodzi mi na myśl, kiedy patrzę na rozwój nauk przyrodniczych. Uzdolnienia potrzebne do tego, co robimy obecnie w naszych laboratoriach, rozwinęły się dopiero u paru ostatnich pokoleń, i nie ma żadnego dowodu, aby istniały poprzednio”.

Tu westchnął i dodał:

„Wyciągam z tego wnioski bardzo dla nas wszystkich niepomyślne. Odmiany oparte na mutacjach są niestale i ulegają równie naglej regresji. Możemy więc któregoś dnia obudzić się pośród kretynów niezdolnych w ogóle do zrozumienia tego, w co żyliśmy tyle pracy i dowcipu”.

W pewnym węższym sensie słowa jego spełniły się, bo w dziewięć lat później, z okazji czystek politycznych w Niemczech, został usunięty z uniwersytetu i pozbawiony możliwości pracy naukowej.

Z autorów przytoczonych wyżej przewidywań nikogo już prawie nie ma przy życiu. Uzdolnienia takie na pewno nie sprzyjają długowieczności. Nawet mnie, który ich tylko słuchałem w milczeniu, nie wyszło to na dobre. Tymczasem jest jasne, że dyscyplina i cierpliwość dziś nie wystarczy. Jeżeli Europa, zrujnowana tyłu szaleństwami, ma uniknąć zagłady, mieszkańcy jej muszą nauczyć się lepiej przewidywać skutki swych czynów i nie mogą więcej lekceważyć tych, kto to potrafi. Dla starszych jest to już prawie obowiązkiem. Myślę tu o młodych, mających całe życie przed sobą. Kto z nich zechce ubrać płaszcz, o którym Cassandra mówi do Apollona: “W tym płaszczu proroka wystawię mnie na pośmiewisko swoich wrogów”?

Paweł HOSTOWIEC.

Przebudowa ekonomiczna Europy Śr.-Wschodniej

Celem poniższych rozważań jest możliwie dokładny opis przemian w strukturze gospodarczej krajów Europy Środkowo-Wschodniej (Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski, Rumunii, Węgier) oraz stopnia ich integracji z Rosją Sowiecką we wspólny, ekonomiczny obszar europejsko-azjatycki. Pierwsze z tych zadań stanowi niezbędny wstęp do rozpatrzenia drugiego. Przez integrację ekonomiczną — mam na myśli integrację dokonującą się na terytorium pod kontrolą sowiecką — nie można bowiem jedynie rozumieć stworzenia wspólnego rynku zbytu, koordynacji wytwórczości poszczególnych krajów i jej rozwoju według pewnego globalnego planu, wyznaczającego różnym krajom, bądź na zasadzie funkcjonalnej, bądź regionalnej, określonych celów produkcyjnych stosownie do potrzeb całego obszaru globalnego planowania. Ze względów, które wyjaśnione będą później, integracja ekonomiczna w tym znaczeniu nie jest praktycznie możliwa, dopóki kraje wchodzące w skład ekonomicznie scalonego obszaru europejsko-azjatyckiego nie posiadają tej samej struktury społeczno-gospodarczej. Z tej przyczyny ujednostajnienie typu tej struktury w krajach Europy Środkowo-Wschodniej oraz upodobnienie ich pod tym względem do republik sowieckich jest równie ważnym elementem integracji ekonomicznej całego obszaru, jak globalna koordynacja wytwórczości lub globalna kontrola handlu zagranicznego.

O pewnej tezie doktryny Lenina — Stalina

Opis przemian w strukturze społecznej i gospodarczej krajów Europy Środkowo-Wschodniej najlepiej rozpocząć od przypomnienia pewnej tezy doktryny leninizmu-stalinizmu, ukazującej sens i cel tych przemian we właściwej perspektywie. Teza, o której mowa, dotyczy poglądu, w jaki sposób kształtuje się historia i działa "mechanizm" przemian społecznych.

W naszym myśleniu stosunki ekonomiczne są tylko jednym z aspektów życia społecznego, jednocześnie warunkującym i uwarunkowanym przez inne jego przejawy — idee moralne, reli-

gijne i kulturalne, programy i działania polityczne, formy organizacji społecznej itp. W doktrynie leninizmu-stalinizmu stosunki ekonomiczne są podstawowym czynnikiem życia społecznego, niezależnym od wszystkich innych i całkowicie je warunkującym. Jak wiadomo, teza ta nie jest oryginalnym odkryciem Lenina lub Stalina. Sformułowana ona była przed stu laty przez Marksa i Engelsa i znana jest pod nazwą teorii materialistycznego pojmowania dziejów lub w skrócie — materializmu historycznego. Jedno z najjaśniejszych sformułowań tej teorii znajdujemy w "Anti-Dühring" Engelsa. "Materialistyczne pojmowanie historii", pisał Engels, "wychodzi z zasady, że produkcja, a wraz z produkcją — wymiana jej wytworów, jest podstawą każdego porządku społecznego: że w każdym społeczeństwie, jakie pojawiło się w historii, dystrybucja wytworów, a wraz z nią podział społeczny na klasy i warstwy, jest zdeteterminowany przez to, co i w jaki sposób się produkuje oraz przez system wymiany. Stosownie do tej koncepcji, ostatecznych przyczyn wszelkich zmian społecznych i rewolucji politycznych nie należy szukać w umysłach ludzi, w ich wzrastającym zrozumieniu wiecznej prawdy i sprawiedliwości, lecz w zmianach sposobu produkcji i wymiany. Nie należy więc ich szukać w filozofii lecz w ekonomice danej epoki".

W rękach Lenina teoria materialistycznego pojmowania dziejów stała się czymś więcej niż szczególnym sposobem interpretacji wydarzeń przeszłości. Lenin, a w większej jeszcze mierze Stalin, użył jej, by tworzyć historię i posługiwał się nią jako podstawową dyrektywą społecznej technologii. Pozostawiamy na uboczu pytanie, czy można dokonać przeobrażenia tej abstrakcyjnej tezy o istocie historii w dyrektywę praktycznego działania nie popadając w liczne i elementarne sprzeczności. Pomijamy także kwestię, czy materializm historyczny, jako metoda działania, jest praktyką skuteczną, jeżeli nie towarzyszy jej zorganizowana siła polityczna kontrolująca ciało i umysł człowieka przy użyciu przemocy fizycznej (co stanowi w pewnym sensie wywód błędności abstrakcyjnego materializmu historycznego). Interesuje nas w tej chwili to, do czego prowadzi doktryna materialistycznego pojmowania dziejów w praktycznym zastosowaniu. Jeżeli ustroje społeczne tłumaczą się przyczynowo elementarnymi potrzebami mas ludzkich, identycznymi lub przyczynowo zależnymi od potrzeb organizmów oraz układu pewnych ciał otoczenia, wśród których narzędzia i środki produkcji spełniają szczególnie ważną rolę, to wynikać stąd będzie, iż wszelkie zmiany struktury społecznej dokonane być mogą w sposób trwały tylko o tyle, o ile są przyczynowym następstwem zmiany sposobu produkcji i wymiany. Ponadto wynikać stąd będzie, że wystarczy zmienić strukturę ekonomiczną społeczeństwa w określonym kierunku, by zmienić je także pod każdym innym względem. Rodzaj i sposób użycia narzędzi i środków produkcji wyznacza bowiem przyczynowo społeczny ustrój gospodarczy, ten zaś z kolei wy-

znacza przyczynowo cywilizację, kulturę i moralność tego społeczeństwa.

"Budowa Socjalistyczna"

W terminologii leninizmu-stalinizmu ogół zmian wiodących do stworzenia bezklasowego społeczeństwa określa się nazwą "socjalistycznej budowy". Teoria fazy rewolucyjnej socjalistycznej budowy znana jest z pism Lenina, jej poszczególne stadia, metody i środki działania po ustaleniu się "dyktatury proletariatu" stanowią historię Rosji Sowieckiej w okresie między dwoma wojnami światowymi, spisana w "Historii Komunistycznej Partii Unii Sowieckiej" oraz w pismach i przemówieniach Stalina. Nie jest ona żadną miarą skończona. Dla naszych celów wystarczy stwierdzić, że pod nazwą "socjalistycznej konstrukcji" ukrywają się różnorodne, skomplikowane i rozciągające się na długiej przestrzeni czasu procesy, które zmieniają całkowicie strukturę trzech głównych gałęzi ekonomii narodowej: produkcji przemysłowej, wytwórczości rolnej i handlu. Przemiany strukturalne we wszystkich trzech gałęziach mają jeden wspólny cel — przejęcie przez państwo tytułu własności do wszystkich narzędzi i środków produkcji oraz wyłącznego prawa posługiwania się nimi, oraz niczym nie ograniczoną kontrolę nad całym systemem usług i wymiany.

Cel ten, który w pełni urzeczywistniony został jedynie w Rosji Sowieckiej, nazwiemy nominalnym kolektywizmem (dla odróżnienia od kolektywizmu tout court, nigdy i nigdzie dotąd nie istniejącego). Określenie "nominalny" jest niezbędne, ponieważ w ekonomii sowieckiej obywatel posiadając prawny tytuł własności do całej ekonomii narodowej, nie posiada żadnego prawa faktycznego, które sprawuje wyłącznie i nieograniczenie państwo. "Państwo" w tym kontekście znaczy tyle, co "partia", partia zaś z kolei jest identyczna z elitarną grupą jej przywódców, rzeczycystych, niekontrolowanych dysponentów całej ekonomii narodowej. Stanowi to zasadniczą różnicę między systemem nominalnego kolektywizmu, a upaństwowieniem produkcji, właściwym demokratycznemu socjalizmowi. Upaństwowienie polega niewątpliwie także na zmianie tytułu własności, mianowicie i zazwyczaj z tytułu indywidualnego na kolektywny, lecz ponadto na pewnej mierze kontroli sprawowanej przez społeczeństwo, któremu udzielono prawnego tytułu własności do upaństwowionej gałęzi przemysłu. Socjalistyczna konstrukcja w rozumieniu sowieckim wyklucza wszelkie formy społecznej kontroli nad wytwórczością i usługami i w ramach doktryny leninizmu-stalinizmu jest to logiczne i uzasadnione. Twórcy tej doktryny nie mają wątpliwości, iż znaleźli odpowiedź na pytanie, co jest dobrem społecznym i ostatecznym celem ludzkości. Nie mają także wątpliwości, iż znaleźli jedyną prawdziwą odpowiedź. Ludzie dzielą się na tych, którzy ją znają i tych, którzy są jej nieświadomi. Głos mniejszości świadomo-

mej prawd ostatecznych, absolutnych praw historii oraz umiejętności posługiwania się tymi prawami dla szczęścia ludzkości, waży na szali więcej niż głos arytmetycznej, błędnej lub nieświadomej większości. Oddanie w ręce tej większości kontroli nad narzędziami i środkami produkcji, które stosownie do tezy materializmu dziejowego są w rzeczywistości narzędziami i środkami przeznaczenia człowieka, byłoby, jak mówiło stare greckie przysłowie, oddaniem miecza szalonemu.

Socjalistyczna konstrukcja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej ujawnia określony wzór i rytm poszczególnych faz. Wykorzystuje ona w pełni doświadczenia socjalistycznej budowy w Rosji Sowieckiej, co łącznie z pomyślniejszymi okolicznościami punktu wyjściowego pozwala posuwać się naprzód szybciej i z większą ekonomią wysiłku. Pierwszym krokiem jest przejęcie przez państwo przemysłu, które w czasie wyprzedza znacznie socjalistyczną konstrukcję w rolnictwie i w handlu. Po doświadczeniach tzw. wojennego komunizmu w Rosji "upaństwowienie" przemysłu dokonuje się stopniowo i w miarę przygotowania kadr technicznych i form organizacyjnych "upaństwowionej" produkcji. W systemie wymiany "upaństwowienie" handlu zagranicznego wyprzedza "upaństwowienie" handlu wewnętrznego, w handlu wewnętrznym — handel hurtowy idzie na pierwszy ogień, podczas gdy prywatny handel detaliczny eliminowany jest bardzo powoli. Doświadczenia rosyjskie ujawniły, iż "upaństwowienie" handlu detalicznego jest przemianą ustępującą co do trudności przedsięwzięcia jedynie kolektywizacji ziemi. Szybkie i globalne przejęcie handlu detalicznego przez państwo spowodowało w Rosji chaos w dystrybucji nawet artykułów pierwszej potrzeby i niemal całkowity zastój wymiany między miastem i wsią. Dlatego handel detaliczny pozostawiony jest w rękach prywatnych stosunkowo długo, podczas gdy "upaństwowienie" handlu hurtowego, dającego pewną miarę kontroli nad kupcem detalicznym jest łatwiejsze i w konsekwencji szybko przeprowadzone. Odpowiada to wreszcie dyrektywie, iż w pierwszej fazie socjalistycznej budowy głównym przeciwnikiem jest kapitalista, a do tej kategorii należy własność prywatna w przemyśle, właściciel ziemski i kupiec hurtowy. Skuteczna walka z kapitalistą wymaga przymierza lub co najmniej neutralności tzw. producenta drobno-towarowego — rzemieślnika, chłopca, kupca detalicznego.

Socjalistyczna budowa w rolnictwie wykazuje najpowolniejsze tempo i największą liczbę faz pośrednich. Pozostaje to m. in. w związku, o czym później mowa będzie obszerniej, z faktem iż ostatnia faza socjalistycznej konstrukcji w rolnictwie, tzn. kolektywizacja ziemi, może nastąpić dopiero po rozbudowie wytwórczości maszyn rolniczych i sztucznych nawozów oraz po przejęciu przez państwo systemu wymiany między miastem i wsią, które dostarczają środków ekonomicznego zniszczenia chłopca przeciwstawiającego się kolektywizacji. Chłop jest ostatnim producentem drobno-towarowym, który znika ze sceny do-

piero w momencie pełnego osiągnięcia celu socjalistycznej budowy.

Przemysł i handel w Europie Środkowo-Wschodniej

We wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej pierwszym krokiem w kierunku całkowitego podporządkowania państwu ekonomii narodowej było "upaństwowienie" banków i instytucji kredytowych, zakładów ubezpieczeniowych, środków transportu i komunikacji, kopalń i wszelkich bogactw naturalnych. Ta faza nominalnej kolektywizacji była bądź potwierdzeniem stanu rzeczy sprzed 1939 r., bądź nie nastroczała większych technicznych trudności. "Upaństwowienie" przemysłu następowało natomiast powoli.

Lecz w krajach, które zachowały przez dłuższy okres i na znaczną skalę odcinek prywatny w przemyśle (Bułgaria, Rumunia, Węgry), lub stwarzały pozory dużej swobody pozostawionej inicjatywie prywatnej (Czechosłowacja, Polska), w rzeczywistości państwo sprawowało daleko idący nadzór nad odcinkiem prywatnym. Najczęściej był on wykonywany przez przydział surowców i paliwa oraz politykę kredytową i podatkową. W Polsce, gdzie zagospodarowanie ziem odzyskanych stanowiło olbrzymie zadanie, inicjatywie prywatnej pozostawiono szczególnie duże pole działania. Minc ujawnił z brutalną szczerością cel tego postępowania: "W pewnych okolicznościach rząd demokracji ludowej pozwala działać elementom kapitalistycznym i eliminuje je środkami administracyjnymi w momencie, gdy przestają istnieć warunki społeczne i ekonomiczne, które stwarzały tę konieczność". Był to okres swoistego Nepu, przedstawiany Zachodowi jako nowy typ gospodarczej organizacji — tzw. "ekonomii mieszanej". Okres ten skończył się definitywnie w pierwszych miesiącach 1948 r. i w lecie tego samego roku najwybitniejsi obrońcy "ekonomii mieszanej" z Mincem na czele przeprowadzili publiczną "samokrytykę" swego poprzedniego stanowiska.

Przez krótki okres czasu trzy najmniej gospodarczo rozwinięte "demokracje ludowe" — Bułgaria, Jugosławia i Rumunia — wyprzedzały pozostałe w socjalistycznej przebudowie przemysłu. W Bułgarii, po upaństwowieniu nieruchomości w miastach (początek 1948 r.), nie pozostało niemal nic więcej — poza ziemią — do "upaństwowienia". Cały system bankowy i kredytowy jest w rękach państwa i jakakolwiek transakcja finansowa, dokonana bez wiedzy jednego z dwóch banków państwowych jest karalnym przestępstwem. Ustawa o upaństwowieniu przemysłu (grudzień 1947 r.) była tak szeroka, iż uprawniała państwo do przejęcia wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych, nie wyłączając większych warsztatów, fabryk podków, nici i makaronu. Umożliwiła ona także likwidację niezależnego przemysłu spółdzielczego. Cały handel zagraniczny stanowi monopol państwa, które dokonywuje wszelkich transakcji za pośred-

nictwem 11 central importowo-eksportowych (biorąc pod uwagę, iż wymiana handlowa z Rosją stanowi 80 proc. całego obrotu zagranicznego Bułgarii, zadanie tych central nie jest skomplikowane). Prywatny handel hurtowy zniknął całkowicie, prywatny handel detaliczny kurczy się z wielką szybkością. W trzecim kwartale 1948 sklepy prywatne uczestniczyły w 27% w całym obrocie detalicznym; w tym samym okresie 1949 udział ich skurczył się do 11%.

Jugosławia wyprzedziła nawet Bułgarię na drodze do "socjalizmu". Całkowite wyłączenie własności prywatnej w przemyśle, monopol państwa w handlu zagranicznym, bankach i instytucjach kredytowych, było faktem dokonany już w 1946 r. Z kolei nastąpiła likwidacja przedsiębiorstw handlowych, nie wyłączając kin i hoteli. We wrześniu 1948 r. państwo przejęło w drodze dekretu cały handel detaliczny.

Do połowy 1948 r. Rumunia pozostawała pozornie w tyle za Bułgarią i Jugosławią. Przed tą datą "sektor państwowy" obejmował jawnie Narodowy Bank Rumuński, koleje i bliżej nieokreśloną, lecz niewielką liczbę przedsiębiorstw przemysłowych. Pozostała część przemysłu, chociaż pośrednio kontrolowana przez rady przemysłowe, stanowiące organy państwa, nominalnie była nadal własnością prywatną. Trwało to tak długo, dopóki przemysł rumuński pracował niemal wyłącznie nad wykonaniem dostaw z tytułu odszkodowań dla Rosji. Chociaż Rosja zabierała towary, winę za ich brak na rynku rumuńskim składano na "spekulantów" i prywatnego kapitalistę. Ustawa z czerwca 1948 zmieniła ten stan rzeczy radykalnie. Na mocy tej ustawy wszelkie bogactwa naturalne, środki transportu i komunikacji, instytucje kredytowe i ubezpieczeniowe stały się własnością państwa. Tak jak w wypadku Bułgarii ustawa praktycznie pozwoliła "upaństwowić" wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, nie wyłączając większych warsztatów. W sierpniu 1948 cały system bankowy uległ reorganizacji, w której wyniku pozostały jedynie cztery banki państwowe. Zakładanie nowych banków stało się przestępstwem. Handel zagraniczny jest monopolem państwowym. W "upaństwowieniu" handlu wewnętrznego Rumunia trzyma się ortodoksyjnej sowieckiej linii gruntownych i powolnych zmian. Od końca 1947 Ministerstwo Handlu tworzy centrale hurtowe, znane pod nazwą "Centrocoms", które rozbudowują własną sieć sklepów detalicznych. Na wsi handel prywatny wypierany jest przez kooperatywy, które są inną formą sklepów państwowych. Ich liczba przekraczała w ub. r. cyfrę 6.000.

W trzech pozostałych, bardziej uprzemysłowionych "demokracjach ludowych", wypadki potoczyły się nieco odmiennymi drogami. W Czechosłowacji pierwsza ustawa o "upaństwowieniu" pozostawiła niemal 40% przemysłu w rękach prywatnych. Stan ten utrzymał się do zamachu stanu w lutym 1948 i w dwa miesiące później druga z kolei ustawa dała państwu kontrolę nad 95% produkcji przemysłowej. Resztki "sektora pry-

watnego" znikają w drodze "administracyjnej" i jego stan posiadania oceniany był ostatnio na 3%. Ustawa z kwietnia 1949 r. objęła oprócz przemysłowych także przedsiębiorstwa handlowe zatrudniające więcej niż 50 pracowników. Handel zagraniczny jest całkowicie w rękach państwa, które dokonuje transakcji za pośrednictwem 30 central importowo-eksportowych. Podobnie handel hurtowy stał się wyłącznym monopolem państwowym i jednocześnie narzędziem niszczenia prywatnego handlu detalicznego. Liczba sklepów prywatnych jest nadal znacznie większa niż sklepów państwowych, lecz udział tych ostatnich w całkowitym obrocie detalicznym wyraża się cyfrą 40%, czego przyczyną należy szukać w dyskryminacji na ich korzyść w przydziałach z państwowych central hurtowych. Specjalna ustawa z grudnia ub.r. pozwala państwu wywłaszczyć, stosownie do swego uznania, wszelką nieruchomością miejską. Podobnie jak w innych "demokracjach ludowych" państwo przejęło cały system bankowy, redukując liczbę banków do czterech, każdy z nich z odrębną funkcją do spełnienia. Zakładanie nowych banków jest wzbronione. W ten sposób państwo kontroluje wszelkie operacje finansowe i stało się, według znanego określenia Lenina, "centralnym biurem rozrachunkowym całej ekonomii narodowej".

W Polsce tempo "upaństwowienia" przemysłu było także (w stosunku do państw pierwszej grupy) powolne. Ustawa ze stycznia 1946 r. określa 17 kategorii przedsiębiorstw przemysłowych, podlegających bez wyjątku "upaństwowieniu" oraz postanawia, iż każde przedsiębiorstwo, zatrudniające więcej niż 50 robotników, przechodzi na własność państwa. Ponadto ustawa pozostawiła otworem możliwość "upaństwowienia" przedsiębiorstw zatrudniających mniej niż 50 robotników stosownie do potrzeby i uznania. Chociaż ustawa ze stycznia 1946 r. była szeroka, pozostawiła ona w rękach prywatnych bliżej nieokreślony lecz dość znaczny udział w produkcji przemysłowej. Eliminacja "sektora prywatnego" dokonała się niepostrzeżenie przy pomocy polityki podatkowej i kredytowej oraz konfiskat za "sabotaż ekonomiczny". W sierpniu 1948 r. Minc ocenił, iż 85% produkcji przemysłowej należy do "sektora państwowego", w rok później (wrzesień 1949) cyfra ta urosła, także według oświadczenia Minca, do 95%. Cały handel zagraniczny i hurtowy jest obecnie w rękach państwa. Prywatny handel detaliczny stale maleje. We wrześniu 1949 r. 50% sklepów było własnością państwa i pod koniec ub.r. podjęte były nowe kroki zmierzające do całkowitej eliminacji handlu prywatnego. Banki prywatne, komunalne i udziałowe znikły całkowicie i wszelkie transakcje finansowe dokonywane są przez banki państwowe (w liczbie siedmiu).

Na Węgrzech "upaństwowienie" przemysłu nastąpiło dopiero na początku 1948 r., z tych samych przyczyn, jakie działały w Rumunii. "Upaństwowieniu" uległy wszystkie przedsiębiorstwa zatrudniające więcej niż 100 robotników i jak wówczas

oceniano około 90% produkcji przemysłowej znalazło się w "sektorze państwowym". Druga z kolei ustawa, z grudnia 1949 r., wyeliminowała całkowicie prywatnego kapitalistę w przemyśle, a także w handlu. "Upaństwowieniu" podlegają bowiem obecnie wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, zatrudniające więcej niż 10 robotników. Państwo posiada wyłączny monopol w handlu zagranicznym i hurtowym i kontroluje całkowicie wszelkie operacje finansowe za pośrednictwem banków państwowych posiadających przywilej wyłączności. Handel detaliczny kontrolowany był w 30% przez państwo, lecz i ten stan rzeczy uległ przypuszczalnie dalszej zmianie w wyniku ustawy z grudnia 1949 r.

Socjalistyczna konstrukcja w rolnictwie

Socjalistyczna konstrukcja w rolnictwie jest tak doktrynalnie, jak praktycznie, przebudową trudniejszą, bardziej skomplikowaną i delikatniejszą, aniżeli jej odpowiednik w przemyśle i także w handlu. Jej niepowodzenie, nawet chwilowe, stanowi olbrzymią stratę finansową, powoduje wzrost niezadowolonia i oporu na wsi i w miastach, pozbawionych należytych dostaw żywności, a w niektórych wypadkach wytworzyć może warunki glodowe, znane w historii Rosji Sowieckiej.

Doktryna leninizmu-stalinizmu wymaga natychmiastowego wywłaszczenia wielkiej własności ziemskiej, a to celem położenia podwalin pod sojusz chłopsko-robotniczy, wiodący do dyktatury proletariatu i społeczeństwa bezklasowego przyszłości. Do tego celu służy reforma rolna, która pozyskać ma maksymalną liczbę chłopów na sojuszników rewolucji przez zainteresowanie ich w utrzymaniu wytworzonego przez nią stanu rzeczy. Lecz ta politycznie zorientowana reforma, w której następstwie skonfiskowana własność ziemska rozdzielona jest między możliwie największą liczbę bezrolnych i małorolnych chłopów, stwarza znaczną ilość karłowatych, ekonomicznie niewystarczających, gospodarstw rolnych. Pociąga to za sobą upadek wydajności produkcji oraz obniżenia się dopływu produktów rolnych na rynek wewnętrzny. Znaną jest bowiem rzeczą, że im większe rozdrobnienie ziemi, tym większy procent produktów konsumowanych jest lokalnie, a tym samym mniej pozostaje na użytek ogólny. Stwarza to rosnące w miarę upływu czasu trudności w wyżywieniu ludności miejskiej, i prowadzi do coraz drastyczniejszych kroków w stosunku do chłopów (kwoty przymusowych dostaw lub konfiskata produktów rolnych).

Do tego nieuniknionego rozwoju wydarzeń dołączają się nowe trudności narastające w miarę realizacji socjalistycznej budowy w szerokim tego słowa znaczeniu. Chłop, który przez nabycie prawa własności do skrawka ziemi stał się w pierwszej fazie socjalistycznej konstrukcji sojusznikiem systemu, zamienia się w dalszych fazach na jego przeciwnika. Doktryna leninizmu-stalinizmu odrzuca tzw. teorię równowagi, współistnie-

nia w państwie "socjalistycznym" produkcji rolnej opartej o własność prywatną i produkcji przemysłowej zorganizowanej w ramach wielkich "upaństwowionych" koncernów. Chłop uprawiający własne gospodarstwo jest, według tej doktryny, ostatnim fundamentem systemu kapitalistycznego, który będzie się odradzał dopóki istnieje to jego naturalne podłoże. Dopiero przekształcenie indywidualnej produkcji rolnej na produkcję kolektywną niszczy ostatecznie wszelkie ślady i zarodki kapitalizmu. Doktryna leninizmu-stalinizmu w pełni docenia, nie bez podstaw w doświadczeniu sowieckim, opór stawiany przez chłopów próbom pozbawienia go jego własności oraz "niewolnicze", jak określił to Stalin, przywiązanie chłopów do ziemi. Przejście od systemu drobnych gospodarstw do systemu kolektywistycznego wymaga czasu i środków, które są mieszaniną przymusu, zachęty, propagandy, dobrej organizacji i taktyki, personelu technicznego. W każdej fazie tego procesu dzielenie ludności wiejskiej na kulaków, chłopów średnich i drobnych, oraz wygrywanie jednych przeciw drugim, rozbija solidarność chłopską i redukuje liczbowo problem chłopów opornych. Wzrastająca kontrola nad wymianą towarów między wsią a miastem jest najpierw środkiem ekonomicznego niszczenia kulaków, później — "przekonania" chłopów średnich i drobnych o wyższości gospodarstw kolektywnych nad indywidualnymi. Temu samemu celowi służy polityka podatkowa, wymiar przymusowych dostaw produktów rolnych, przydziały nawozów sztucznych, ograniczenia w korzystaniu z usług stacji traktorów i innych maszyn rolniczych.

Z tego ogólnego i niedokładnego przedstawienia problemów i metod socjalistycznej budowy w rolnictwie wynika jasno, iż wymaga ona gruntownych przygotowań, pełnej kontroli państwa nad przemysłem pracującym na rzecz rolnictwa i nad handlem. Nic przeto dziwnego, iż kolektywizacja rolna na wielką skalę nie rozpoczęła się jeszcze w żadnym kraju Europy Środkowo-Wschodniej, chociaż znaki jej zbliżania dają się wyraźnie rozpoznać.

Reforma rolna przeprowadzona została we wszystkich krajach, o których mowa, i powitana została przez wielu z uznaniem i zadowoleniem. Była to zasadniczo reakcja chwalebna i zrozumiała. Istnienie wielkiej własności ziemskiej pokrywającej znaczną powierzchnię całego obszaru uprawnego w kraju posiadającym wielką liczbę bezrolnych chłopów, oburza do tego stopnia nasze poczucie sprawiedliwości, iż każda reforma kładąca kres temu stanowi rzeczy, niezależnie od dalszych następstw, budzi naszą sympatię i uznanie. Zapominamy wówczas, że kwestia rolna w Europie Środkowo-Wschodniej jest nie tylko sprawą sprawiedliwości, lecz problemem ekonomicznym. Jej właściwe rozwiązanie nie polega ani na pozostawieniu wielkiej własności w stanie nietkniętym, ani na podziale ziemi na drobne parcele niezdolne wyżywić żyjącej na niej rodziny. Jedynym słusznym i ekonomicznie trafnym rozwiązaniem kwestii rolnej

w Europie Środkowo-Wschodniej jest tworzenie samowystarczalnych, intensywnych chłopskich gospodarstw. Z tej przyczyny reforma rolna, która zmierzałaby jednocześnie do urzeczywistnienia większej miary sprawiedliwości społecznej i do stworzenia ekonomicznie zdrowej struktury rolnej, musiałaby jednocześnie przedsięwziąć parcelację wielkiej własności i powiększenie gospodarstw karłowatych do wielkości samowystarczального gospodarstwa. Cel ten był daleki od kierowników życia ekonomicznego w Europie Środkowo-Wschodniej. Dążąc do stworzenia sojuszu chłopsko-robotniczego w wskazanym wyżej sensie, celem reformy stało się maksymalne rozdrobnienie ziemi. Dawało to doraźne polityczne korzyści i przygotowywało grunt pod kolektywizację w przyszłości.

Reforma rolna po Drugiej Wojnie Światowej nie pozostawiła wielkiej własności w żadnym kraju Europy Środkowo-Wschodniej, prócz własności przejętej przez państwo i uprawianej nadal w dawny "feudalny" sposób. Jednocześnie zwiększyła wszędzie liczbę gospodarstw karłowatych. Jej doktrynalny i polityczny charakter ujawnia fakt, iż opierała się wszędzie na tych samych zasadach, niezależnie od istniejącej dotąd struktury rolnej i jej wymagań, różnych w różnych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Reforma rolna przeprowadzona została w ten sam sposób w Bułgarii, gdzie przed wojną gospodarstwa ponad 30 hektarów pokrywały 2,7% obszaru uprawnego i na Węgrzech, gdzie obszar ten wyrażał się cyfrą ponad 50%; w Czechosłowacji i Polsce, gdzie około 15% ludności wiejskiej nie posiadało ziemi i w Rumunii, gdzie chłopów bezrolnych nie było niemal wcale.*)

Wynikiem powojennej reformy rolnej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej było pogłębienie i wzrost najgorszych cech przedwojennej struktury rolnej tych krajów. W Rumunii liczba gospodarstw karłowatych wzrosła z 80% do 95% wszystkich gospodarstw. Na Węgrzech gospodarstwa karłowate pokrywają ponad połowę całego obszaru. W Polsce zaledwie 15% gospodarstw jest samowystarczalnych, lecz 2/3 z nich określa się nazwą przedsiębiorstw kapitalistycznych.

Ten stan rzeczy, rozpatrywany z punktu widzenia odległych celów socjalistycznej budowy w rolnictwie, posiada wiele cech dodatnich. Kontrola nad chłopem na gospodarstwie karłowatym jest znacznie łatwiejsza i jego brak ekonomicznej niezależności sprawia, iż jest on mniej oporny w stosunku do przemian prowadzących od indywidualnych do kolektywnych metod uprawy roli. Sprzeczność między dążnością do mechanizacji rolnictwa, która podnosi wydajność ziemi i pracy, lecz wymaga większych, jednolitych obszarów, a rozdrobnieniem ziemi na drobne parcele, dostarcza przekonującego uzasadnienia do przeciwstawiania się indywidualnym metodom uprawy ziemi jako przeszkody na drodze postępu. Wadliwa struktura

*) Zob. Tab. 1.

rolna obniża wytwórczość i sprawia, że mniejsza ilość pól rolnych jest dostępna dla ogólnej konsumpcji. Zieźniwa przybierają w tych warunkach rozmiary klęski, która w ubiegłych latach dała się we znaki wszystkim krajom Europy Środkowo-Wschodniej. "Majątki państwowe" stają się podporą produkcji rolnej i zwiększenie ich obszaru staje się nagłym nakazem narodowym. Jak komuniści nieodmiennie powtarzają, rolnictwo pozostaje w tyle za przemysłem, nie jest w stanie wyżywić rosnącej liczby robotników i zagraża powodzeniu ekspansji przemysłowej. W ten sposób przygotowany jest grunt do następnego kroku — łączenia gospodarstw karłowatych w kołchozy, których pierwszą, obecnie najbardziej rozpowszechnioną formą są rolne Kooperatywy produkcyjne.

Tworzenie kooperatyw rolnych rozpoczęło się we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej, na największą skalę w Bułgarii, Jugosławii i Rumunii. Fakt, że te trzy kraje wyprzedziły Czechosłowację, Polskę i Węgry, posiada proste wyjaśnienie. Rozdrobnienie ziemi było w trzech pierwszych krajach największe, ich przemysł był słabo rozwinięty, a w konsekwencji straty spowodowane upadkiem produkcji rolnej były dla całokształtu ekonomii narodowej najdotkliwsze. Kolektywizacja ziemi stała się w tych warunkach nagłym postulatem ekonomicznym.

Bulgaria rozpoczęła kolektywizację ziemi bodaj najwcześniej i każdy rok przynosił powolny, lecz stały wzrost liczby kooperatyw produkcyjnych. W 1944 r. było ich 110, w 1945 — 382, w 1946 — 480, w 1947 — 599, w 1948 — 1100, w 1949 — 1600, pokrywając niemal 1/8 całego obszaru uprawnego. Wydarzenia wykazały, że Bułgaria nie mogła podoląć nawet temu powolnemu tempu kolektywizacji. Brak narzędzi i maszyn rolniczych, niki zasoby finansowe, oraz szczupłość odpowiednio wyszkolonego personelu technicznego sprawiły, że wiele kooperatyw zaczęło bankrutować, powodując dalszy wzrost paniki i oporu wśród małorolnych chłopów. Plenum Partii Komunistycznej przyznało się publicznie, w czerwcu 1949 r., do błędów i zmniejszałceń w polityce kolektywizacyjnej. Nie mniej kolektywizacja prowadzona będzie energicznie naprzód i plan pięcioletni przewiduje, iż w 1955 r. gospodarstwa kolektywne pokrywać mają 60% całego obszaru uprawnego.

W Jugosławii sytuacja jest paradoksalna. Rezolucja Kominformu zarzucała Jugosławii, że popełniła wiele niewybaczalnych błędów doktrynalnych w swej polityce rolnej, urastających do miary odchylenia prawicowego Bucharina (dzisiaj nazywanego także "gomółkizmem"). Rezolucja zarzucała Jugosławii, iż zaniedbała "upaństwowienia" ziemi (błąd, który Jugosławia dzieliła wówczas z wszystkimi innymi krajami Europy Środkowo-Wschodniej), poniechała walki klasowej na wsi, faworyzowała kułaków, wreszcie zaniedbała stworzenie podstaw do socjalistycznej budowy na wsi. Jednocześnie wiemy, iż Jugosławia wyprzedziła pod tym względem nawet Bułgarię. W 1948 r.

produkcyjne Kooperatywy rolne pokrywały 15% całego obszaru uprawnego i w okresie który od tej daty minął kolektywizacja ziemi dokonała dalszego znacznego postępu. Według ostatnich doniesień liczba kooperatyw rolnych powiększyła się we wszystkich republikach jugosłowiańskich i obszar, jaki one zajmują, stanowi 1/4 całego obszaru uprawnego. Wątpić trzeba, by polityka rolna Jugosławii była przyczyną sporu i zerwania stosunków z Kominformem.

Rumunia kroczy w ogonie postępu kolektywizacji w krajach bałkańskich, chociaż od marca 1949 r. uczyniono wiele, by to opóźnienie naprawić. W marcu 1949 r. Partia Komunistyczna uchwaliła rezolucję tworzącą podstawę nowej polityki rolnej. Rezolucja zakazuje sprzedaży, kupna i dzierżawienia ziemi; kładzie kres ekonomicznej ekspansji kułaków ustanawiając zasady klasowego i różniczkowego wymiaru podatku, przydziału kredytów, wymiaru przymusowych norm dostaw produktów rolnych; domaga się szybkiej rozbudowy Kooperatyw skupu i rozsprzedaży; wreszcie zaleca tworzenie gospodarstw kolektywnych z tym zastrzeżeniem, iż tempo kolektywizacji musi być dostosowane do rozwoju socjalistycznego przemysłu, wzrastania liczby ekspertów i utrwalania się świadomości wśród mas chłopskich o wyższości gospodarki kolektywnej nad indywidualną. Od lata 1949 każdego miesiąca powstają dziesiątki produkcyjnych kooperatyw rolnych, którym towarzyszą głuche odgłosy czynnego oporu, a nawet rozruchów chłopskich. Pod koniec 1949 r. istniało 55 gospodarstw kolektywnych, które według niedawnego oświadczenia Gheorghiu-Dei "reprezentują naszą przyszłość w postępie rolnictwa. Idea pracy kolektywnej przenika coraz głębiej umysły pracującego chłopstwa i jego żądania skierowane do Partii i rządu, domagające się zakładania nowych gospodarstw kolektywnych, nabierają stale na sile". Plan na 1950 nie ujawnia rozmiarów kolektywizacji, która będzie w tym okresie przeprowadzona, lecz wymienia kilka cyfr obrazujących znaczny postęp w mechanizacji oraz narastanie odpowiednio wyszkolonego personelu przyszłych gospodarstw kołchoźniczych.

Produkcyjne kooperatywy rolne w pozostałych trzech krajach Europy Środkowo-Wschodniej — Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech, były przed rezolucją Kominformu w sprawie Jugosławii prawie nieznanne. Od tego jednak momentu socjalistyczna konstrukcja w rolnictwie nabrała w wymienionych krajach doktrynalnej i praktycznej ostrości. Po pierwsze podjęto ostre kroki przeciw kułakom, zgodnie z doktryną leninizmu-stalinizmu, iż walka klasowa na wsi stanowi niezbędną fazę poprzedzającą kolektywizację. Po wtóre przyspieszono przygotowanie kadr technicznych gospodarstw kolektywnych, usztywniono i rozbudowano intensywnie sieć kooperatyw rolnych skupu i sprzedaży, wreszcie zdwojono wysiłki zwiększenia produkcji maszyn rolniczych. Po trzecie, porzucono oficjalnie doktrynę tzw. ekonomii mieszanej, która uznawała możliwość współistnienia "so-

cialistycznego" przemysłu oraz opartego na własności prywatnej rolnictwa. Po czwarte, ujawniła się tendencja do tworzenia wzorowych gospodarstw kolektywnych. Mają być one przykładem, zachętą i przedmiotem zazdrości dla ubogich chłopów i wykazywać im wyższość gospodarki kolektywnej nad indywidualną. Ten czynnik psychologiczny odegrać może znaczną rolę, gdy nadejdzie chwila kolektywizacji rolnictwa na wielką skalę. Początki są jednak na razie niezwykle skromne, stosunkowo największe na Węgrzech, gdzie produkcyjne kooperatywy rolne pokrywają 7% całego obszaru uprawnego. W Polsce i w Czechosłowacji liczba gospodarstw kolektywnych jest znikoma.

Jest rzeczą prawdopodobną, iż rok bieżący stanowić będzie w kolektywizacji rolnictwa w Europie Środkowo-Wschodniej okres przełomowy. Bułgaria, Czechosłowacja, Polska i Węgry bądź już zaczęły w 1949 r., bądź rozpoczynają w tym roku długofalowe plany rozbudowy ekonomicznej (w przeciwstawieniu do krótkofalowych planów odbudowy lat ubiegłych). Rumunia w swym ostatnim planie jednorocznym kładzie podwaliny pod pierwszą intensywną pięcioletkę. Socjalistyczna konstrukcja w rolnictwie stoi wysoko wśród celów, jakie te plany sobie stawiają. Wypowiedzi kierowników przebudowy ekonomicznej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, dotyczące kolektywizacji ziemi na wielką skalę są jednak niezwykle ostrożne. Unikają one terminu "kolektywizacja" i podkreślają "dobrowolny" charakter komasacji indywidualnych gospodarstw chłopskich w gospodarstwa kolektywne. Są one nie mniej stanowcze i ostrożności słownej nie należy interpretować jako braku determinacji w wprowadzeniu w życie zamierzonej przebudowy struktury rolnej w "demokracjach ludowych" na przestrzeni kilku najbliższych lat.

Czechosłowacki Minister Rolnictwa Duris scharakteryzował zamierzenia planu pięcioletniego w rolnictwie w następujący sposób. "Podczas gdy w czechosłowackim przemyśle przeważający ciężar spoczywa na odcinku znacjonalizowanym, tzn. na sektorze o charakterze socjalistycznym, obejmującym 95% całej wytwórczości przemysłowej, w rolnictwie 95% ziemi uprawia się w ramach gospodarki indywidualnej". Stwierdziwszy, że w rolnictwie sektor socjalistyczny obejmuje 2%, sektor kapitalistyczny — 6%, sektor drobnych gospodarstw — 92% wszystkich gospodarstw, Duris dodał: "Jest rzeczą oczywistą, iż liczba 1.400.000 drobnych gospodarstw jest bardzo wielką przeszkodą w skutecznym planowaniu produkcji rolnej i w ten sposób także w planowaniu zaopatrzenia ludności w żywność". Struktura rolna, którą charakteryzuje znaczna liczba drobnych gospodarstw, posiada inne jeszcze niedomagania. W 1948 r. przeciętna wartość produktów wytworzonych przez robotnika rolnego wynosiła 20.000 koron podczas gdy robotnik fabryczny produkował przeciętnie równowartość 70.000 koron. Jednocześnie ilość produktów rolnych dostępna do użytku ogólnego jest niewystarczająca. "Wynika stąd", oświadczył Duris, "iż jest rze-

czę konieczną zwiększyć i przyspieszyć tempo postępu w rolnictwie, aby wyrównać je z tempem rozwoju czechosłowackiego przemysłu". Środkami do tego prowadzącymi jest "stworzenie gęstej sieci państwowych stacji traktorowych, ośrodków żywienia świń i innego żywego inwentarza, oraz pomoc we wszelkiej postaci udzielana kooperatywom, w szczególności kooperatywom produkcyjnym".

Pięcioletni plan węgierski postanawia, że należy "zwiększyć i rozwinąć komunalną, socjalistyczną uprawę ziemi jako ten typ rolnictwa, który jedynie jest w stanie w pełni wykorzystać nowoczesne środki produkcji i metody uprawy ziemi". Z 8 miliardów forynów, jakie plan pięcioletni przeznaczca na inwestycje, ponad 50% będzie zużytkowane na mechanizację. W ostatnim roku planu ilość traktorów wzrośnie do 22.800 (tzn. niemal 1 traktor na 300 ha), co umożliwi mechaniczną uprawę 60% ziemi uprawnej. Gospodarstwa państwowe stać się mają "ważnym czynnikiem ekonomicznym" i ich rozwój i rozbudowa pochłonie dalsze 20% inwestycji rolnych. Wreszcie "produkcyjne kooperatywy rolne, jako dobrowolne zrzeszenia pracujących chłopstwa dla komunalnej uprawy ziemi i jako wielkoobszarowe gospodarstwa na drodze do socjalizmu, otrzymają daleko idące poparcie państwa", które wyraża się w kredytach na zakup maszyn, inwentarza, budowę śpichrzy, stajen i obór w wysokości 875 milionów forynów, czyli 11% wszystkich inwestycji rolnych.

Zamierzenia kolektywizacji ziemi w Polsce w ramach planu sześcioletniego znalazły dotąd bardzo ostrożne, ostrożniejsze niż w wypadku Czechosłowacji, słowne sformułowanie. W przeszłości, oświadczył Minc pod koniec 1949 r., polskie rolnictwo rozwijało się w zasadzie po linii indywidualnych drobnych chłopskich gospodarstw. Socjalistyczny sektor w rolnictwie jest mały i słaby. Do niego należą pierwsze produkcyjne kooperatywy rolne stworzone w latach 1948/9; nie ma ich ogółem więcej niż 120. "Rozwój w kierunku tworzenia tych kooperatyw produkcyjnych jest dopiero w swych początkach. Wśród pracującego chłopstwa pogląd o konieczności przekształcenia obecnych zacofanych metod gospodarki na gospodarkę nowoczesną, przemiany gospodarki indywidualnej na kolektywną, zyskuje stale na sile... Nie ma wątpliwości, że pierwsze kooperatywy produkcyjne w liczbie 120 są tylko pionierami w ruchu masowym, który na przestrzeni najbliższych kilku lat stanie się czynnikiem decydującym w rozwoju rolniczych części Polski. Cały postęp polskiego rolnictwa potwierdza raz jeszcze prawdę nauki Lenina i Stalina o zmianie od gospodarki indywidualnej do kolektywnej uprawy ziemi oraz decydujące, powszechne i historyczne znaczenie doświadczeń sowieckich w dziedzinie budowy socjalizmu na wsi".

Okres realizacji obecnych planów rozbudowy ekonomicznej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej jest nie tylko przełomowy na skutek słownych zapowiedzi kolektywizacji ziemi na

wielką skalę, lecz także w związku ze spełnieniem się jednego z najważniejszych i koniecznych warunków kolektywizacji. Jak wiadomo, powodzenie kolektywizacji uzależnione jest w znacznej mierze od tego, czy dany kraj posiada wystarczające zasoby traktorów i innych maszyn rolniczych oraz przemysł zabezpieczający stały i wzrastający ich dopływ. Pod tym względem jedynie Czechosłowacja była samowystarczalna i własna jej produkcja była dostatecznie duża nie tylko dla zaspokojenia własnych potrzeb, lecz i potrzeb mniej zasobnych sąsiadów. Produkcja traktorów i maszyn rolniczych wprawdzie podniosła się znacznie na Węgrzech, w Polsce i Rumunii, lecz nadal jest niska w porównaniu z zapotrzebowaniem. Bułgaria i Jugosławia zdołały zbudować jedynie prototypy i na razie z trudem uzupełniają zużycie maszyn i traktorów importem z zagranicy.^{*)} Lecz w 1950 roku zjawia się na scenie nowy czynnik, który może mieć decydujące znaczenie. W roku bieżącym Rosja Sowiecka uzupełni straty wojenne i własne pełne zapotrzebowanie, osiągając jednocześnie olbrzymią produkcję 100 tys. traktorów rocznie. Rzucenie jej do krajów Europy Środkowo-Wschodniej może wpłynąć decydująco na tempo kolektywizacji, której Rosja coraz silniej się domaga będąc jednocześnie zmuszona przystąpić do przygotowania do kolektywizacji nie są dostatecznie daleko posunięte. "Pomoc" sowiecka usunie najważniejsze niedomagania i pozwoli otrząsnąć się z dotychczasowej ostrożności.

Gospodarka planowa, plany ekonomiczne i ich koordynacja

Przedstawienie przemian ekonomicznych, wiodących do nominalnego kolektywizmu w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, nie byłoby zupełne bez uwzględnienia dynamiki tych procesów, znajdujących najpełniejszy wyraz w gospodarce planowej i planach ekonomicznych tych krajów.

Posługując się terminami "gospodarka planowa" lub "planowanie" w odniesieniu do Rosji Sowieckiej i Europy Środkowo-Wschodniej należy pamiętać, iż posiadają one — podobnie jak się rzecz ma z innymi terminami — odmienne znaczenie po obu stronach żelaznej kurtyny. W świecie zachodnim gospodarka planowa nie wyklucza umyślnego wstrzymania się od ingerencji w określonych dziedzinach ekonomii narodowej, łączenia zasad wolnego rynku z planowaniem stosownie do potrzeb, stosowania jednocześnie metod planowania bezpośredniego i pośredniego. Nie jest to rzeczą możliwą w gospodarce planowej typu sowieckiego. Jest ona totalna w tym sensie, iż obejmuje wszystkie dziedziny ekonomii narodowej i absorbuje wszystkie zasoby materialne, finansowe i ludzkie. W konsekwencji nie jest ona w czystej formie możliwa dopóki państwo nie jest jedynym i wyłącznym dysponentem całej ekonomii narodowej. W

^{*)} Zob. Tab. 2.

tym abstrakcyjnym sformułowaniu konsekwencje totalnego planowania ująć mogą niepostrzeżenie. W tym celu należy sobie uświadomić, iż z chwilą, gdy państwo staje się jedynym i wyłącznym dysponentem całej ekonomii narodowej, obywatel traci wszystkie podstawy niezależności, a państwo może mu dyktować dowolnie płace i warunki pracy z pominięciem jego słuszych potrzeb i aspiracji. Innymi słowy powstać mogą warunki, w porównaniu do których wyzysk świata pracy w dobie wczesnego kapitalizmu jest czymś wysoce niedoskonałym i amatorkim. Nie jest to niestety dowolna, sprzeczna z faktami dedukcja. Jak wiemy, niskie płace, brak artykułów konsumpcyjnych, zorganizowane formy wyzysku, znane pod nazwą norm wytwórczości, wysięgu pracy i pracy "dobrowolnej", są nieodłączną cechą sowieckiej gospodarki planowej. Wydajność takiego systemu, mierzona kryteriami czysto ekonomicznymi, jest niewątpliwie olbrzymia.

Kapitalizacja, zawsze i wszędzie, możliwa jest na dwóch i tylko na dwóch drogach, mianowicie przez obniżenie konsumpcji lub zwiększenie produktywności. Planizm sowiecki kroczy jednocześnie tymi drogami i kontrolą konsumpcji posługuje się jako środkiem zwiększenia produktywności. Dochód narodowy wrażliwy z niezwykłą szybkością, z czym jednak nie łączy się proporcjonalnie rosnący standart życia. Dochód narodowy jest bowiem natychmiast inwestowany w podstawowych gałęziach wytwórczości. Pozostaje to w związku z faktem, że planizm sowiecki należy do typu planowania wojennego. Planizm typu sowieckiego ma zapewnić samowystarczalność gospodarczą, podnieść przemysłowy potencjał wojskowy i stworzyć bazę dla ofensywy w walce o panowanie nad światem.

Rosja Sowiecka postawiła sobie ten cel w pierwszej pięcioletce i od tego momentu dążyła do jego urzeczywistnienia z niezwykłą konsekwencją w dalszych piatiletkach. Szybki rozwój produkcji narzędzi i środków wytwórczości, okupiony nikłą produkcją artykułów konsumpcyjnych, był cechą charakterystyczną pierwszego planu pięcioletniego i utrwał się niezmienne w dalszych pięcioletkach. Rozwój podstawowych gałęzi przemysłu nie zmniejszył tempa nawet wówczas, gdy wskaźnik wzrostu produkcji przemysłowej, rozpatrywanej jako całość, powoli obniżał się. Pod koniec drugiej piatiletki przemysł ciężki osiągnął z nadmiarem cele produkcyjne, podczas gdy wytwórczość towarów konsumpcyjnych nie dopełniła planu. W trzeciej pięcioletce wskaźniki wzrostu przemysłu ciężkiego były dwukrotnie wyższe niż wskaźniki np. produkcji obuwia lub materiałów tekstylnych. Pierwsza piatiletka powojenna nie różni się pod tym względem od piatiletki przedwojennych. W dawnych planach nieograniczony rozwój ciężkiego przemysłu uzasadniany był potrzebami mechanizacji rolnictwa i unowocześnienia przemysłu konsumpcyjnego. Plany późniejsze mówią już wyraźnie o konieczności prześcignięcia niemieckiej, brytyjskiej, amerykańskiej produkcji węgla, elektryczności, stali, ma-

szyn, narzędzi, najpierw w cyfrach absolutnych, później w stosunku do liczby ludności. Obiecywane czasy obfitości artykułów pierwszej potrzeby nigdy dotąd się nie spełniły, a ludność w Rosji żyje nadal tylko w oczekiwaniu zapowiadanego milenium. Realistyczna ocena nie pozwala przypuszczać, by ten stan rzeczy ulec mógł zmianie przedtem zanim tzw. "kapitalistyczne oskrzydlenie" nie zamieni się na "socjalistyczne oskrzydlenie świata kapitalistycznego".

W "demokracjach ludowych" państwo nie jest dotąd jedynym dysponentem wszystkich ludzkich i materialnych zasobów całej ekonomii narodowej. Gospodarka planowa typu sowieckiego sensu stricto nie jest w nich przeto jeszcze możliwa. Podobnie jak "demokracja ludowa" jest jedną z odmian "dyktatury proletariatu", tak ich gospodarka planowa należy do gatunku sowieckiego planizmu nie osiągając jego czystości i doskonałości. Różnica zasadnicza polega na tym, iż planizm sowiecki czystego typu planuje bezpośrednio, gospodarka planowa w "demokracjach ludowych" musi natomiast ograniczać się w niektórych dziedzinach do "kontroli w sposób planowy" (najbardziej przykładowo dostarcza rolnictwo przed kolektywizacją ziemi). Przyczyną tego faktu, jak wspomnieliśmy, jest to, że socjalistyczna budowa całej ekonomii narodowej w Europie Środkowo-Wschodniej nie jest jeszcze zakończona. Lecz właśnie planizm jest jednym z środków jej pełnej realizacji. Planizm w Europie Środkowo-Wschodniej, mówią jego teoretycy, jest socjalistyczny i należy do gatunku planizmu sowieckiego przez swą "klasową istotę", przez co należy rozumieć, iż jest on środkiem stałej eliminacji własności prywatnej w ekonomii narodowej. Według oceny Stalina te osiągnięcia planizmu są równie ważne jak jego osiągnięcia techniczne i plan pięcioletni, który nie zapewnia wzrostu produkcji socjalistycznej kosztem produkcji prywatnej nie jest planem pięcioletnim, lecz "pięcioletnim śmieciem".

Począwszy od 1947 r. wszystkie z wyjątkiem Rumunii kraje Europy Środkowo-Wschodniej odbudowują swoją ekonomię narodową na zasadach planizmu i planów ekonomicznych. Bułgaria i Czechosłowacja zakończyły w 1949 r. dwuletnie plany rekonstrukcji i rozpoczęły pierwsze pięcioletki. Polska i Węgry miały plan trzyletni (w wypadku Węgier skrócony do 2 i pół lat), wykonany w latach 1947/50, a obecnie przystąpiły do sześciu- i pięcioletniego planu rozbudowy (w wypadku Polski należy oczekiwać skrócenia planu, w trakcie jego wykonywania, do pięciu lat). Jugosławia rozpoczęła natychmiast gigantyczną piatiletkę. Jedynie Rumunia pracuje dotychczas według planów jednorocznych, na wzór Gosplanu z lat 1926-28. Pierwszy rumuński plan pięcioletni rozpocznie się w 1951 r.

O wszystkich tych planach można powiedzieć, iż bliższe są pierwszej sowieckiej piatiletce, która utrwaliła i rozszerzyła socjalistyczną konstrukcję przez całkowitą eliminację własności prywatnej w przemyśle i kolektywizację ziemi, aniżeli do na-

stępnych piatiletek, pracujących na rzecz zwiększenia potencjału wojennego. Choć różnią się one w szczegółach podyktowanych warunkami danego kraju, łączą je wspólne założenia i cele. Z grubsza rzecz biorąc charakteryzują je cztery myśli przewodnie: 1) Rozwój produkcji przemysłowej ma pierwszeństwo przed rozwojem produkcji rolnej, która nie ma warunków wzrostu wcześniej zanim nie będzie przeprowadzona mechanizacja uprawy i kolektywizacja ziemi. 2) W ramach rozwoju produkcji przemysłowej przemysł ciężki (produkcja elektryczności, węgla, rud, płynnego paliwa, żelaza, stali, maszyn) ma pierwszeństwo przed produkcją dóbr konsumpcyjnych. 3) Koszt inwestycji stanowi b. wysoki procent dochodu narodowego. 4) Plan winien wzmocnić kontrolę ekonomiczną państwa nad społeczeństwem. Poniżej załączona tabela (3), uwidacznia pierwszą i trzecią z wymienionych cech planów gospodarczych. Cecha ostatnia była już uprzednio szerzej omówiona. Należy jedynie po krótko omówić trzecią myśl przewodnią planów realizowanych w Europie Środkowo-Wschodniej.

Szczegółowe uzasadnienie tezy, iż plany ekonomiczne w krajach Europy Środkowo-Wschodniej dają ciężkiemu przemysłowi pierwszeństwo nad przemysłem konsumpcyjnym wymaga zestawienia odpowiednich wskaźników różnych gałęzi wytwórczości przemysłowej. Dla naszych celów wystarczy wyliczenie kilku charakterystycznych faktów. W Polsce w 1937 r. stosunek produkcji przemysłu ciężkiego do lekkiego miał się jak 47 : 53; w 1948 uległ on zmianie na 54 : 46 i dalsze zwiększenie tego stosunku na korzyść przemysłu ciężkiego jest zapowiadane i potwierdzone odnośnymi wskaźnikami produkcyjnymi. W Czechosłowacji po zakończeniu pięcioletki produkcja przemysłu ciężkiego wzrosła o 220% w stosunku do stanu z 1937 r., podczas gdy produkcja dóbr konsumpcyjnych dopiero osiągnęła poziom z 1937 r. Nawet w Bułgarii relacja przemysłu ciężkiego do lekkiego znacznie się zmieni na korzyść pierwszego. U końca planu dwuletniego wyrażała się ona stosunkiem 24 : 76; plan pięcioletni ma ją przekształcić na stosunek 45 : 55.

Ten stan rzeczy nie pozostaje w sprzeczności z doniesieniami — zakładając ich prawdziwość — iż standard życia w niektórych krajach Europy Środkowo-Wschodniej mierzony konsumpcją na głowę ludności przekroczył poziom przedwojenny. Należy pamiętać, że zmiany terytorialne i transfer ludności zmniejszyły liczbę ludności w Czechosłowacji z 15 milionów w 1937 r. do 12 milionów (1947); w Polsce z 35 milionów (1939) do 24 milionów (1946); w Rumunii z 20 milionów (1939) do 15,9 milionów (1948). Wzrost konsumpcji niektórych artykułów na głowę ludności dokonać się więc mógł automatycznie pod warunkiem, że przemysł konsumpcyjny osiągnął pewien procent poziomu przedwojennego. Poprawa, jeżeli jest ona faktem, była jednorazowa i związana z czynnikami nieekonomicznej natury.

Plany gospodarcze w krajach Europy Środkowo-Wschodniej,

umacniając tę samą strukturę społeczno-gospodarczą i nadając rozwojowi ekonomii narodowej ten sam kierunek, budują fundamenty pod scalenie gospodarcze tych krajów z Rosją Sowiecką. W tym sensie plany ekonomiczne stanowią ważną fazą przygotowawczą. Znaczenia ich nie można jednak z drugiej strony wyolbrzymiać. Jest bowiem faktem niewątpliwym, że chociaż plany te należą do typu planizmu sowieckiego, były one stosowane na obszarze każdego państwa w oderwaniu od potrzeb państwa sąsiadującego i przy przeważającym uwzględnieniu ich własnego interesu. W tym znaczeniu były to plany narodowe. Nie wykazują one śladów, iż były dyktowane z zewnątrz jako części składowe planu dla całego obszaru pod kontrolą sowiecką. Istniały wprawdzie odstępstwa od tej linii, lecz odstępstwa te były raczej wyjątkiem niż regułą.

Taki rozwój wydarzeń w pierwszych latach powojennych był dość oczywisty. W 1947 r. wszystkie państwa Europy Środkowo-Wschodniej stawiały pierwsze kroki w planowaniu. Brak doświadczenia i odpowiedniego personelu stał się wkrótce widoczny. Okazało się, iż plany nie opierały się na dokładnym zbadaniu wykonalności celów produkcyjnych. Pod tym względem plan czechosłowacki i polski przedstawiały się stosunkowo najlepiej. Oba plany opierały się bowiem w mniejszej lub większej mierze na obliczeniach ustalających równowagę między celami produkcyjnymi i zasobami materialnymi (pojemnością produkcyjną, surowcami, pracą). Natomiast plan bułgarski i jugosłowiański są niemal wyłącznie zbiorem celów produkcyjnych, które należałoby osiągnąć, ale nie uwzględniają materialnych możliwości. W następstwie w obu tych krajach zaczęły narastać "korki produkcyjne" przeradzające się w stan chaosu. W wypadku Bułgarii błędy planowania można była załatać improvizowaną pomocą z zewnątrz. W wypadku Jugosławii nie było to już rzeczą wykonalną. Plan jugosłowiański załamał się przed wybuchem sporu z Kominformem, a od zerwania stosunków gospodarczych z Rosją, Czechosłowacją, Polską i Węgrami plan jugosłowiański istnieje tylko na papierze.

Plany gospodarcze satelitów były zapewne traktowane przez Moskwę z pobłażaniem i jako środki mobilizacji i inwentaryzacji zasobów materialnych oraz jako przygotowanie gruntu pod planowanie w stylu sowieckim i na globalną skalę. Plan narodowy spełnia tę rolę lepiej, aniżeli taki, który jawnie stanowi część składową globalnego planu sowieckiego. Przykład Polski i Jugosławii, gdzie w ten sposób zdołano wydobyć z całego społeczeństwa olbrzymią ilość energii i zapału dla gospodarczej odbudowy kraju, wykazuje słuszność tego założenia.

Ta ocena dotyczy bez zastrzeżeń jedynie przeszłości. Ogłoszenie planu Marshalla miało dla Europy Środkowo-Wschodniej bardzo ważne następstwa, które dzisiaj, w perspektywie czasu, dostrzec można wyraźnie. Plan Marshalla niewątpliwie przyspieszył procesy wiodące do scalenia gospodarczego Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej. Dla obserwatora z zewnątrz, dys-

ponującego z konieczności niedokładnymi danymi, przyspieszenie integracji ekonomicznej ujawniło się w rozpatrywanej dziedzinie w dwóch zjawiskach: koordynacji planów gospodarczych krajów z za Żelaznej Kurtyny oraz pojawienie się pierwszych znaków planowania regionalnego dla całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Koordynacja planów gospodarczych nastąpiła głównie w związku z rozbudową i wzmocnieniem siatki traktatów handlowych, którą pokryta została Europa Środkowo-Wschodnia po odrzuceniu przez Moskwę planu Marshalla. W siatce tej Jugosławia figurowała jako jedno z ważnych ogniw i fakt, że kraje Mołotowa zerwały stosunki handlowe z Jugosławią dopiero w rok po wybuchu sporu z Kominformem jest wymownym świadectwem roli, jaką handel regionalny w Europie Śr.-Wschodniej nabrał w życiu ekonomicznym każdego z tych krajów. Plan jugosłowiański związany był ściśle z dostawami maszyn, szczególnie sprzętu elektrycznego i eksploatacji kopalń, z przemysłem węgierskim i czeskim. Z drugiej strony plan czechosłowacki i węgierski brały pod uwagę ustalone kwoty środków żywnościowych oraz rud, które Jugosławia zobowiązała się im dostarczać. Program elektryfikacji oraz mechanizacji rolnictwa połączył Jugosławię i Bułgarię ścisłymi więzami. Czechosłowacki plan pięcioletni, który podejmuje całkowitą przebudowę czechosłowackiej gospodarki narodowej przez olbrzymi wzrost produkcji przemysłu ciężkiego, szczególnie przemysłu maszynowego, opiera się na zobowiązaniach zaciągniętych przez Czechosłowację w stosunku do innych krajów tego obszaru. Każdy układ bilateralny między krajami Europy Środkowo-Wschodniej ujawnia przykłady dostosowania lub nagięcia produkcji jednego do potrzeb drugiego państwa. "Wszechstronny rozwój stosunków handlowych i ekonomicznych między "demokracjami ludowymi" i ZSRR" — pisał Minc pod koniec 1949 r. — "przyspiesza wzrost sił produkcyjnych i zwycięstwo socjalizmu, wzmacnia planowany rozwój w krajach demokracji ludowych i stwarza możliwości rozszerzenia zasięgu planowej koordynacji do kilku państw. Rada Wzajemnej Ekonomicznej Pomocy jest formą organizacyjną, która przyspiesza nagromadzenie doświadczenia, kształtowanie się i krystalizację nowych stosunków ekonomicznych".

Umowa o współpracy gospodarczej między Polską i Czechosłowacją jest pierwszym śladem planowania przekraczającego granice jednego kraju i wykazującego intencje planowania w sensie globalnym dla całego obszaru. Jak wiadomo, wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej, z wyjątkiem Czechosłowacji, cierpią na brak maszyn i sprzętu wszelkiego rodzaju. Nadzieje uzyskania ich dopływu z Zachodu znikły z chwilą odrzucenia Planu Marshalla. Obowiązek ich dostarczenia spadł wówczas na Rosję, obowiązek z którego nie jest ona w stanie się wywiązać. Polska dostarcza pod tym względem jaskrawego przykładu. Polski plan trzyletni przewidywał zakup maszyn na

kredyt na sumę 600 milionów dolarów. Rosja zamykając Polsce możliwości uzyskania tego kredytu na Zachodzie, zobowiązała się dostarczyć maszyn wartości 450 milionów dolarów. Lecz ich dostawa nie może być uskuteczniiona przed 1953 r., co m. in. oznacza załamanie się planu trzyletniego i konieczność zrewidowania już wówczas opracowywanego planu 6-letniego. Prestiżowy charakter kredytu dla Polski postawił Rosję wobec konieczności zdobycia się na szczególny wysiłek, który jednak nawet wówczas nie mógł zaspokoić potrzeb jednego kraju. Nie mogąc sama podolać zapotrzebowaniu na maszyny i sprzęt wszelkiego rodzaju, Rosja przerzuciła ciężar ich dostawy na wybranych satelitów — Czechosłowację, Polskę i przypuszczalnie Węgry, koncentrując jednocześnie na nich tę pomoc jaką Rosja w ogóle jest w stanie dostarczyć.

Wybór Czechosłowacji, Polski i Węgier jako obszaru przemysłowego Europy Środkowo-Wschodniej jest dość oczywisty. Czechosłowacja należy do 10 najbardziej uprzemysłowionych krajów świata. Potencjał przemysłowy Polski na skutek zmian granic niemal się podwoił. Węgry potroiły swą produkcję przemysłową w okresie międzywojnia, a w okresie wojny nastąpił dalszy jej rozwój przez znaczne inwestycje niemieckie. Rumunia, Bułgaria i Jugosławia dysponują łącznie 800.000 robotników zatrudnionych w przemyśle i kopalnictwie, czyli mniej niż w przedwojennej Polsce i około połowy liczby robotników dzisiejszej Czechosłowacji.

Plan 5-letni w Czechosłowacji i 6-letni w Polsce wskazują jasno na funkcję wyznaczoną obu tym krajom. W obu tych planach produkcja przemysłu ciężkiego, w szczególności przemysłu maszynowego, ulec ma niemal podwojeniu w stosunku do stanu z 1948 wzg. 1949 r. Odbędzie się to kosztem przemysłu lekkiego, który w wypadku Czechosłowacji stanowił podstawę eksportu na Zachód. Polsko-Czechosłowacka umowa o współpracy gospodarczej, zawarta przy współudziale ekspertów sowieckich, kładzie podwaliny pod silny ośrodek przemysłowy śląsko-morawski. Wystarczy powiedzieć, że może on produkować natychmiast ponad 4 miliony ton stali i ponad 100 milionów ton węgla. Nowe inwestycje mają podnieść wytwórczość stali do 6 milionów ton w 1955 r. i 10 milionów w 1960 r. Nad koordynacją planów rozbudowy czuwa Rada Polsko-Czechosłowacka (podobnie i dla tych samych celów istnieje Rada Polsko-Węgierska, o której jednak bliższe szczegóły nie są znane), obradująca na zmianę w Warszawie i Pradze. Techniczne zadania opracowywane są przez Komitety ekspertów. Istnieje aż 17 komitetów, co pozwala ocenić zakres istniejącej lub zamierzonej współpracy gospodarczej. Według oświadczenia Zapotocznego, premiera Czechosłowacji, zadaniem Rady jest "opracowywanie planów produkcji biorących pod uwagę zapasy surowców i pojemność produkcyjną obu stron. Planuje ona także wspólną budowę wielkich zakładów przemysłowych zaspakajających potrzeby obu państw". Przykładem jest nowa elektrownia

budowana wspólnymi siłami na polskim Śląsku, dla obsługi przemysłu całego zagłębia. W międzyczasie nadmiar polskiej produkcji elektryczności oddany został do dyspozycji przemysłu czeskiego. W Szczecinie powstaje wolny port do użytku Czechosłowacji. Produkcja wagonów kolejowych, barek rzecznych i instalacji kopalnianych obu krajów została zestandaryzowana. Ustalony został podział zadań w produkcji obrabiarek i motorów spalinowych. W trakcie planowania jest budowa wspólnych fabryk sprzętu tekstylnego, traktorów, samochodów, lokomotyw i urządzeń portowych. Jednocześnie obrót handlowy między Czechosłowacją i Polską urósł już w 1948 r., do wartości 100 milionów dolarów i wykazuje stałą tendencję zwyżkową. W 1949 r. wyniósł on 125 milionów i w 1950 r. podnieść się ma do 150 milionów dolarów. Projektowany kanał Odra — Dunaj połączy Bałtyk z morzem Czarnym i otworzy okno na Środkowy Wschód i basen Oceanu Indyjskiego, dostarczając jednocześnie drogę taniej komunikacji przebiegającej przez wszystkie kraje Europy Środkowo-Wschodniej.

Handel zagraniczny

W handlu zagranicznym Europy Środkowo-Wschodniej konferencja paryska poświęcona Planowi Marshalla miała znaczenie przełomowe. Przed tą konferencją satelici mieli między sobą i z Rosją krótkoterminowe umowy handlowe. Jednocześnie nawiązały one liczne stosunki z krajami zachodnimi. Wystarczy wspomnieć, iż w 1946 r. Czechosłowacja zawarła 15, Węgry 12, Polska — 17 umów z krajami europejskimi i zamorskimi. W ich wyniku w 1947 r. procentowy udział Rosji w obrotach handlowych wymienionych państw znacznie spadł na rzecz obrotu regionalnego i europejskiego. Plan Marshalla zmienił sytuację radykalnie. W ciągu 2 miesięcy po zakończeniu konferencji paryskiej Rosja zawarła nowe traktaty z Bułgarią, Czechosłowacją, Jugosławią, Polską, Rumunią, Węgrami. Są to traktaty długoterminowe, zazwyczaj pięcioletnie, przewidujące wymianę na wielką skalę, od 170 mil. dolarów w wypadku Bułgarii, do miliarda dolarów w wypadku Czechosłowacji i Polski. Z kolei kraje satelickie zawarły między sobą długoterminowe umowy handlowe na znaczne sumy. Jeżeli rozpatrzemy łącznie długo- i krótkoterminowe umowy, to Rosja i 6 krajów satelickich przedstawiają doskonałą siatkę: zostały one połączone między sobą wszystkimi tzn. 21 matematycznie możliwymi umowami handlowymi.

Następstwa tej handlowej konsolidacji ujawniły się już w 1948 r. Udział Rosji w handlu zagranicznym Czechosłowacji, który wzrósł od 6% w 1947 r., do 19% w 1948 r., osiągnął cyfrę 25% w 1949 r. Jednocześnie udział Rosji i innych państw Europy Środkowo-Wschodniej w czechosłowackim handlu zagranicznym, który w 1947 wynosił 14%, przekroczył 40% w 1949 r. Podobna tendencja ujawniła się w handlu zagranicz-

nym Polski i Węgier. Udział Rosji i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej w polskim handlu zagranicznym wynosił w 1947 r. 35%, w węgierskim handlu zagranicznym — niecałe 40%. Odpowiednie cyfry w 1948 r. podniosły się w wypadku Polski do 50%, w wypadku Węgier — blisko 50%. Rok ubiegły przyniósł zapewne dalsze zmiany w tym kierunku biorąc pod uwagę zapowiedzi wielokrotnienia wymian handlowych z państwami "demokracji ludowej" w 1949 r.

Konsekwencje tego stanu rzeczy w skali europejskiej obrazuje jasno tabelka zaczerpnięta z "Economic Survey of Europe, 1948" (odnośne cyfry wyrażone są w milionach dolarów z 1938 r.).

EKSPORT Z ZACHODU NA WSCHÓD W PROC.

	1938	1947	1938	1948	1938
Do Rosji	181	63	35	57	31
Do innych krajów Śr.-Wsch. Europy	539	226	42	255	47
Łącznie	720	289	40	312	43

EKSPORT ZE WSCHODU NA ZACHÓD W PROC.

	1938	1947	1938	1948	1938
Z Rosji	284	48	17	107	38
Z innych krajów Śr.-Wsch. Europy	747	229	31	312	42
Łącznie	1.031	277	27	419	41

Jeżeli z grupy państw Europy Zachodniej odrzucimy Niemcy, obrót handlowy między Zachodem i Wschodem w 1948 jest wyższy, lecz wynosi nadal 63% obrotów w 1938 r.

Czy Rosja i Europa Środkowo-Wschodnia tworzą scalony obszar gospodarczy?

Jakie ogólne wnioski możemy wyciągnąć z powyższego opisu przemian ekonomicznych w krajach Europy Środkowo-Wschodniej? Pierwszy i najogólniejszy wniosek, jaki się nasuwa, stwierdza, że Rosja Sowiecka i kraje Europy Środkowo-Wschodniej nie tworzą jeszcze ekonomicznie scalonego obszaru. Przez scalony obszar gospodarczy należy rozumieć w tym kontekście obszar stanowiący jeden rynek zbytu, posiadający wspólny pieniądz i wspólne kierownictwo handlu zagranicznego oraz rozwijający produkcję stosownie do globalnego planu dla wszystkich części składowych.

Scalenie w jeden obszar kilku państw, które stanowiły odrębne organizmy gospodarcze, jest przedsięwzięciem niezwykle

trudnym i najeżonym niebezpieczeństwami, których zazwyczaj nie jesteśmy dostatecznie świadomi. Weźmy jako przykład kraje Beneluxu. Jeżeli stworzyć one mają jeden rynek zbytu, zniknąć muszą dzielące je granice celne. Z kolei, jeżeli zniesienie granic celnych ma być procesem bezbolesnym i nie powodującym gwałtownych wstrząsów, istnieć musi swoboda poruszania się ludności, w szczególności siły roboczej, na całym terenie. Zniesienie barier celnych pociągnąć bowiem może konieczność reorganizacji produkcji przemysłowej, z bezrobociem w pewnej części obszaru, brakiem rąk roboczych w innej jego części. Nawet swoboda poruszania się na całym obszarze może okazać się w tych warunkach nieskuteczną kompensatą biorąc pod uwagę naturalne przywiązanie do własnego kraju lub pewnej jego części, a także niechęć do zmiany rodzaju pracy. Zniesienie barier celnych spowodowałoby jednocześnie wyrównanie się standardu życia na całym obszarze na zasadzie "ekonomicznych naczyń połączonych", co oznaczać może zmniejszenie się skali życia dla jednej lub kilku części składowych scalonego obszaru. Krótkie wyrażenie "scalenie gospodarcze", nawet przy ogólnikowej analizie, ujawnia olbrzymi splot zagadnień, które wymagają rozwiązania zanim scalenie gospodarcze stać się może faktem.

Na terenie sowieckim lub pod kontrolą sowiecką wiele trudności, które stoją na drodze przekształcenia krajów Beneluxu na scalony obszar gospodarczy, bądź znika, bądź żadnego problemu nie przedstawia. Tak np. nieograniczona swoboda przemieszczenia ludności z jednej części sowieckiego terytorium do innej jego części stosownie do wymagań politycznych lub ekonomicznych, należy do trwałych zdobyczy sowieckiego porządku. Podobnie rzecz się ma z przymusowym skierowywaniem robotników do pracy w przemyśle cierpiącym na brak rąk roboczych. Z drugiej jednak strony scalenie ekonomiczne krajów pod kontrolą sowiecką napotyka na trudności, których np. kraje Beneluxu nie znałyby. Scalenie ekonomiczne na obszarze pod kontrolą sowiecką wymaga bowiem, by wszystkie części składowe posiadały tę samą strukturę społeczno-gospodarczą. Pod tym zaś względem różnice między poszczególnymi państwami Europy Środkowo-Wschodniej nie są wielkie, lecz między każdym z nich a Rosją Sowiecką znaczne i wyraźne. Gdy patrzymy np. na Polskę z Zachodu, biorąc jako porównanie bądź to, co pamiętamy z przeszłości, bądź to, co widzimy wokół siebie, porównanie to wyrażamy w zdaniu, iż Polska różni się niewiele od republiki sowieckiej. Lecz ocena ta wypadnie odmiennie, jeżeli na Polskę spojrzeć będziemy z Moskwy. Oglądana z Moskwy Polska jest nadal krajem kapitalistycznym. Chłop uprawia nadal swój kawałek ziemi i wielu kupców jest nadal panem własnego sklepu, rzemieślników — własnego warsztatu. Nawet w przemyśle ostały się jeszcze resztki własności prywatnej. To samo, co o Polsce, powiedzieć można o innych państwach

i dopóki ten stan rzeczy istnieje ich scalenie gospodarcze z Rosją Sowiecką nie może się dokonać.

Lecz jak wiemy, socjalistyczna konstrukcja w krajach Europy Środkowo-Wschodniej postępuje szybko naprzód, znacznie szybciej niż w Rosji po rewolucji październikowej. Państwa te dokonały olbrzymich zmian na przestrzeni ostatnich 3 lub 4 lat i byłoby błędem zakładać, iż nie dokończą one rozpoczętego dzieła lub iż zwolnią jego tempo. Istnieją podstawy, by przypuszczać, iż 1950 rok będzie rokiem krytycznym, w którym wszędzie rozpocznie się kolektywizacja ziemi na wielką skalę. Pod koniec okresu pierwszego planu rozbudowy już rozpoczętego lub niezadługo mającego się rozpocząć we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej, tzn. gdzieś około 1955 r., kolektywizacja ziemi będzie zagadnieniem w olbrzymiej części rozwiązany. Wolno więc z kolei przypuszczać, iż 1955 r. jest najbliższą datą, kiedy po spełnieniu się jednego z zasadniczych warunków integracji kraje Europy Środkowo-Wschodniej będą mogły ewentualnie stać się częściami ekonomicznie scalonego sowieckiego obszaru gospodarczego.

Nie wyklucza to pojawienia się pręcej pewnych form globalnego planowania dla całego obszaru. Może się ono rozwijać w dwóch kierunkach: 1) planowania funkcjonalnego, tzn. planowania poszczególnych gałęzi wytwórczości (np. wytwórczości stali) niezależnie od jej geograficznego położenia; 2) planowania regionalnego, tzn. planowania wykorzystującego szczególnie pomyślne warunki lokalne dla rozwoju określonych gałęzi wytwórczości. Połączenie obu typów planowania jest najwyższą formą planowania globalnego.

Planizm funkcjonalno-regionalny jest przypuszczalnie niemożliwy na niescalonym obszarze gospodarczym. O ile nam wiadomo, Europa Środkowo-Wschodnia nie zna go dotąd. Nie ma bowiem dotąd dowodów, by plan któregośkolwiek z krajów satelickich stanowił część składową i integralną globalnego planu obejmującego Rosję Sowiecką i Europę Środkowo-Wschodnią. Istnieją natomiast ślady planowania regionalnego z zagłębiem śląsko-morawskim jako jego widocznym znakiem. Nie wiemy także nic o planowaniu funkcjonalnym, jakkolwiek rozpowszechnione jest przekonanie, iż istnieje jeden tylko przemysł wojenny dla Rosji i krajów Europy Środkowo-Wschodniej, centralnie kierowany i wykorzystujący wszystkie możliwości produkcyjne niezależnie czy istnieją one w Rosji, Polsce, Czechosłowacji lub na Węgrzech. Maksymalna rozbudowa przemysłu ciężkiego we wszystkich krajach "demokracji ludowej", nawet w Rumunii i Bułgarii, może być także wynikiem funkcjonalnego globalnego planu.

Nie jest rzeczą wykluczoną, iż przed stworzeniem scalonego obszaru azjatycko-europejskiego o globalnym funkcjonalno-regionalnym planie (co nie może nastąpić przed upływem kilku lat) sama Europa Środkowo-Wschodnia ulegnie powolnemu scaleniu, a jej rozwój gospodarczy poddany zostanie jednolitemu

planowi. Ten ostatni rozwój wydarzeń nie może być jednak w pełni urzeczywistniony. Europa Środkowo-Wschodnia nie jest samowystarczalna, a jednym z warunków totalnego planowania typu sowieckiego jest samowystarczalność gospodarcza obszaru, na którym dokonuje się planowanie. Rosja jest takim obszarem, co m. in. wyraża się w sposób wyraźny w jej udziale w światowym handlu zagranicznym. W 1938 r. udział w handlu światowym Rosji, która pokrywała 16% powierzchni ziemi, wynosił 1%. Należy to porównać z Europą, czterokrotnie mniejszą, której udział wynosił 51%. Plan totalny typu sowieckiego, którego wykonalność uzależniona by była od dostaw zagranicznych i umów handlowych, stracił by swoją istotną cechę lub nawet rację bytu.

Europa Środkowo-Wschodnia nie jest ani dzisiaj, ani nawet potencjalnie, samowystarczalna i gospodarczo, niezależnie od stopnia wewnętrznego scalenia, wymaga współistnienia w ramach innego, większego obszaru gospodarczego, bądź europejskiego, bądź sowieckiego. Mówiąc o handlu zagranicznym stwierdziliśmy, że z grubsza rzecz biorąc 50% handlu zagranicznego Czechosłowacji, Polski i Węgier dokonuje się z Rosją i satelitami i cyfrę tę traktowaliśmy jako jedną z miar wchłonięcia tych krajów w sowiecki organizm gospodarczy. Lecz to samo twierdzenie posiada swą odwrotną stronę, mianowicie fakt, iż kraje te nadal kierują 50% swego handlu zagranicznego na Zachód. Dopóki ten stan rzeczy istnieje, a wydaje się on stanem względnie trwałym, Europa Środkowo-Wschodnia nie może być planowana totalnie.

Próba oceny

Określenie stosunku do nowego typu organizacji społeczno-gospodarczej, która istniała w Rosji i do której Europa Środkowo-Wschodnia zbliża się szybkimi krokami, nie jest na tym miejscu potrzebne. Nie wyklucza to jednak, iż pewne zjawiska w splocie obecnych przemian gospodarczych w tej części Europy nie są całkowicie złe lub nawet takie, iż w zmienionych warunkach będziemy chcieli je zachować i umocnić.

Eksperci zachodni spraw Europy Środkowo-Wschodniej często podkreślają, iż Rosja zajęła w stosunku do Europy Środkowo-Wschodniej miejsce, jakie przed wojną zajmowały Niemcy. Nie jest to całkowicie ściśle. Udział Niemiec w handlu zagranicznym Czechosłowacji, Polski i Węgier w 1938 r. jest mniej więcej równy udziałowi Rosji w handlu tych trzech krajów 10 lat później. W wypadku Bułgarii, Rumunii i Jugosławii (do zerniania stosunków z Kominformem) pozycja Rosji w 1948 r. jest znacznie silniejsza niż Niemiec w 1938 r.

Eksperci zachodni twierdzą ponadto, iż podczas gdy zainteresowanie Niemiec Europą Środkowo-Wschodnią nie przynosiło jej żadnych trwałych korzyści, zainteresowanie Rosji pokrywa się w części z interesami jej satelitów. W tym twierdzeniu jest

pewna doza prawdy. Niemcy przez swą politykę handlową utrzymywały kraje Europy Środkowo-Wschodniej w ich pierwotnym charakterze krajów rolniczych. Inaczej się rzecz ma z Rosją. Rosja niewątpliwie zachęca swych satelitów do szybkiego uprzemysłowienia i przekształcenia ich struktury gospodarczej na kraje przemysłowo-rolne. Niezależnie od korzyści, jakie stąd Rosja ciągnie, uprzemysłowienie krajów Europy Środkowo-Wschodniej jest zjawiskiem niewątpliwie dodatnim. Ubóstwo i zacofanie Europy Środkowo-Wschodniej oraz przeludnienie wsi, nie dały się rozwiązać jedynie przez racjonalną reformę rolną. Według obliczeń dokonanych przez ekspertów pracujących pod egidą Ligi Narodów, państwa Europy Środkowo-Wschodniej posiadały około 1930 r. 56 milionów ludności utrzymujących się z rolnictwa, z czego 26 milionów, czyli niemal połowa, stanowiło nadmiar rąk roboczych. Było to więc zjawisko ukrytego bezrobocia na skalę tak olbrzymią, iż jedynie szybkie uprzemysłowienie mogło mu skutecznie zaradzić. Ten proces teraz się dokonuje i nie ma powodów, by ocenić go ujemnie.

Problem uprzemysłowienia Europy Środkowo-Wschodniej jest tak ważnym i doniosłym zagadnieniem, iż warto mu poświęcić kilka ogólnych uwag. Nie trzeba być wyznawcą doktryny materialistycznego pojmowania dziejów, aby w pełni docenić rolę czynnika ekonomicznego w rozwoju politycznym i cywilizacyjnym każdego społeczeństwa. Istnieje pewne korelacja między miarą wolności osobistych i politycznych, jakie istnieją w danym społeczeństwie, a poziomem zaspokojenia jego potrzeb materialnych. Weźmy pod uwagę dwie grupy państw europejskich — grupę "Z", na którą składają się Francja, Belgia, Holandia, Szwajcaria, Austria i kraje skandynawskie, oraz grupę "W" obejmującą Bułgarię, Rumunię, Jugosławię, Węgry, Polskę, Czechosłowację i Finlandię. Około 1930 r. przeciętny dochód na głowę ludności wynosił dla całej Europy — 469 dolarów, dla grupy "Z" — 700 dolarów, dla grupy "W" — 314 dolarów. W grupie "Z" 29% ludności żyło z rolnictwa, w grupie "W" odnośna cyfra wynosiła 71%. Jeżeli cyfra 100 wyrazimy przeciętną europejską produktywność osoby zatrudnionej w rolnictwie, to w grupie "Z" wynosi ona 200, w grupie "W" — 52. Wreszcie, jeżeli cyfra 100 wyraża przeciętną europejską wydajność z hektara, to w grupie "Z" osiąga ona wskaźnik 228, w grupie "W" wskaźnik 76. Porównanie to ukazuje nam, iż na skutek małego uprzemysłowienia dochód narodowy w państwach Europy Środkowo-Wschodniej wynosił 50% dochodu w państwach Europy Zachodniej, a wydajność pracy w rolnictwie i wydajność ziemi osiągała zaledwie 25% rezultatów osiągniętych na Zachodzie.

W tych warunkach wszelki wysiłek w kierunku uprzemysłowienia krajów Europy Środkowo-Wschodniej posiada wielkie znaczenie dla przyszłości tej części jak i całej Europy. Najkrótszą i najekonomiczniejszą metodą jest wysiłek kolektywny. Zachwianie równowagi między Zachodem i Wschodem Europy

osiągnęło bowiem takie rozmiary, iż wątplić trzeba, aby wyrównanie nastąpić mogło w wyniku indywidualnych wysiłków podejmowanych przez poszczególne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Tak np. powszechna w tych krajach tendencja do rozwoju przemysłu ciężkiego, jeżeli nie będzie skoordynowana, może okazać się niezwykle kosztowna, niewydajna i rozrzutna. Autarkia stwarza zapory w specjalizacji i racjonalnym podziale zadań produkcyjnych, zmniejsza rynki zbytu, podnosi koszt produkcji, a tym samym neutralizuje dobre skutki uprzemysłowienia, które w pomyślnych warunkach wyrażają się w popieszczeniu poziomu życia.

W tym świetle tym większego znaczenia nabierają te wszystkie procesy, które prowadzą do scalenia gospodarczego krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Wykorzystanie olbrzymich możliwości taniej produkcji energii elektrycznej istniejących w Jugosławii dla elektryfikacji całych Bałkanów (jak to leżało w pierwotnych planach) było zamierzeniem, którego urzeczywistnienie byłoby korzystne i wskazane. Węgry, których potencjał przemysłowy przerósł nieproporcjonalnie zasoby podstawowych surowców, jednocześnie ciągną znaczne zyski i oddają usługi przez nawiązanie trwałych więzów gospodarczych z sąsiadami. Współpraca gospodarcza polsko-czechosłowacka posiada większe niż tylko regionalne znaczenie. Zagłębie śląsko-morawskie określa się czasem nazwą "małej Ruhry". Obecnie nazwa ta jest znaczną przesadą, lecz potencjonalnie zagłębie w pełni na nazwę tę zasługuje. Zmienić ono może całkowicie układ ekonomicznych punktów ciężkości w Europie i stworzyć przeciwwagę dla przemysłu Westfalii i Nadrenii, dostarczając jednocześnie silnych podstaw gospodarczych dla przyszłej sfederowanej Europy Środkowo-Wschodniej w ramach Unii Europejskiej.

Wspomniane korzystne strony przemian ekonomicznych w Europie Środkowo-Wschodniej, a nie wszystkie z nich były wymienione, mogłyby się w pełni ujawnić dopiero w zupełnie zmienionych warunkach w Europie i w świecie. Nie można ich przeto traktować w oderwaniu od całokształtu dzisiaj dokonujących się przemian i w ten sposób, jak to niekiedy czynią publicyści na Zachodzie, usprawiedliwiać sowiecki system kontroli nad Europą Środkowo-Wschodnią. Nie mniej należą one do opisu sytuacji ekonomicznej tej części Europy, dodając do niego nieco barwy jaśniejszej i nadziei na przyszłość.

Zbigniew JORDAN.

Tabela I

REFORMA ROLNA W ZASADNICZYCH CYFRACH

KRAJ	Obszar podlegający parcelacji w tys. akrów	Obszar rozparcelowany	Liczba rodzin korzystających z parcelacji	Przeciętny obszar działki w akrach
Bułgaria	410	300	88.300	3,4
Czechosłowacja	3.500	2.500	125.000	20
Jugosławia	1.980	1.260	310.000	4,0
Polska				
ziemie dawne	5.300	2.890	354.000	8
ziemie odzys.	10.750	9.000	481.000	18,6
Rumunia	3.310	2.890	870.000	3,3
Węgry	8.000 (w tym 26% lasów)	4.600	642.000	7,2

Tabela II

ZAPOTRZEBOWANIE I PRODUKCJA TRAKTORÓW

KRAJ	Liczba posiadanych traktorów	Produkcja własna	Pełne zapotrzebowanie (1 trak. na 300 ha.)
	rok	rok	
Bułgaria	4.650 (1949)	—	15.000
Czechosłowacja	16.000 (1948)	9.000 (1948)	18.000
Jugosławia	4.000 (1946)	—	24.000
Polska	15.500 (1949)	2.000 (1949)	55.000
Rumunia	1.600 (1946)	nieznana	34.000
Węgry	3.600 (1947)	2.600 (1949)	25.000

Tabela III

NIEKTÓRE CHARAKTERYSTYCZNE CECHY PLANÓW EKONOMICZNYCH

	Bułgaria	Czechosł.	Jugosł.	Polska	Węgry
Długość planu	2	2	5	3	3
Okres	1947/8	1947/8	1947/51	1947/50	1947/50
Całkowity koszt inwestycji (w tys. mil. dolarów)	0,19	1,4	5,57	2,0	0,56
Koszt inwestycji wyrażony w % dochodu narodowego	nieznany	20,5	nieznany	20,2	9,8
Wskaźnik produkcji przem. w ostatnim r. 1967 planu (1938 = 100)		110	323	152	127
Wskaźnik produkcji rolnej w ostatnim roku 1934 planu (1938 = 100)		100	152	80	90
Wartość prod. rolnej wyrażona w % wartości całej prod. w 1-ym roku planu	53,5	36,0	48,0	39,0	34,0
Inwest. rolne wyrażone w % wszystkich inwestycji	6,0	7,0	7,0	13,0	9,0

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
59/61, Hatton Garden — London E.C.1.
Tel. CHAncery 5094.

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● **Cena egzemplarza:**

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● **Pre numerata:**

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● **Prenumeratę przyjmują:**

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.
W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Ścieżki

Łańcuch niewidzialny

Władysławowi ŚMIETANIE poświęcam

Czy mogłem sobie wyobrazić w obozie Pawliszczew-Borze, gdzie nas osadzono na miesiąc po drodze ze Starobielska do Griażowca, że będę równo za dziesięć lat jeździł po Ameryce i opowiadał o Katyniu; że siuchać mnie będą uważnie Amerykanie, mówiąc: "I see, I see", że będę spotykał coraz to takich, którzy patrząc mi w oczy z cieniem nieufności, pytać mnie będą "czy pan *naprawdę* przypuszcza, że to zrobiły Sowiety?". Że będę mówił do tysięcy Polaków od Ottawy i Toronto do Bufallo i Filadelfii, i nie będzie takiej miejscowości, gdzie po odczycie nie podejście do mnie choć jeden mężczyzna czy kobieta; i nieśmiało pytać będzie o takie czy inne nazwisko, o brata, kolegę, męża czy syna "czy pan go nie widział, może przecie pan sobie przypomina, pan go *musiał* znać" i zawsze to samo, dla mnie wszystko mówiące, zdanie: "ostatnią wiadomość mieliśmy w kwietniu 1940-go".

W Pawliszczew-Borze, tak bliskim geograficznie od Katynia byłem w maju tegoż 1940-go jako jeden wśród czterystu niewiadomo dlaczego oszczędzonych. Kolegów Starobielskich pożegnałem dopiero co. Nasze rozstania były tak naładowane nadzieją, niecierpliwością zmiany, że aż radosne. Pamiętam, z jakim gorączkowym pośpiechem każdy reagował w Starobielsku na dźwięk swego nazwiska, odczytany w liście mających tego dnia wyjechać. W godzinę musiało być już wszystko spakowane, potem czekanie w kolejce na rewizję, w pustej cerkwi, potem znów kolejka wypuszczania za bramę, w świat rozległy, pełen obietnic.

Czy ten "dziadzio", piszę o nim w moich "Wspomnieniach Starobielskich", który co dzień na noc starannie pakował najuboższe manatki, potem na drugi dzień, niewzwany, je rozpakowywał nad ranem i znów na wieczór, z tą samą cierpliwością ukła-

dał do worka, bo nie chciał być "zaskoczony", ten "dziadzio", który wierzył niezłomnie, że jego to już na pewno odeślą do Lwowa, jest przecie stary i ma chorą żonę, czyż był on o tyle bardziej naiwny *od nas wszystkich*?

Bo nie tylko, że jedni z nas wierzyli, że ich odsyłają do Polski, inni, że nas przerzucają przez Rumunię i Grecję do Francji, ale nawet realiści i pesymiści twierdzili, że nas wszystkich najprościej rozesłać po innych też sowieckich obozach. *Nikt* nie przypuszczał na chwilę morderstwa masowego jeńców wojennych. *Brak wyobraźni.*

Pawliszczew-Bor, dawny majątek Kozieł-Poklewskich, z brzydkiem "pałacem" w wielkim parku. Warunki o cień znośniejsze niż w Starobielsku, chociażby z powodu tego, że nas osadzono w fantazyjnie rozłożonych budynkach folwarcznych, z trzech stron otoczonych wysokim lasem. Wyrastał tuż za drutami, taki sam jak las Koziełski, pachnący, gęsto podszyty, były tam brzozy, dęby i wielkie sosny; za rzeczką w dolince ciemne kontury chat jak nasze białoruskie, na które patrzyłem przez wszystkie wiosny mojego dzieciństwa.

W samym obozie była trawa, jeszcze nie całkiem wydeptana, na której można było siedzieć, wygrzewając się na słońcu.

Nauczyłem się nabierać mego sędziego śledczego. Dawniej należał do jakiejś ekipy footballowej, gdy go rozpytywałem o zalety footballu rosyjskiego, zapominał o śledztwie. W chwili takiego rozluźnienia "czujności rewolucyjnej" pozwolił mi posiadać szkolny kajet do notatek. Wszystkie moje kajety ze Starobielska odebrano mi przy rewizji. Ten z Pawliszczewa mam dotychczas. Przed wyjazdem z Ameryki natrafiłem na tę różową "tietradkę", z bibulastego, miękkiego papieru w kratkę, gęstym maczkiem przeze mnie zapisaną.

Odczytując tekst po latach, upokorzył mnie brak synchronizacji wypadków, decydujących i tragicznych, oraz twórczej, głębokiej na nie reakcji, a więc *mój* brak wyobraźni. Cóż pisać w tym kajecie: o bliskich, o wspomnieniach, o tym jak widzę światło i barwę tego kraju, o "Zapiskach Myśliwego" Turgieniewa, znalezionych tam w bibliotece. Śmierć turgieniewowskiego chłopca, jego twarz w drgającym cieniu młodej brzozy, wycisnęły mi łzy rozczulenia. O katastrofie francuskiej, radio sowieckie donosiło nam triumfalnie; znajduję o niej w kajecie jedynie zdawkowe, abstrakcyjne wykrzykniki.

Wiosna, o cień lepsze warunki, bezrozumna wbrew wszystkiemu nadzieja, słońce i zapach lasu przeważały brutalną i poprzez literaturę nieprzetrasponowaną jeszcze grozę chwili.

"O miedzę" w takim samym lesie były tylko co przysypane świeżą ziemią fosy katyńskie. Nie męczył mnie niepokój o pożegnanych, najbliższych kolegów, ani chwili nie przychodziło mi na myśl, że nie zobaczą ich już nigdy. "O ślepoto, o zatwardzia-

łości serc ludzkich, które tylko myślą o tym co jest, a tego co będzie, przewidzieć nie chcą".

W zamkniętym klubie, w jednym z miast Kanady, proszono bym przemawiał po obiedzie, o sytuacji religijnej w Rosji. Mówiłem ze wspomnień wciąż dla mnie żywych, z opowiadań naocznych świadków, o zakonnicach skazanych na śmierć w 1940 roku, za to, że wyznawały głośno swoją wiarę w Boga, o spotkanych przygodnie ludziach stęsknionych śmiertelnie za pociechą religijną, o masowych zesłaniach księży katolickich i unickich, mówiłem jak walka ta systematycznie, konsekwentnie rozszerza się na nowe obszary i na nasz kraj. Porwał mnie temat, zdaje się, że byłem słuchany uważnie. Po skończonym odczycie, nagrodzonym hucznymi, serdecznymi oklaskami, sympatyczny przewodniczący wygłosił do mnie skierowane przemówienie: "słuchaliśmy pana z *najżywszą przyjemnością*" — "avec le plus vif plaisir" rozpoczął, a zakończył, cytując na wojnie ukuty dowcip, że Polacy "to największy kraj na świecie, bo mają rząd w Londynie, wojsko we Włoszech, a cały naród na Syberii". Dowcip wywołał wybuch gwałtownego śmiechu na całej sali; śmiał się potężny jak tur przewodniczący, wszyscy biesiadnicy, wśród których byli poważni księża, śmiał się równie dobrodusznie, wspólnie ze wszystkimi, młody kelner w śnieżno-białym kitlu, ze złotymi guzikami i wystającymi z kieszeni złotymi czubkami piór i ołówków. To wszystko było, zaznaczam, pewną formą odprężenia i naprawdę nikt nie chciał mnie dotknąć, tym bardziej dać wyraz lekceważenia spraw omawianych. To był tylko brak imaginacji.

W ogromnej szkole katolickiej w Montrealu, mówiłem o Rosji sowieckiej, o Katyniu, do kilkuset chłopców, jeszcze dzieci. Przed odczytem, księża profesorowie zaprowadzili mnie do trzech chłopaków z internatu, Polaków. Mieli nie więcej, niż dwanaście, czternaście lat, przyjechali tu z Afryki przez Rzym, sieroty wywiezione z Rosji. Kilkadziesiąt takich chłopców i dziewcząt przyjeły na wychowanie katolickie zakłady w Kanadzie. Pytałem ich jak się im powodzi. Trudno im się było na razie w tej francuskiej szkole dogadać, mówili po polsku i zaledwie po angielsku, ze mną się rozgadali i jeden z nich krępy o miękkich ryśach i grubych wargach, odpowiedział, ciągnąc z białoruska, jakby szukając słów, "oni są dla nas lepsze, jak dla swoich", widziałem w oczach tych dzieci i w spojrzeniach troskliwych i serdecznych otaczających ich opiekunów, że to była prawda.

Na ten odczyt, chyba najmilszy w Kanadzie, gdzie najżywiej odczuwałem świeżą reakcję i siłę zainteresowania, dodano mi koreferenta, kilkunastoletniego Zawidzkiego, ucznia tej samej szkoły, który przybył z Anglii. Był też w Rosji i doskonale wszystko pamiętał. Nie można było lepiej dopełnić mego odczytu jak tym prostym opowiadaniem dziecka i świadka. Długo nie mogliśmy się wyrwać z odczytu, zasypywani pytaniami (były zresz-

tą i najdziwniejsze: na przykład czy zabiłem człowieka i czy widziałem papieża).

Profesorowie tych dzieci mówili mi, że stosunek tych setek młodych chłopców, do spraw sowieckich, do Polski niesłychanie się ożywił, od czasu kiedy przyjęto paru Polaków do szkoły. Nawet dogadać się z nimi nie mogli, ale *widzieli* żywych świadków.

Ta narastająca ilość świadków powoli draży nieświadomą bez troskę ludzi dalekich.

Jakże już dziś inaczej, czujniej od najsympatyczniejszej nie-polskiej sali, reagowali na to co mówiłem Polacy, nawet ci, którzy nikogo tam nie stracili. Mówiąc do nich, miałem stałe wrażenie, jakby ci ludzie już mieli wewnętrzne, niechybne doświadczenie, czym jest życie w Sowietach. Myślę, że dużą w tym rolę odegrała właśnie wciąż się tutaj wsączająca masa nowych świadków.

"Jest jeszcze gorzej niż pan mówi, ja tam byłem", mówi mi robotnik w fabryce w Toronto.

"Nic pan nie przesadził, wielu pan rzeczy nie powiedział", mówi mi młoda kobieta z dzieckiem na ręku, która z młodym mężem lotnikiem przybyła z Anglii do Buffalo, "ja *byłam* trzydzieści miesięcy na Syberii" (w "Kuźnicy" czytam, że ojcu autora artykułu, adwokatowi z Sambora, Rosja sowiecka wróciła godność człowieka "nad cichą wodą Wołgi i w kolorowym Uzbekistanie". Chciałbym, by to przeczytał młody Zawadzki, czy moja znajoma z Buffalo).

Gdy dziś mówię o katyńskiej zbrodni, mam na myśli nie tylko cztery tysiące kilkaset tam zgładzonych oficerów. Tę masakrę znamy najlepiej, mamy dowody w ręku, raporty kryminologów neutralnych, fotografie, mówiąc "Katyń", myślimy o piętnastu tysiącach zaginionych z trzech obozów, o półtora milionie obywateli polskich wywiezionych do Sowietów, o milionach ludzi wszystkich narodowości, do dziś ginących i likwidowanych bez świadków na całej przestrzeni tego kraju.

Katyń to przecie nie wyjątek, ale jedynie fakt najbardziej brutalny i naostrzej naświetlony, przez mocne reflektory niezbitych dokumentów, niedających się obalić świadectw — to wyraz z konsekwencją do końca przeprowadzonej polityki, wyraz pewnej "moralności" totalnej, próby na skalę planetarną, takimi właśnie metodami kierowania historią. Pod tym kątem Katyń obchodzi cały świat.

Ale jest *inne* oblicze tej sprawy, bardziej intymne, chciałbym je omówić. Co nas *zmusza* tę sprawę poruszać, nawet przed ludźmi najbardziej jak gdyby "nieprzemakalnymi", nawet wtedy, kiedy słowo się odbija jak o porcelanową gładką powierzchnię, uprzejmej obojętności. Jakie niepisane zobowiązanie na

nas ciąży, na wypadkowo przy życiu zachowanych, wobec tamtych. Czego od nas *żądadą* ci ludzie, którzy na zawsze zamilkli. Żebyśmy ich losem świat rozczulali, albo żebyśmy ich pomścili, wymordowując dwa razy więcej bolszewików?

Wystarczy wspomnieć te twarze najłepszych, zapalczywe z nimi na pryczach rozmowy, ich uparty skupiony wysiłek, by nic z doświadczeń i nieszczęść nie uronić, na to żeby wiedzieć, że nie o *to* im chodziło. Oni chcieli wykorzystać swoje przeżycia, swój własny los, dla przyszłości, dla Polski.

Tym zaginionym, zamordowanym z naszych obozów, których pamiętam najmocniej, nie powstawało nawet w głowie, by można było za cenę życia wyrzec się Polski i jej spraw.

W Harvardzie opowiadał mi amerykański pisarz i przyjaciel naszej sprawy, że na pewnym odczycie dyskusyjnym o Polsce, wstał jeden z profesorów, filozof, i spytał najpoważniej: "ale właściwie *dłaczego*, z jakiej racji Polska powinna być niepodległa?" Rzeczywiście, w oczach niejednego Amerykanina sprawa ta jest i musi być również niejasna, jak dla nas sprawy Kuby czy Guatemali. Nieraz od tego czasu, zadaję sobie pytanie i szukam odpowiedzi *dla siebie*, szukam co jest powodem, że od sprawy polskiej nie możemy się "odwiązać", i myślę jak to by można filozofom wytłumaczyć, żeby zrozumieć dlaczego ten naród nie umie, nie może przenieść na inny tor swoich nadziei i swoich wizji przyszłości. Żadne ofiary nie umieją go zatrzymać, na zewnątrz ludzie widzą jego rozkłócenie polityczne, śmieszne nieraz zadufanie, milion drobnych i personalnych zawiści i fum. Ten naród, którego wkład do kultury, do sztuki jest poza Polską prawie nieznamy, ten sam naród — i to nie wśród jego wodzów i wieszczów, ale w jego przeciętnym przekroju — wie jedną rzecz na pewno, że jeżeli kraj tego zażąda, trzeba będzie za ten kraj umrzeć, to może nie jest przyjemne, ale to na pewno nie podlega dyskusji.

Bardzo mało kto na zewnątrz wyczuwa, że to jest więcej niż "fizyczna krzepa", że się pod tym kryje niewyrażone i nawet niezawsze uświadomione poczucie, że są jakieś wartości wieczne, których poprzez walkę o Polskę bronimy.

Złudzenie nacjonalistów — powie filozof z Harvardu, brednie reakcyjne powie Stalinista. Jeżeli patrzemy na siebie oczami nie tylko przeciętnego Francuza, Anglika, czy Amerykanina, ale nawet oczami wybitnych przedstawicieli tych krajów, jak mało byśmy wiedzieli o naszej istocie, o naszych osiągnięciach historycznych czy kulturalnych.

"Polacy natchnieniem narodów", takie zdanka, pożyteczne w pewnej chwili propagandowo, tylko my pamiętamy. Historię piszą zwycięzcy, dokumenty zbierają zwycięzcy, zafałszowują historię zwycięzcy. O Galii wiemy tyle, co o niej piszą Rzymianie, zniszczywszy ją pierwej. Co będą ludzie wiedzieć o Polsce, o roku 1939, 40, 44 zależy od tego, kto będzie zwycięzcą. Czytając encyklopedię sowiecką, rozdziały dotyczące na przykład 1920 roku, czy pamiętniki Churchill'a mamy już pewne próbki.

Czy cała historia Polski nie może być wówczas skureczona do jakiejś zrecznie spreparowanej przykrojonej anegdoty. Cóż będzie świat *wtedy* wiedział np. o wielkiej poezji polskiej, pewno tyle, co my wiemy dzisiaj o poezji Galii. Druidzi spędzali dwadzieścia lat swego życia na uczeniu się na pamięć tych religijnych i metafizycznych poematów. Miały one mieć nawet wpływ na mądrość grecką. "Jedynie poprzez dzieła Platona, możemy mieć przecucie miary tamtych natchnień, tego morza sakralnej poezji" — pisze Simone Weil w "Enracinement". Cóż będzie z morzem *naszej* poezji, gdyby miał zapanować nad światem na przykład duch encyklopedii sowieckiej.

Ale już dzisiaj co wiedzą o nas, o naszej tradycji, o naszej sztuce (poza Chopinem) nawet najwnikliwsi? Kończąc trzeci czterystu stronicowy tom "Journal" Du Bos'a. Mowa jest przeważnie o literaturze. Przez wszystkie trzy tomy przewijają się setki nazwisk pisarzy, poetów angielskich, amerykańskich, rosyjskich, niemieckich i włoskich, nawet perskich i chińskich i naturalnie francuskich.

Omawia ich z wnikliwym entuzjazmem chyba najczujniejszy sejsmograf poetycki okresu międzywojennego. Nazwiska polskie ani jednego. Któż we Francji mógłby lepiej od Du Bos'a odczuć Słowackiego lub Norwida!

Ukazał się tu na półkach księgarskich potężny tom "Modern Painting", bogate dzieło zbiorowe, wydane u Skiry. Takiego wydania nie widziałem, wszystkie ogromnie liczne reprodukcje kolorowe *wysokiego* gatunku. Naturalnie, że przeważnie Francuzi, ale też wielu Niemców, świetny Munch, norweski uczeń Gauguin'a, ale nie ma Śledzińskiego, jest nawet Hodler, Szwajcar, ale nie ma Malczewskiego, prekursora surrealistów, są najlepsze Sutin'y, ale nie ma Waliszewskiego. Nieobecność tego ostatniego przede wszystkim jest dotkliwym błędem. Znowu ani jednego Polaka, i tak co kroku.

Patrzę w Atlantic City na wystawę wielkiej księgarni: tłumaczenia Turgieniewa, Thomasa Manna, Szoloma Asza i nawet Corydon Gide'a, ani jednej książki Polaka.

W jednym ze swoich felietonów, po wznowieniu "Wesela" w Warszawie, Boy pisał, jak zaraz po przedstawieniu, w szatni, rozmawiał z paru poetami, pisarzami polskimi, wszyscy rozgorączkowani jeden przez drugiego próbowali wyrazić swoje wzruszenie i wszyscy wzajemnie się przekrzykując, dochodzili do tego samego, że przecież cała nasza literatura jest *zakonspirowana*, tylko my Polacy ją słyszymy, ale że to wcale nie znaczy, że jest mniejsza, mniej znacząca, niż inne.

Boy nie miał ani cienia patriotycznego zaślepienia, ale i jego diabli brali, kiedy widział, że tego co wyraża *istotę* Polski nikt, poza Polską nie zna i nie rozumie.

Ile w tym i *naszej* winy!

"Nie mogę zrozumieć jak Polacy, zaciekli w swych kłótniach do tego stopnia, że aż zapominają o Europie, nie wydrukowali, nie rozprzestrzenili poprzez książki, które cała Europa by po-

żerała (eut dévoré) "Pamiętników" Niemcewicza, czy tłumaczenia pamiętników szewca Kilińskiego" — pisze Michelet w "La Convention". Co się dziś zmieniło, czy nie to samo mógłby *dziś* inny Michelet powiedzieć o nas?

W świadomości współczesnego człowieka istniejemy jako czynnik historyczny i kulturotwórczy *mniej* niż na to zasługujemy.

A przecież ileż trudniej dotrzeć do zrozumienia Polaków i sensu ich walki człowiekowi, który się nawet nie otarł o świat naszej sztuki i ponad wszystko naszej poezji, esencji naszej świadomości.

Z trudem się przegryzam, dzięki moim brakom angielskiego, przez jeden z essayów Toynbee'ego. Toynbee pisze o widzeniu historii w latach dziewięćsetnych w oczach Europejczyków; mowa o Anglikach, Amerykanach, Francuzach i Rosjanach. O Polsce jedno króciutkie zdanie. "Polska i Finlandia były zdecydowane walczyć o swoją niepodległość".

Znowu niepodległość. Ale jaka *racja*, jaki argument tego irracjonalnego uporu, za który się płaci życiem. Jaka korzyść dla świata z tej walki? Nie wiedzą o tym ani Toynbee, ani milion innych.

Tragizm naszej sytuacji, błędy i wady nasze zna każdy. Dysproporcje sił naszych z siłami, które dziś światem rządzą, widzi każde dziecko. Stanisław Brzozowski, parę miesięcy przed śmiercią, pisał, w grudniu, 1910-go, w związku z listem Whitmana do rosyjskiego tłumacza: "... Trzeba przekonywać siebie, że Polska to także warunek nieupośredzonej przyszłości dwudziestu milionów, które miały, które mają lub będą miały nie-szczęście urodzić się Polakami. Ale tu już inne perspektywy, nie ma tu miejsca na *oceaniczną bezbożliwość*, przeciskać się trzeba szczelinami... pomiędzy każdym z nas, a błogosławieństwem myśli leży nie-szczęście, rzecz określona, jasna i uboga".

Uboga?

Jeżeli uboga, skąd, dlaczego ta wierność do końca. Ten "skarb zakopany w zamku rozpustnym".

Zdaje mi się, że nie takie czy inne argumenty historyczne grają jako decydujący moment, jako niewyrozumowana konieczność wierności, ale fakt, z których niejeden nie może dać sobie sam rady: nas wszystkich, niezależnie od tego czy chcemy, czy nie chcemy, trzyma *łańcuch niewidzialny*, którego jedynym z ostatnich ogniw jest Katyń.

Parę lat po przewrocie majowym, niejeden się zastanawiał, czy Piłsudski nie rzuci naraz wszystkiego i nie wyjedzie znowu do Sulejówka, zniechęcony trudnościami. "Nie bój się, nie wyjedzie" — powiedział mi wówczas, jeden z najbaczniejszych i najgłębszych jego obserwatorów — "jego trupy nie puszczają", myślał wtedy o tych żołnierzach polskich, którzy zginęli po obu stronach barykady w 1926 roku.

Każdego z nas także "trupy nie puszczają".

W 1945 roku poznałem młodzież, która wyszła z powstania warszawskiego i poprzez obozy niemieckie lub uciekając pro-

sto z kraju dotarła do Paryża. W pewnej rozmowie, gdzie młody chłopak, w wyrazach niezmiernie ostrych rzucał się na błędy podziemia, na głupotę, na brak aktywności, na rozklócenie emigracji, wręczył mi przy pożegnaniu małą wyblakłą fotografię przyjaciela, który zginął w walce w 1944 roku. Ja myślę, że i tego chłopca trupy trzymały i trzymają, może dawno bez tego wspomnienia, wszedł by w inną szczęśliwszą społeczność, bo po cóż koniecznie być Polakiem! Jego gorycz, jego pasja, zdradzały tylko jego *związanie* łańcuchem niewidzialnym.

Patrzac teraz na tę sprawę od strony Ameryki, widzę ją jakby pod innym kątem, jej aspekt amerykański jest bardziej złożony.

Błyskawiczność wrastania przybyszów, miłość do tego nowego kraju emigrantów, jeżeli tylko są bardzo młodzi w chwili przybycia, rzuca się każdemu w oczy. Śmieszne byłoby nie widzieć, że ten proces jest także niezmiernie szybki wśród emigracji polskiej. Chciałbym prawie dodać, że jest on równie szybki, jak trudny, prawie niemożliwy z rzadkimi wyjątkami jest u ludzi w wieku starszym. "Starych drzew nie należy przesadzać".

Miałem odczyt o Katyniu w Niagarze w sali domu polskiego. Dom w stylu szaletu szwajcarskiego sprzed pięćdziesięciu laty. Bilardy, bar i pozłacane figurki Paderewskiego i Chopina na kominku z "górkich" kamieni. Słuchała mnie ze skupieniem nieduża, z początku pustawa, a potem po brzegi wypełniona sala. Sporo osób się spóźniło, przychodząc prosto z pracy. Starzy mężczyźni, stare kobiety w chustkach i kapeluszach, po cichu ocierały łzy i zmęczonymi o nabrzmiałych żyłach, spracowanymi rękami, wysuwały z portmonetki zarobione pieniądze, dla mnie, żebym mógł dalej jeździć i opowiadać o tym, co widziałem w Rosji, o tym, co tam cierpieli Polacy. Dojrzałem na sali tylko *dwie* twarze młodsze, poniżej lat czterdziestu-pięćdziesięciu. Jeden mi się przypomniał z Tocka, drugi trafił tutaj z Warszawy przez Niemcy.

"Moji synowie — mówi mi po odczycie jeden z organizatorów (ma 3 dorosłych synów) — ich już te rzeczy nie interesują" I pokazuje mi palcem na migające postacie bokserów w telewizji. "To ich interesuje".

Po tym odczycie w Niagarze, nocowałem "przez rzekę", już na kanadyjskiej stronie, w wielkim hotelu, z widokiem na wodospad. Opowiadano mi, że do tego hotelu zjeżdżają młodocieńcy z całych Stanów. Prosto z Domu Polskiego, wpadłem w jasno oświetlony półokrągły salon, w tłum młodych par. Było ich kilkanaście. Wszystkie jak z obrazka, przeważnie skromne i gustowne stroje wieczorowe. (Tanie suknie standartowe, które się tu widzi, są przeważnie ładniejsze niż to co można do-

stać w Europie w tanich sklepach). Siedziałem. Na przeciwko mnie śliczna dziewczyna: wszystko, połysk włosów, cera, świadczyły, że jej nigdy nie brakło witamin. Suknia z różowej gazy, szeroka u spodu, z czarnym stanikiem i złotym gładkim naszyjnikiem. Na poręczu, przy niej, sympatyczny, do dużego szczeniaka podobny, młody chłopak. Siedzą zatopieni w cichej rozmowie. Wychodzę, wracam, siedzą wciąż. Śledzę grę ich twarzy, szlachetną, szczęśliwą, bez śladu wymuszenia czy nawet świadomości, że ktoś ich może obserwować. Dalej parki podobne, znowu rozmowy i znowu ta sama naturalna powaga ludzi zamkniętych, odciętych w swoim szczęściu. Wychodzę na korytarz, wszędzie to samo: pary, pary. Ilość tych par! Sala balowa, niebieskie przyćmione światła, tłumy tańczących. Niektórzy, nieliczni zresztą tancerze śmieszni, a nawet pokraczni. Jakiś już łysiejący żonkoś o jednym sterczącym do góry loku, wytańcowuje przedziwne figury, z przysadzistą, szpetną małżonką w okularach. Ale nigdzie śladu uśmiechów ironicznych, nigdzie rozpychania się.

Miałem wrażenie, że jestem wśród mrówek, którym na kilka dni wyrosły skrzydełka.

Nie dziwiłbym się, gdybym wśród tej młodzieży odkrył syna czy córkę kogoś ze słuchaczy mojego wieczornego odczytu, syna czy córkę ludzi, których tu wyrzuciła z ich krajów nędza czy klęski.

Między tą młodzieżą a błogosławieństwem życia i "błogosławieństwem myśli", nie wyczuwałem tej "rzeczy określonej i jasnej... nieszczęścia". Na pewno myśl ich była daleka od myśli o której pisze Brzozowski, niewiele wybiegająca poza "oplotki" planów rodzinnych. Nie widziałem na ich twarzach nawet cienia niepokoju, które miotają światem, koszar bomb atomowej, zagrożenia Ameryki, nawet ich nie musnął. Te parki myślały i mówiły ze sobą pewnie o rzeczach realnie osiągalnych dla obywateli kraju potężnego, namiętnie pracowitego i bogatego.

Na drugi dzień poszedłem nad wodospad do którego jeszcze Niemcewicz przedzierał się z siekierami. Poprzez gęsty pył wodny patrzyłem przeraźliwie obojętnie na ten "największy na świecie" wodospad. O ileż bardziej wzruszała mnie w dzieciństwie siła, z jaką rwała podczas powodzi przez małą drewnianą szluzę przy młynie żółta piana naszej białoruskiej rzeczki.

Nie umiałem w sobie wykrzesać żadnego mocniejszego uczucia wobec tych zwałów wodnych, zabudowanych hotelami, fabrykami, opasanych mostami, z niezliczonymi punktami obserwacyjnymi, z windami, z lunetami, które pozwalają patrzeć na nie z góry i z dołu. Tylko ostry pisk tłustych mew, gnieżdżących się w czekoladowych skałach, głęboko u spodu wodospadu i huk nieustanny wody, przypominały mi, że jeszcze istnieje natura nie spreparowana.

W ten mglisty, mokry zimowy dzień przy każdym punkcie

malowniczym, na każdej ławce spotykałem objęte "w pozycjach przepisowych" parki.

Jakże można sobie wyobrazić, myślałem, żeby dzieci ludzi, którzy tu przybyli z zawiniątkiem na kiju i tu się dorobili do ludzkiego życia, żeby te dzieci, które o kraju ojczystym dalekim, wiedzą tyle co im opowiadają rodzice, nie chciały wrosnąć jak najszybciej i bez reszty w ten nowy kraj potężny, w te normalne warunki gdzie "jeżeli się pracuje to można żyć", zakładać rodziny, dzieci swoje wysyłać na jeden z niezliczonych uniwersytetów i cieszyć się życiem, wśród ogromnej masy przyjaznych współobywateli.

Pomyślałem sobie, że żyjąc w tym kraju od młodości, a bardziej jeszcze od dzieciństwa, trzeba mieć "duszę niezwyčajną" żeby się trzymać Polski, żeby się nie odwrócić, nie starać się o niej zapomnieć.

Próbowałem tu spotykać się, rozmawiać z młodzieżą, albo już "American-born", albo z tą, która chociażby przeszła przez amerykańską szkołę, college, wojsko. Nie spotkałem takiego, który by mi mówił o Ameryce inaczej jak z entuzjazmem, więcej, jak o czymś najbardziej swoim i własnym. Ale pamięć o Polsce, związki z Polską, mają tutaj dziwne i różnorakie ścieżki. Co tę młodzież z Polską wiąże? Stwierdziłem, że przeważnie była to miłość do rodziców "bo moje rodzice, to jest co najlepsze na świecie" — mówił mi ogromny marynarz, odwożący mnie autem z odczytu w Filadelfii. Rzucił marynarkę, gdzie mu się wiodło doskonale, ("doskonale zarabiałem, mało robiłem") na to, żeby być przy rodzicach, właścicielach "interesu", przy ojcu działaczu Polonijnym. Ale są też inne powody. Rola jaką tu grają jako więź z Polską wszelkie organizacje polskie i polsko-amerykańskie jest większa niż przypuszczamy. Nie widziałem nigdy w Polsce, ani tym bardziej gdziekolwiek na emigracji — by "Akademie ku czci", by zebrania organizacyjne różnych polskich towarzystw — były tak uczęszczane i tak wrośnięte w samo życie Polaków. W Toronto powstaje Komisja Edukacyjna. Entuzjaści polskości, jak żywcem wyjęci z Prusa, dają bezpłatne lekcje polskiego. To samo jest w szeregu miast Stanów. W samym uniwersytecie w Toronto 30 Amerykanów, pochodzenia polskiego, uczy się po polsku.

Cały szereg młodych działaczy polskich w Stanach dziś mówi lepiej po polsku niż 10 lat temu.

Siła atrakcji polskiej blednie, ginie nieraz całkowicie w jednym pokoleniu, zgaszona blaskiem Ameryki, atrakcją jej *demokracji* i jej *sily* i nagle znowu wybucha w następnym.

Nie mówię już o ludziach, którzy jeszcze sami z Polski przybyli. Tu więzy przeważnie są bardzo silne.

"Kiedy szedłem kiedyś drogą z ojcem", — opowiada znany działacz z Cleveland — "to było jeszcze w Polsce, byłem mały chłopak, spytałem go co znaczą dwa białe kamienie przy krzyżu przydrożnym. Powiedział mi, że tu pochowano dwóch powstań-

ców. Wtedy postanowiłem, że zawsze będę Polakiem". Tej historii nie wymyślił Żeromski. To fakt.

Znów łańcuch niewidzialny.

Jeden Polak z Camden sprowadził kilkudziesięciu Dipisów i znalazł im pracę. Trzeba słuchać z jaką wdzięcznością o nim mówią ludzie, których poratował.

Rilke mówił, że poeta-pisarzem ma prawo być tylko ten, kto nie może nim nie być. Zdaje mi się, że dzisiaj Polakiem ma prawo być tylko ten, kto nie może nim nie być...

- Z wolności i z wyboru, *nie* z przymusu.

Szybka amerykanizacja młodych jest tylko jedną stroną zagadnienia. Ofiary niewinne, zarzucają daleko swe łańcuchy niewidzialne, przykuwają niektórych bardziej niż siła i bogactwo, bardziej niż geniusz.

Silni i bogaci i bez nas będą silni i bogaci. o geniuszach będzie pisała historia, znajdziemy ich na pomnikach i w antologiach poetów, ale ci bezimienni pod białymi kamieniami, lub w fosach na których na wieczną spraw niepamięć zasadzono młode świerki — ich imion na pewno w żadnej historii nie znajdziemy, imion tych wszystkich "których matki i siostry kochały, którzy padli konając na to, aby ci, co po ich śmierciach żyć będą, byli wyżsi i szczęśliwsi".

Polakiem jest ten, kto tych ofiar bezimiennych nie może zapomnieć. I tu jest *ich* zwycięstwo.

Miałem odczyt w pewnym mieście w Stanach też o Katyniu. Zorganizowany przez działacza polskiego, ojca siedmiorga już tu urodzonych dzieci, który w 1909 r. tu przybył spod Tarnopola, wrócił do Polski, między 1915 - 19 rokiem, żeby się bić w Legionach, potem znowu pojechał do Ameryki. Pomagał mu przy organizacji mego odczytu we wszystkim blondyn o niebieskich oczach, skromnie, z pilnym zapałem, poświęciwszy cały wolny czas w sobotę i niedzielę — jego syn Władek, amerykański lotnik; podczas ostatniej wojny latał nad Pacyfikiem i bombardował Japonię, dziś nauczyciel w szkole amerykańskiej. Mówił po polsku płynnie, sprawy polskie najwidoczniej obchodziły go prawdziwie, Polski na oczy nie widział.

Gdy wyjeżdżałem odprowadził mnie ojciec do stacji autobusowej.

"Mój syn Władek na lato jedzie na dodatkowe studia do Harvardu — powiedział mi na pożegnanie — niech Pan tam poprosi Dzięwanowskiego ode mnie, niech się wtedy trochę zajmie moim synem, bo wie Pan — i tu się zatrzymał — i dodał trochę ciszej, jakby z cieniem nieśmiałości — ja bym chciał, żeby on jeszcze więcej wszedł... w te sprawy polskie".

Czy i tego człowieka i jego syna trzyma silniejszy od szczęścia łańcuch ofiar niewinnych?

1 Maj 1950.

Józef CZAPSKI.

Kartki z notatnika

Warszawa.

23. XII. 1937. Wiek oświaty i "postępu" kpił sobie z istnienia szatańskiej mocy i, kolekcjonując zdobycze technicznych osiągnięć, straszył "ciemnym średniowieczem".

I oto w "oświeconym" XX-tym stuleciu przekonywujemy się, że szatańska moc (diabeł!) istnieje, że Szatan to nie operowy Mefisto, nie wymysł "ludowej ciemnoty", ani Goethe, ale najoczywistsza, najbardziej przekonywująca rzeczywistość.

Gdzie jest wyjście? W gotyku.

W średniowieczu ("ciemnym") istniała jasna świadomość zła. Wówczas ludzie widzieli ucieleśniające się zło. Wiek XIX, ukolwany przez Feuerbachów i Offenbachów, nie widział niczego.

Ale teraz znowu widzimy.

29. IV. 1938. Metternich pisał w 1822 roku do austriackiego posła w Petersburgu (barona Lebzelterna):

"Gdy nadejdzie dzień likwidacji Rosji, ujrzymy takie moralne bankructwo, jakiego historia nigdy nie znała".

Metternich bał się Rosji, ale też i znał ją, czego nie można powiedzieć o współczesnych politykach.

13. VII. 1938. W związku z podróżą Balzaca do Petersburga, rosyjski chargé d'affaires w Paryżu, Kisiloff, pisał do ministra spraw zagranicznych, Nesselrode (w lecie 1843), co następuje:

"Ponieważ pisarz ten stale ma kłopoty pieniężne, a obecne jego trudności materialne są większe niż kiedykolwiek, bardzo możliwe, że jednym z celów tej podróży jest literacka spekulacja. W tym wypadku i mając na uwadze kłopoty finansowe pana de Balzac, można by wykorzystać pióro tego autora, który jeszcze zachowuje pewną popularność zarówno tu, jak i w całej Europie, aby spowodować napisanie sprostowania wrogiej nam i oszczerczej książki pana de Custine..."

Kilka miesięcy przedtem ukazała się głośna i zawsze aktualna książka: "La Russie eu 1839".

Historia powtarza się... Zwłaszcza historia rosyjska.

28. VIII. 1939.

*Cement próchno przegryza i mury bezradnie pękają,
krucha cisza się łamie, opada w ruinach bez sił.
Chłód późnego ogrodu i gwarną rozmowę ruczają
i mój namiot samotny — wszystko piasek pokryje i pył.*

*Płomień życie przepali i wiatry rozwieją ten popiół,
co na martwych obliczach, jak szary położy się kurz.
I jak Sąd Ostateczny po dymem spowitej Europie
głosy surm rozwścieczonych wybiegną naprzeciw złych burz.*

6. IX. 1939. Godzina 11.50. Triumfalny marsz Escamillo. Szlochająca melodia José, biednego José.

7. IX. 1939. Bezcynność mężczyzny podczas wojny jest bodaj nie do wytrzymania. Dziś w nocy wyraźnie wydawało się, że genitalia ulegają atrofii.

Kopaliliśmy okopy: chaos, bezwładność, beznadzieja i noc, narzmiła ruchem, hałasem i trwogą.

27. IX. 1939. Od południa cisza. Ale jaka! Martwa. M a r t w e miasto. Domy, rozwalone przez bomby i granaty, spoglądały wśród nocy otworami wybitych oczu. Przy pełnym księżycu — był to obraz niesamowity, godny jakiegoś księżycowego Goyi. Czerepy domów, szkielety domów, oczodoły pustych okien.

I Anioł Wojny nad cmentarzem miasta.

30. IX. 1939. Warszawa była dla mnie miastem, gdzie "przemijają dni" (jakaś analogia z życiorysem Kulisza czy Szewczeni-ki), miastem, gdzie "nie urodził się żaden poeta". Warszawa w ogóle znajdowała się poza granicami Wysokiej Poezji i Tragedii ("nie opera, lecz operetka" — jak pisałem w jakimś wierszu). Nie ratowało jej nawet norwidowskie: "ideał sięgnął bruku".

I oto pierwsze wyjście na scenę po zakończeniu pierwszego Aktu (który, jak się później okazało, był tylko uwerturą).

Niesamowite wrażenie. I wrażenie dziwne: Warszawa "s Pompeizowana" stała się jakoś niewiarygodnie u d u c h o w i o n a. "Operetka" znikła całkowicie. Warszawski "półstyl" zniknął definitywnie. I ruiny miasta nabrały wyrazu Wysokiej Sztuki i Wysokiego Stylu.

... Epizod na Placu Teatralnym: samochód z grupą niemieckich żołnierzy, którzy pokazywali palcami na mury Wielkiego Teatru i — strach chwytali, gdy się słuchało — ś m i a l i s i ę w cmentarnej ciszy placu. Śmiali się, rechotali brutalnie, z barbarzyńską szczerością, bez cienia teatralnego akcentu.

Ten śmiech powracał we śnie. Tego śmiechu już nie będzie można zapomnieć... A wieczorem przyszedł Georg Kaus, młody niemiecki poeta z Łodzi, o zapadłych oczach i policzkach — było w nim coś z gruźliczego Schillera — i mówił o straszliwym pięknie uduchowionych warszawskich ruin, mówił, że teraz po-

kochał to miasto na zawsze, że już nie będzie mógł z nim się rozstać. I przeklinał: nie, nie Hitlera, nie rząd, ale niemiecki naród, niemieckiego człowieka, niemiecką matkę... I przeklinał Goethego, nazywając "Fausta" bezduszną szmirą i erza-
tzem.

I. słuchając go, robiło się jeszcze przeraźliwiej.
17. XI. 1939.

*O, tak. Ja wiem. Nie próżno-m tyle lat
zwiastował gniewu dzień i zemsty krwawej;
ten pługiem armat przeorany świat,
ten mrok i próchno purpurowej sławy;*

*ten Aten płacz i rozjuszony ryk
zwycięskiej Sparty, martwe miasta ściany
i eskadr huk i bomb rażący syk,
i ręki wodza ruch nieubłagany.*

*... Lecz już, jak w wieszczych, zapowiednich snach,
objawia się w zdarzeniach, dniach i rzeczach:
— W słonecznej zorzy Partenonu gmach
odpływa w noc gotycką Średniowiecza.*

14. II. 1940. Z listów Teodora Tiutczewa:

"Za Warszawą rozściela się groźna scytyjska równina" (1843). "Patrząc na to jezioro i góry (zamek Otville koło Vevet), które w rozświetlonej mgłę zdawały się przywidywać na jawie, nagle przypomniałem sobie, że mniej niż za sześć tygodni, znów będę miał przed wzrokiem Gostynij Dwor, od czwartej popołudniu oświetlony smutnymi latarniami Newskiego Prospektu — i przeszedł mnie dreszcz" (1859). "Oto dziś wieczorem zanurzyłem się nie w wieczność, jak powieszony w Anglii, lecz w nieskończoność, jak podróżnik w Rosji" (1859).

"Je n'ai pas le Heimweh, mais le Herausweh".

"Nostalgie en sens contraire".

"W Rosji — kancelarie i koszary. Wszystko kręci się dokoła knuta i urzędu".

A w tym samym czasie Niekrasow pisał po powrocie z zagranicy (1857):

Dzięki ci, kraju mój ojczysty,
za przestrzeń twą, co leczy duszę!

A trzeba dodać, że Niekrasow był na pół polskiego pochodzenia.

15. II. 1940. Ukrainka jest demoniczna ("czarownica" — w średniowiecznym znaczeniu tego słowa), a Polka — jakie to dziwne! — anielska (w całej rozpiętości: od Muzy do patriotycznej hetery włącznie).

A jednak Gogol był geniuszem: córka wojewody z "Tarasa Bulby" ze swoją widziadlaną, niemal fosforyzującą anielskością, — i Andrij — strzęp spieczonego ukraińskiego serca (i cała problematyka z tym związana).

24. II. 1940. Ciekawe, że Mahomet miał czysto "balzakowski" romans ze swoją późniejszą żoną, znacznie od niego starszą (i bogatszą).

A propos: zieleń i srebro — to barwy Koranu ("odzież będziecie mieli z zielonego jedwabiu, spiętą s r e b r n y m i a g r a f a m i" — to, najwidoczniej, w raj).

27. II. 1940. Najistotniejsze w Szatanie-Antychrystie jest to, że u d a j e Chrystusa, że jest Chrystusem fałszywym (zauważył to już Władimir Sołowjow). To nie operowy Mefisto i nawet nie Książę Mroku (przecież jest "Lucyferem"!), nie, to — małpa, aktor, namiastka.

W twórczości, w sztuce jest imitatorom. Grafomanowi — "Bóg przebaczy", imitatorowi — nigdy. To samo dotyczy uczuć.

"Niech zmartwychwstanie Bóg i niech przepadną Jego wrogowie!"

Od końca XVIII-go stulecia — Maszyna, — a przez to s a m o: a t e i z m. Przyszłe średniowiecze będzie niszczyć na stosach wszelkich "wynalazców", jak to już czyniło Stare Średniowiecze.

P r a g a

30. I. 1945. Skoworoda i na pół wykształcony Lew Tołstoj, który swoim chłopskim rozumem i "chłopską arytmetyką" chciał powtórzyć Skoworodę. Bardzo charakterystyczne: Skoworoda i ukraiński skoworodyzm to duchowa autarkia (metafizyczne — "moja chata z kraju"), zaś Joseph Conrad to totalny imperializm ducha.

7. V. 1945. Drugi dzień Wielkanocy — bez Wielkiej Nocy. Cały dzień w domu. Przygnębienie. Strzelanina od soboty. Dobrze, że w Palmową Niedzielę byłem u komunii. Wydarzenia zastały w Czerwonym Krzyżu, w czasie starań o "wizę"...

Dziś — znowu strzelanina, taka sama, jak wczoraj: sporadyczna, przypadkowa, na wzór 1917 roku. Różne wersje. Wschód? Zachód? Pomiędzy nimi?

Boże, co zmartwychwstał, zachowaj bliskich i nie rozłącz mnie z nimi!

10. V. 1945. Nieznane oblicze Pragi — zakrwawione sztandarami, poszczerbione przez ruiny. Ale głównie, ten duch, ten zupełnie inny duch. Czyżby to było miasto mojej młodości?!

To miasto było podczas tej wojny ukryte "pod siermięgą", ale było.

Teraz — to coś przeraźliwie nieznanego: ludzie, narowy, "ulice"...

Miasto Rilkego znikło.

R a t y s b o n a.

19. I. 1946. Tutaj *immer es regret* — zwykła tutejsza suita. I tylko T u m stoi, nie: szybuje, grzmi, wybucha ku niebu!

I modli się "za wszystkich i za wszystko". Jedynie T u m, bo dokoła głodny ryk i nienasycone maszyny, co szaleją od żądzы krwi: to amerykańskie samochody, pędzące przez wąskie wąwozy średniowiecznych ulic.

6. VIII. 1945. Hiroshima.

15. VIII. 1945. To ma być pierwszy dzień światowego pokoju. W Tokio straszliwe sceny: o pierwszej w nocy kapitulował Mikado i tłumy, zebrane przed imperialnym pałacem, błagały cesarza na kolanach, aby im przebaczył, że naród nie wytrzymał wojny.

"A Muzy głos — zaledwie dosłyszalny..." "Wszystko — proch i popiół". I tylko zielonkawy Dunaj wciąż toczy swe obojętne fale i stara Ratysbona przysłuchuje się lotowi szerokich skrzydeł historii. I jak niegdysiejsza Castra Regina, znowu stoi bastionem na granicy dwóch cywilizacyj... Jak za Marka Aureliusza.

16. VIII. 1945. "A co się stanie z naszym światem, jeśli i muzyka nas opuści?" — zapytywał Gogol w 1836 roku.

Oto już nas opuszcza: "rozbicie atomu"... Czymże to jest, jeśli nie zniszczeniem Muzyki, harmonii, struktury! Wszystko leci w przepaść. Biedni ludkowie, co "trzymają w swoich rękach losy świata", — nawet nie domyślają się, jak żałośni są w swej bezradności i nieświadomości tego, co się dzieje i a prawdę.

Jewhen MAŁANIUK.

(Przełożył Józef Łobodowski).

«Pani Helena»

Od pierwszych prób Modrzejewskiej w r. 1861 na amatorskiej scenie bardzo podłego miasta Bochni pod Krakowem minęło trochę mniej, niż lat dziewięćdziesiąt. Od jej śmierci w r. 1909 w kalifornijskiej osadzie East Newport, leżącej na brzegu Oceanu Spokojnego, kilkadziesiąt mil angielskich od Los Angeles, minęło trochę więcej, niż lat czterdzieści. Nie są to wydarzenia, ani czasy zbyt odległe. A mimo to Modrzejewska jest dziś tylko legendą, legendą o szczególnym blasku i szczególnej, melodyjnej dźwięczności, ale tylko legendą.

Gdy się myśli o tym, jeszcze raz staje przed oczyma okrutna prawda o kruchości, przelotności, nieuchronnej śmiertelności tworzenia aktorskiego. André Gide porównał kiedyś dzieła aktora do figur ze śniegu, które z tyrańskiego rozkazu Piero dei Medici Michał Anioł modelował przez jedną zimę w jego ogrodach. Nie wolno się łudzić, że postęp techniczny, w szczególności, rozwój filmu zmieni coś w tym losie. Jeśli kiedyś zdoła on ocalić dzieło aktora, to stanie się to tylko w tak znikomym, nienasycającym stopniu, w jakim żywą zjawę przytrzymuje płowiejący dagerotyp i płyta gramofonowa, w której poza głosem szumi bezmierna pustka śmierci i zagłady. Nic nie wyrówna i nic nigdy nie zastąpi obcowania z żywym człowiekiem, z jego jednorazowym przeżyciem, z jego jednorazowym wcieleciem. Sztuka aktorska jest dlatego tak patetyczna i przejmująca, że jest niepowtarzalna i krótkotrwała, jak przelot obłoku po niebie, jak błysnięcie światła na powierzchni płynącej wody. "Come like shadows, so depart" — mówi o aktorach Szekspir, aktor, który stał się nieśmiertelny dzięki słowom — przychodzą jak cienie i jak cienie odchodzą.

Jest rzeczą dziwną, że właśnie słowo ocalające od zatury zawiódło Modrzejewską, gdy stała się cieniem cienia, zawiódło ją, o której pisano wiersze w trzech czy czterech językach, ją, którą podziwiali najwięksi poeci czasu, Ujejski i Asnyk, brodaty bard Longfellow i światowy dandys Wilde, a wiadomo, że pierwszy wzruszał się jej polską recytacją, drugi przełożył na angielski jej własny utwór. Nie ma o Modrzejewskiej książki po angielsku, prócz "The Story of Helena Modjeska (Madame Chlapowska)" wydanej przez pannę Mabel Collins, późniejszą panią Cook, w Londynie w 1883 r., a więc na dwadzieścia sześć lat

przed śmiercią, na dwadzieścia cztery lata przed ostatecznym zejściem Modrzejewskiej ze sceny; według świadectwa bohaterki, ta plotkarska i snobistyczna historia zawiera sporo błędów.

Polska monografia o Modrzejewskiej, póra Franciszka Siedleckiego ukazała się dopiero w r. 1927 i jest to książka raczej zawstydzająca; dość powiedzieć, że niemal ani jedno nazwisko obce nie jest w niej wydrukowane poprawnie. A przecież krakowska rywalka Modrzejewskiej, Antonina Hoffmann (w książce panny Collins nazywa się ona "Madame Thespiś") doczekała się w rok po śmierci pracy cokolwiek zbyt apologetycznej, ale ważkiej i trwałej (Zygmunt Przybylski: "Z rozwoju polskiego teatru. Antonina Hoffmann". Kraków, 1898). O amerykańskich partnerach Modrzejewskiej np. o Booth'sie ukazują się ciągle nowe książki.

Zdumiewający jest fakt, że nie zostawili o niej wspomnień tacy ludzie i znakomici pisarze, jak Stanisław Witkiewicz, przyjaciel warszawski i zakopiański, jak Sienkiewicz, który spotykał ją w Warszawie i w Ameryce według tradycyjnej wieści kochał się w niej i w imieniu nie własnego serca, ale serca narodu przyjmował ją, gdy kończyła swój szlak wędrówki przez świat w rodzinnym Krakowie, obok dwu wielkich współczesnych, Matejki i Wyspiańskiego. Nie zebrano i nie wydano jej listów, a pisała dużo i do wielu ludzi. Nie zestawiono rejestru jej ról, nie ustalono jej itinerarium amerykańskiego. Głównym i prawie jedynym źródłem, jedynym pomnikiem życia i dzieła są własne wspomnienia Modrzejewskiej ("Memories and impressions of Helena Modjeska. An autobiography", New York 1910 i we fragmentach po polsku), bez wątplenia prawdziwe, ale pełne przemilczeń i złagodzeń, jak ona sama idealizowane i egzaltowane.

Tak, z woli przeznaczenia, któremu nawet ona nie uszła, jest Modrzejewska legendą po tej i tamtej stronie oceanu, legendą żywą, ale tylko legendą. Wypełnić kontur legendy prawdziwymi rysami, podjąć próbę określenia na czym zasadzała się odrębność i szczególność zjawiska, stanowi więc zadanie pociągające i ważne.

W całości życia i dokonania Modrzejewskiej, w jej losie osobistym i artystycznym skupiają uwagę trzy punkty: niebywałe wzniesienie społeczne, olśniewająca, jedyną i niepowtarzalną osobowość twórcza, przynależność do dwu scen, polskiej i anglosaskiej, do dwu języków, polskiego i angielskiego.

Wszyscy, bez wyjątku, którzy znali Modrzejewską, widzieli ją na scenie, podkreślają jej wewnętrzną arystokratyczność, jej rasowość. "Modrzejewska grała z takim majestatem Marię Stuart — świadczy Józef Kotarbiński — jakby od kołyski chowała się na królewskim dworze". "She possessed — wtóruje mu świadek amerykański — innate distinction to an extraordinary degree" (miała wewnętrzną dystynkcję w stopniu niespotykany).

W jednym ze szkiców amerykańskich (J. L. Gilder, w książ-

ce zbiorowej Brander Mathews and Laurence Hutton: "Actors and actresses of Great Britain and United States", New York 1886) zachowała się plotka, że Modrzejewska była córką księcia, który wydziedziczył ją ze wszystkiego za wstąpienie na scenę. A naprawdę była ona córką górala o wrodzonych i wykształconych uzdolnieniach muzycznych Michała Opida i mieszczańki krakowskiej (matka nazywała się z domu Meisel). Można powiedzieć, że w Modrzejewskiej polska rasowość chłopiska i mieszczańska osiągnęła swoją najwyższą miarę i granicę.

Ale to nie wszystko. Przedstawiając taki uderzający wykwit, niejako arcydzieło rasy, Modrzejewska dokonała czynu społecznego trwałej wagi. Podniosła godność aktora tak wysoko jak może nikt przed nią. Wyszedłszy za mąż za poznańskiego ziemianina Karola Bodzenta Chłapowskiego, byłego powstańca 63 r. — pozostała na scenie. Do jej czasu obowiązywała konwencja, nakazująca aktorkom opuszczać teatr po zamęściu z ludźmi innego zawodu i zwłaszcza innej sfery. Ta konwencja pozbawiła nasz teatr niejednego wspaniałego talentu.

Wbrew niej panna Opidówna, pierwszy raz, zdaje się, niezbyt szczęśliwie zameżna za Gustawem Zimmajerm-Modrzejewskim, potrafiła przekonać swego arystokratycznego męża (co nie było zbyt trudne), potrafiła jego środowisku i całej opinii społecznej (co było trudniejsze) narzucić przeświadczenie, że aktorstwo to zawód ryzykowny, pełen zasadzek i niebezpieczeństw, ale godny, nieuchybny nie tylko hrabiowskiemu tytułowi, ale godności ludzkiej i kobiecej. W Ameryce nazywano ją "the titled actress" i wyzyskiwano tę okoliczność dla celów reklamy, która już za jej czasów zaczynała przewlekle delirium i nieraz utrapiała jej życie. Ale wcześniej, w Polsce, pani Modrzejewska-Chłapowska dokonała społecznej i towarzyskiej nobilitacji zawodu aktorskiego. W niej bodaj szczyt osiągnęło wyjątkowe, nigdzie indziej nie spotykane traktowanie aktora jako piastuna prześladowanej mowy, jako kapłana narodowości zagrożonej zagładą.

Ale i to jeszcze nie jest wszystko. Modrzejewska niesłychanie wysoko podciągnęła standard moralny swego zawodu. Jeszcze Eleonorę Duse d'Annunzio będzie witał słowami "granda amatrice". Jeszcze młodsza od Modrzejewskiej Sarah Bernhardt będzie przedstawiała tradycyjny typ "comedienne courtesane". Jeszcze jej rywalka krakowska będzie przez lata tylko przyjaciółką Stanisława Koźmiana, ich wspólnego dyrektora i wychowawcy, polityka konserwatywnego i twórczego teatromana. Modrzejewska ustaliła styl odrębny: aktorki-żony, aktorki-matki, kobiety o nieposzlakowanym życiu obyczajowym. Zastąpiła malowniczą skandaliczność — autentyczną wielkością. W miejsce grande amoureuse wprowadziła do teatru — grande dame, albo prościej: grande femme.

W wyjątkowo ścisłym związku z tą osobowością prywatną pozostawała osobowość artystyczna Modrzejewskiej. Jej kształ-

towanie się było zrazu instynktowne, szło omackiem. W pierwszym okresie, w którym Modrzejewska z trupą wędrowną prze-ważnie amatorską, objężdżała w dwu sukienkach, czarnej dla tragedii, białej dla komedii, miasta i miasteczka śp. Galicji i Lodomerii, była ona wszystkim, także — śpiewaczką. Gdy się zaangażowała do teatru lwowskiego w r. 1862 — było to jej pierwsze engagement — jeden z krytyków, bodaj Jan Dobrzański, radził jej, aby się specjalizowała... jako wodewilistka. Jeszcze w Krakowie, w teatrze Skorupki i Koźmiana, na pierwszej nowoczesnej scenie polskiej Modrzejewska myślała iść w kierunku komedii. W koleinę właściwą pchnął ją bardziej przypadek, niż świadomość. Przede wszystkim słynne kiedyś współzawodnictwo z Antoniną Hoffmann, które przez lata wytyczało linię podziału poprzez cały kulturalny Kraków, a często nawet przez klasy, klany i rodziny: dwaj bracia Badeniowie np. należeli do przeciwnych obozów, jeden do obozu "Hoffmanki", drugi do obozu "pani Heleny".

Kraków dał Modrzejewskiej życie, Kraków urobił jej duszę i ukształtował artystkę. Można o niej powiedzieć to, co powiedziano o Wyspiańskim: bez tego miasta, by jej nie było lub byłaby inna.

Trzeba to uważać za szczęśliwe i błogosławione zrządzenie losu, że w r. 1865 znalazła się w pierwszym zespole nowego teatru krakowskiego. Był to teatr nietuzinkowy. Dyrektorował mu hrabia, jego duszą był świetny pisarz polityczny i świetny Europejczyk Stanisław Koźmian. Związała się z tym teatrem na zawsze legenda najwspanialszych "ślubów panińskich" z Modrzejewską - Anielą, Hoffmannówną - Klarą, Rapackim - Radostem, Feliksem Bendą - Gustawem, Ładnowskim - Albinem. Wiąże się z tą sceną historyczna prawda o zasadniczym przełomie w teatrze polskim. Stała się ta scena na całe lata prowadząca stylu aktorskiego, pepinierą aktorów, kuźnią nowych metod pracy.

Jeszcze we Lwowie zarzucano Modrzejewskiej "manierowaną gestykulację", "dykcję nienaturalną", choć przyznawano talent. "Szkola krakowska" czy "koźmianowska" otarła ją z naleciałości starego teatru, oduczyła patosu i afektacji, nauczyła prawdy, naturalności, powściągu. W tym samym kierunku bezpośrednio oddziaływało źródło natchnień Koźmiana: teatr paryski Got'a i Bressant'a.

Ale na tym się nie skończyło. Przejście przez "szkołę krakowską" stanowiło dla Modrzejewskiej tylko etap, tylko stopień do pełni własnego wyrazu. Główny krytyk Warszawy, Władysław Bogusławski przenikliwie zauważył, że rozwój Modrzejewskiej jest "historią walki między realistką a idealistką", ale nie rozumiał istoty i odrębności tego rozwoju.

W ciągu ośmiu lat pobytu w Warszawie 1868 - 76 Modrzejewska rozbiły się ostatecznie na firmamencie epoki gwiazd obok Palińskiej i Bakałowiczowej, Żółkowskiego i Królikowskiego, Rychtera i Rapackiego jako gwiazda pierwszej wielkości, ale i

odrębnego, uderzającego blasku, jaki ma Venus albo Gwiazda Polarna.

Tajemnicę tego blasku stanowiła sublimacja artystyczna, uwznioślanie świata, wyszlachetnianie postaci ludzkich spowijanie ich aurą poezji, jakby poświęcała księżycową. Krytyka angielska określiła później tę postawę jako "imaginative style of acting". Modrzejewska była w teatrze polskim największą, jedną z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszą w teatrze światowym, przedstawicielką idealizmu aktorskiego. Była romantyczką sceny.

W ustaleniu tego zasadniczego faktu wspomagają nas dwa przeciwstawne świadectwa.

Jedno z nich pochodzi od rasowej realistki i sztandarowej naturalistki polskiej, od osobistości kobiecej i artystycznej pod wieloma względami kontrastującej z Modrzejewską — od Gabrieli Zapolskiej. "W czarne głębie źrenic — pisała ona — Modrzejewska chłonie tylko piękne barwy i kształty, w delikatne konchy uszu harmonię tonów — i później fluidem swym, światłem opalowym alabastrowej lampy swego ducha, wytwarza działającą na nas czar, do którego zwracamy się spragnieni, pełni wiary i ufności..."

Drugie świadectwo zostawił Amerykanin, poeta i krytyk teatralny, William Winter, który Modrzejewską widział wiele razy, znał osobicie i dał wspaniały opis i rozbiór jej sztuki. Ten nieprzejednany przeciwnik Ibsena i Whitmana, zaprzysiężony wróg realizmu był szczególnie powołany do rozumienia i określenia zjawisko Modrzejewskiej. "The atmosphere of her mind and art was essentially poetic; her execution was marked by exquisite refinement and grace (atmosfera jej umysłu i sztuki była z istoty swojej poetycka; jej grę cechowały wdzięk i zachwycająca subtelność)". To uogólnienie wspiera analiza dwu arcyról Modrzejewskiej: "Adrienne Lecouvreur" Scribe'a, którą kolejno zdobyła Warszawę, San Francisco, New York i Chicago, Londyn i Dublin, oraz "Camille", pod którą się kryje "Dama kameliowa" Dumasa syna.

Pierwsza postać, rola napisana dla Rachel, odtwarzana przez Ristori, Charlotte Wolter, Marię Seebach, Sarę Bernhardt, rolę aktorki walczącej o prawo do miłości i prawo do godności, według Wintera — "was depicted as a great woman, who greatly loves (była odtworzona jako wielka duchem kobieta, która kocha na wielką miarę)". "The looks of love — irradiated with happiness and irresistible attraction — with which Adrienne eyes were made to follow the form of her lover, linger in memory as the most beautiful and fortunate expedients of art; but it was the soul behind them which gave them the power" (spojrzenia miłosne — promieniujące szczęściem i nieodparte w uroku — którymi oczy Adrienne śledziły postać kochanka, trwają w pamięci jako najpiękniejsze i najszczęśliwsze osiągnięcia sztuki; to dusza ukryta za nimi dawała im taką siłę).

"Kamilla" Modrzejewskiej była — zresztą wbrew logice tekstu — "more like a spirit than a woman, the ideal of native lost through passion, but struggling toward light" (więcej duchem niż kobietą, ideałem wrodzonej czystości, utraconej przez namiętność, ale przebijającej się ku światłu).

Ta właściwa Modrzejewskiej dążność oczyszczająca, uszlachetniająca, idealizująca, prowadziła do pomyłek, które właśnie są najbardziej znamienne i wymowne. W r. 1883 wprowadziła ona pierwsza na scenę amerykańską "Dom lalek" Ibsena, pt. "Thorra" i jaskrawo realistyczny dramat Sudermanna "Heimat" dając mu nazwę "Magda". Ta ostatnia postać "became — są to ciągle słowa Wintera — in the person of that actress invested with such attributes vastly superior to her native endowment and such as would make her conduct in the play radically impossible..." (osobowość aktorki wyposażyła Magdę w cechy nieporównanie wyższe od jej wrodzonego charakteru i takie, które właściwie czyniły jej postępowanie w sztuce całkowicie nieprawdopodobne).

Modrzejewska, aktorka idealistyczna była — aktorką przeżywającą. "Wszelkie sztuki teatralne — są to jej własne słowa — i dobywanie najpotężniej brzmiącego głosu nie zdołają władczy życia w postać, która nie zrodziła się z żywego uczucia. Tylko czujący aktor może wzbudzać uczucia".

Zachowały się liczne świadectwa potwierdzające tę prawdę. W pierwszym akcie "Odette" Sardou, Modrzejewska zawsze z taką siłą padała na kolana, że je kaleczyła. Zdarzało się często, że siakała po zapadnięciu kurtyny, często po przedstawieniu leżała bez ruchu wyczerpana psychicznym wysiłkiem. Nie lubiła grać długo tej samej sztuki jednym ciągiem. Somnabuliczną, ogarniętą snem na jawie widział ją w kulisach krakowskiego teatru i opisał Wyspiański. Z tą tradycją sprzecza się tylko przekaz panny Collins, mówiący, że w czasie przedstawień "Damy kameliowej" w Londynie (dla zmylenia cenzora nosiła ona tytuł "Heartsease") Modrzejewska w scenie rozpaczy rysowała karykatury a raz nawet napisała list do partnera, zaklinający, aby nie zbudził jej świeżej sukni. Jest to jednak świadectwo odosobnione i wątpliwe.

Ten idealistyczny typ aktorstwa, romantyczność jej natury artystycznej prowadziła Modrzejewską nieuchronnie ku pewnym kręgom dramatu. W Krakowie wiosny ludów podpadła pod urok polskiej poezji romantycznej. Jak Mickiewicz przeszedł wpród przez okres "schilleromanii", religijnego kultu Schillera. Jak u Mickiewicza i u niej zluźowała ten kult "brytanomania", czar Szekspira, z którego się już nigdy nie uwolniła.

Choć właściwe odkrycie polskiego dramatu romantycznego, polskiego teatru monumentalnego przypada na przełom dwu stuleci, teatr krakowski siódmego dziesiątka lat ubiegłego wieku ukazał jej sceniczne bogactwo polskiego szekspirzysty Słowackiego: grała w nim Marię Stuart, w "Balladynie" była eteryczną Goplaną. Tam też, w "starej budzie" na placu Szcze-

pańskim po raz pierwszy grała Szekspira, była w wyjątkowo starannie jak na owe czasy przygotowanym "Kupcu weneckim" Porcją obok Rapackiego-Shylocka. Po latach Winter pochwalił tę jej "dziewiczą rolę szekspirowską jako "next to Ellen Terry an actress incomparable in that character" (najbliższą Ellen Terry, aktorki niezrównanej w tej roli).

Dostawszy raz do rąk medium szekspirowskie, Modrzejewska stanie się pierwszą, największą a na pewno najbardziej namiętną, żarliwą, fanatyczną szekspirzystką polską. W aktorstwie zajmie to miejsce, jakie Słowacki zajmuje w dramacie. Narzuci Warszawie Słowackiego i Szekspira, przełamując ciasny krąg komedii salonowej i "pièce bien faite". Na przekór tępotcie cenzury przepze "Hamleta" w nowym przekładzie, zyska sławę jako najbardziej wzruszająca, przez nikogo nie zaćmiona Ofelia; w legendzie o tej roli śpiewa ona piosenki pod muzykę ułożoną przez Moniuszkę.

Naturalną kolejną rzeczą kult Szekspira musiał wzbudzić pragnienie, aby go grać w jego własnym języku, w mowie poetyckiej, która nie ma sobie równej, której nie potrafi oddać żaden przekład. Tu jest źródło rewolucyjnego wydarzenia w życiu Modrzejewskiej: przejścia na scenę amerykańską. To postanowienie stanowi jedną z tajemnic, jeden z owych porywów instynktownych, nieobliczalnych, właściwie liczących się do zakresu czystego natchnienia.

W wyjaśnieniach tej decyzji przewijają się dwa sprzeczne motywy. Władysław Bogusławski, surowy sędzia Modrzejewskiej, trochę w obronie samego siebie utrzymuje, że był to "coup de tête, w którym nie wiadomo co silniej się odezwało, czy nadmierna nerwowa wrażliwość artystki, czy obrażona miłość własna". Popiera to wyjaśnienie list Modrzejewskiej do pani Leo z 15 marca 1877. Inne źródła wskazują okoliczności zewnętrzne: zatargi z cenzurą rosyjską, radykalizm poglądów, zagęszczenie się wokół obojga Chłapowskich atmosfery politycznej.

Trzeba dodać, że od początku kariery artystycznej, właściwie przed jej progiem zjawiała się pokusa zdobycia teatru niemieckiego i tylko wyczulone poczucie narodowe pozwoliło Modrzejewskiej zwyciężyć tę pokusę. Mógł działać przykład Bogumiła Dawisona, warszawianina, który w r. 1846 w odpowiedzi na szykany antysemickie opuścił scenę lwowską, został aktorem Burgtheatru we Wiedniu, gwiazdą scen drezdeńskich, bożyszczem Niemiec i w r. 1866 objechał triumfalnie Amerykę.

W rozstrzygającym postanowieniu wyjazdu do Ameryki działały te wszystkie i może jeszcze inne przyczyny. Było w nim coś z decyzji innego romantyka polskiego, który wyrwał się z Krakowa, jakby wstrząśnięty spazmatycznym skurczem i pływał już wtedy po siedmiu morzach świata, aby pod koniec kariery Modrzejewskiej zabłysnąć jako — Joseph Conrad. U obojga był to ten sam instynktowny zryw ekspansji twórczej, ta sama potrzeba przełamania obręczy fizycznego ucisku i duchowego

wej ciasnoty, niedoli i małości, wola wzlotu na szerokie przestrzyny i pod najwyższe nieba.

W tym conradowskim odruchu doszedł do głosu romantyzm Modrzejewskiej, który stanowił o jej całej osobowości i całym artyzmie. Ale wyjazd z Polski było to nie tyle uprzedzenie linii Conrada, co podjęcie linii Chopina. Modrzejewska objawiła zachodniemu światu romantyczny idealizm polski, który od pół wieku szturmował niebo i ziemię, zdobył się na gigantyczne zrywy, ale do świadomości powszechnej dotarł tylko przez czarodziejską muzykę Chopina. Przez tę aktorkę po raz drugi w tym samym stuleciu otworzył się on ze swojej hermetyczności i zdobył świat. W Modrzejewskiej ukazał się on bezpośrednio jako żywe wcielenie pełne nieodpartego czaru i nieskazitelnej czystości. W Modrzejewskiej przemówił najwyższym, najbardziej uniwersalnym językiem dramatycznym, językiem Szekspira.

Winter z powodów pryncypialnych i szowinistycznych (Szekspir tylko dla Anglosasów) w kilku punktach ostro osądza dobroć szekspirowski Modrzejewskiej. Na pewno nie jest w tym względzie miarodajny. Wbrew temu inny historyk za najmocniejszą w historii teatru amerykańskiego obsadę "Hamleta" uważa tę, która wystąpiła na Wallack Testimonial w Nowym Jorku w r. 1888: Hamleta grał tam Emil Booth, Ofelię Modrzejewska. (Laurence Hutton "Curiosities of American Stage", New York 1891).

Dokonanie Modrzejewskiej w zakresie szekspirowskim jest niebywale i bodaj niepowtarzalne. Nauczyła się po angielsku w trzydziestym siódmym roku życia i nie było szekspirowskiej roli kobiecej, której by nie grała. Ciąg tych postaci uczynionych z ciała, krwi i najczystszej poezji, pełnych kobiecej słodyczy, czaru, uśmiechu i zdolności wzniosłego cierpienia otwierają: Porcja, Julia, Hero, Beatrix, Ofelia, królowa Anna w "Ryszardzie III", które Modrzejewska scenicznie wcieliła jeszcze w Polsce. Kończy ten czarodziejski korowód: Rosalinda, Viola i Imogena, królowa Katarzyna i królowa Konstancja, Kleopatra i Izabella z "Miarki za miarkę".

Tę ostatnią rolę, wcielającą "authoritative final force of intrinsic nobility (autorytatywną, ostateczną siłę organicznej szlachetności)", wymagający Winter uważa za najlepszą kreację szekspirowską Modrzejewskiej. "It would not perhaps — dodaje — be saying too much to say that Isabella was the finest of all her many impersonations. It revealed in a clear light the lovely sincerity of her spirit and the beauty of her felicitous art" (nie będzie może zbyt przesadą powiedzieć, że Izabella była najlepszą spośród wszystkich licznych jej wcieleń, objawiła w jasnym świetle czarującą bezpośredniość jej duszy i piękno jej błogostawionej sztuki).

Świadczy to nie tylko o zaślepieniu, któremu ulega wiele aktorek, że Modrzejewska grała Julię z "Romea i Julii" do czterdziestego ósmego roku życia, ale może także o jakiejś zupeł-

nie magicznej zdolności sublimacji. "Her Juliet — pisze Lewis C. Strang ("Players and Plays of the Last Quarter's Century, Boston 1913) — was a symposium of all that was best in Modjeska's acting. A lovely creation, girlish and still intensely moving" (Jej Julia sympozjon wszytkiego, co było najlepsze w aktorstwie Modrzejewskiej; czarująca kreacja, dziewczęca a jednak głęboko wzruszająca)).

W latach 1889 - 90 Modrzejewska tworzyła parę z największym szekspirzystą amerykańskim Edwinem Boothem (na wzór pary Irving - Ellen Terry) i objeżdżając z nim Amerykę grała Lady Macbeth. Winter scenę we śnie nazywa "excellent", stwierdzając, że urzeczywistniała ona to, co Sarah Siddons zakładała teoretycznie, a czego w praktyce nie była zdolna osiągnąć. Jeszcze u schyłku życia i kariery, w r. 1905 lub 1906 przemyśliwała Modrzejewska o roli Hermiony i próbnie wystąpiła w niej w Los Angeles.

Na swój triumfalny szlak opasujący dwie półkule przykładem i bezpośrednią zachętą pociągnęła Modrzejewska Paderewskiego. Wskazała mu także styl bycia, ów styl ambasadorski, dumny i godny, który sama obnosiła po stolicach Europy i świata i zdobywała dla niego uznanie wśród największych, najślawniejszych ludzi swego czasu. Manifestowała wszędzie swoją polskość i manifestowała na rzecz Polski. Jej wystąpienie na kongresie kobiecym w r. 1893 odezwało się rozgłośnym echem na całym świecie i wywołało zaszczytny ukaz carski zakazujący jej wjazdu na obszar imperium rosyjskiego.

To różni Modrzejewską z Conradem, że wyjście z zamkniętego kręgu i pełne urzeczywistnienie artystyczne nie uwikłało jej w dramat, nie doprowadziło do konfliktu z sumieniem narodowym. Miłość do Polski i lojalność wobec kraju przybranego związały się harmonijnie, jak wszystko w niej, jak całe jej życie. Pozostała wierna ojczyźnie, jeździła do niej często. W Krakowie, jako aktorka światowej sławy grała z dawną rywalką Hoffmannówną i razem z nią pierwsza symbolicznie uderzyła kamień węgielny, na którym stanął nowy teatr jej rodzinnego miasta, także symbolicznie nazwany imieniem jednego z dwu duchów przewodnich jej sztuki. Słowackiego. Miała w Krakowie dom, w którym pragnęła dożyć ostatnich dni. Jeszcze w r. 1879 (dwa lata po wyjeździe do Ameryki) pisała do Kornela Ujejskiego: "całym moim życzeniem jest grać w Londynie, a później objechać świat naokoło — Australię i Japonię i wrócić stroną drugą do Europy, a zatem do kraju i już tam zostać do końca".

Wróciła dopiero po śmierci na pokładzie statku "August Victoria". Przez cały Atlantyk, jak droga mleczna ciągnęła się za nią mgławica zjaw, którym w ciągu życia dała przelotne, oślniewające istnienie. W Krakowie i w Polsce trumnę spowitą w tę gwiazdną mgławicę przyjęła powszechna świadomość, że na tym statku, tak trafnie wybranym przez los, wraca dostojne zwycięstwo ducha polskiego, sztuki polskiej — jedno z naj-

większych, najbardziej brawurowych, najbardziej błyskotliwych.

„Pani Helena” — tak ją powszechnie nazywano — zachowała zawsze polskie brzmienie swego greckiego imienia. Wybrał je ojciec, lekkomyślny muzykus i zamiłowany filolog, może dla wartości muzycznych, a podobno i dlatego, że zaraz po urodzeniu miała małą, kształtną główkę, która zapowiadała klasyczną piękność i oczy, o których ktoś powiedział, że były to „najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek na scenie widziano”. Moja matka nazywała się także Helena, mawiała że jest to imię wróżebne, które wróży i przynosi nieszczęście.

Czy pani Helena była szczęśliwa? Jest to jej sekret. Zdaje się go odsłaniać wewnętrzna harmonia jej życia i wyjątkowa powolność losu wobec najzuchwalszych pragnień — a to jest może definicja szczęścia. Już bez wątpliwości w olbrzymiej, najwyższej możliwej mierze jej udziałem było szczęście przypadające ludziom, którzy tworzą teatr i spożywają teatr: szczęście pełniejszego, czystszeo, głębszego życia, szczęście nadistnienia, ziemiska i świecka obietnica wieczności.

Tymon TERLECKI.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY
I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Arkusze poetyckie

Znałaś Kordiana

Znałaś Kordiana? — Nie odchodź. Zostań; nie zamykaj książki
Z takim stanowczym, suchym trzaskiem,
Jakby się walił dom! Ochłoń; popraw włosy, uporządkuj wstążki.
Możesz w nie zatknąć śmiało gwiazdę. A gdy pójdiesz Laskiem
Bulońskim, tam są perty w leszczynach. Rwij je, jagody księżycy;
Każda jak marmur ziarnista, jędrna, i zachwyca.

Może wolisz powozy ciągnięone przez polne koniki
Podolem? Słodką piosenkę, dzwony czy szelest strumyka?
Otwórz książkę rumianą od zgiełku i wrzawy
Wiejskiej; gdzie także srebrny pazur klamry, co zwisa z oprawy,
Hardy. A to się nawet kłóć iskrami genewskie słowiki,
Kto lepiej, o brylantowe gardło polskiego słowika.

Marmury, śniegi, podróże i skargi;
Wygnanie i troski. Wreszcie ciasny pokój na poddaszu.
Żółta lampa, jak czaszka. — Gdzie Krzemieniec i Wilno — szep-
czą czarne wargi —
Warszawa, Drezno, Londyn? — Dlaczego mnie straszą
Te miasta? Jeszcze muszę raz w Genewie, Rzymie, Neapolu!...
Lampa pali w oczu! — Ach, wiem: Grób Chrystusa; potem z
Matką tak rozstanie boli.

Tak boli rozstanie, jak pierś, gdy nie ma tchu!

.....
Wyszła, śliczna i nadąsana, zażyć płoczej, kryształowej pogody.
Jesień rozkoszna i sucha, pachnąca od dymu liści i mchu,
Co żarzą wolno, jak diament, parki i ogrody;
Gdzie znowu ją nagle spotkałem pogodnego rana.
— Czerwone masz oczy. Płakałaś? — Na grobie Kordiana.

Przestroga

Nie warto się łudzić i podniecać upór,
 Ze po wiekach ożyją mdłe, gazetowe ciała,
 Poorane zazdrością, jak pstrą miką skała!
 Choćby się sto uwzięło gazet, choćby stu składaczy
 Dziejów dnia razem złoto otów, płomyki i dźwięki,
 Gdyby nawet na pomoc wezwali oraczy,
 Szoferów, przyzwoitki, żołnierskie panienki
 Z włosami bursztynowymi, z których złoto kapie;
 A nawet zorzę, co zabarwia okno
 Czerwonawo, jak jabłoni pączek, gdyby zgrabnie wpuszczono
 w ten papier,

Co drukują go w milach; wszystko czasy połączą
 I roztoczą na próchno, na szare szczątki, na popiół zleżały,
 Na potasowy pomnik lasów, z których te pisma powstały.

Wszystko wieki zjedzą, zimne, jak zszywacze trupów.
 Bo co jest druk? Suchy, jak spalony korek,
 Jak drwa osmolone rzeźką spalenizną.
 Jeszcze się tlą, jeszcze ciepłe, a czuć je zgnilizną.
 Oblasają, stygną, nawet gdy widziały
 Pasma powstania — różowe arkusze korekt,
 Maszyny, sprzedawców, i tzy wyciskaty.

Nerwica

Pod niebem czarnym, jak węgiel, jak kamienne bryły;
 Pod niebem, śniegiem umazanym, odpychające zimnym;
 Pod niebem bezlitosnym, w środku burzy stoje, słuchając, jak
 rynnny
 W mieście ożyty; trąbki grają. Czy płacze? Nie wiem, ledwo
 żywy.

Umrzeć można na widok rozkwitu wiosny,
 Dżdżu srebrzystego, jak rosi falami
 Za parkiem, za rzeką, za mymi plecami.
 Którymi skurez wstrząsa. Czy płacze? Nie wiem, bardzo żalony.

Obeschły wody, i oto magnolii
 Kwiat, tak różowy, jak dziecinna piąstka,
 Wyskoczył w górę; lekki jak jedwabna chrząstka
 Noska kochanki...

Płacze, i serce mnie boli.

Oda

Ażeby pióro wyjąć z chwaty, wydobyć myśl z poniżenia
 Wystarczy wstrząsnąć kałamarzem, atrament rozprysnąć na
 kryształ,

Dać mu skrzydło, ale nie to czerwone, ani to suche, białe,
 Które zbrzydło, ale jak pióropusz tęgi, okazały,
 Z tłąk i zielonych malowideł, z przepychu nędzy i znużenia.
 Pióro wytrwałe, stoczyć się na dno musisz, jak kryształ.
 Zadzwonić lekko, od niechcenia.

O, miłe, rude pończoszarki,
 Wśród których blade twarze hrabin.
 Zmywaczki garnków, płaczki, trzpiotki;
 Ziemianki, dumne pomywaczki —
 Trochę za tęgie, mądre szwaczki,
 Dziewczęta z kuchen od Lyons'a,
 O twarzach żółtkłych, jak poczwarki,
 Księżniczki; damy od toalet; fiotki pubów i stokrotki
 Teatrzyków, na które życie wciąż się dąsa,
 Zmieniając szczeble swoich drabin,
 Zrywając spod nóg rwące wrotki,
 Spychając wszystko w jamy kałuż,
 Ślizgając całym pokoleniem;
 Jakby deszczami co z chmur wała
 W miasto, co tylko jest kamieniem,
 Albo kloaką, dnem kanału.

Więc jeśli chcąc być z ludem, musisz schodzić tam,
 By widzieć bliskich, gdzie klozety marmurowe;
 Gdzie kuchnie, ścieki, gdzie kloaki, ciemność, szczyry;
 Porzuć to wstrętne, zimne miasto zjadane przez wilgoć, robaki
 i mury.

Cofnij mu pióro; otwórz powieki czyste i surowe,
 By spamiętać, jak grzęźnie, od bram do bram.

Obelga dla pisarza

— Tu za tą zorzą świeci ta jaskrawa góra.
 Tylko za zorzę pójść, tylko być cierpliwym...
 Wystarczy do niej dojść, by zostać żywym.
 Należy tylko przeżyć rok; może dwa...

— Dobrze. — Dziękuję panom. — Omal ją widzę na odległość
 pióra,
 Którym, gdy ruszę, ściagnę mgłę, opar i pienne grzywy.

Nagle zapadła się mgła,
I gdzieś się podziały wasze złote góry.
Gdzieś się zapadła z mgłą także owa wyżnieżona góra —
Śmiało ozłacana przez was brzaskiem, jak pertopław siwy —
Gdy opadły uroki i chmury.
I jedno tylko wiem na pewno, że żyć nie ma z czego zwykły
robotnik, jak ja.

Łatwo wam mówić bądź cierpliwy, czekać.
Aż się otworzą niebiosy zamczyste
Na srebrny pazur. I na klucz ochłani.
A których zamki nie są takie czyste,
Jak ci młodzi żołnierze w pismach rysowani,
Albo jak dziecka nadpalona tza;
W pismach; gdzie każde wasze słowo błyszczy albo kłamie.
Gdzie bądź cierpliwy znaczy po prostu uciekaj;
Gdzie wy jesteście jak otuchy zanik:
A żyć nie ma z czego dobry robotnik, jak ja.

Marian CZUCHNOWSKI.

Ciężar słów

Uczę się hiszpańskiej mowy,
mowy tajemniczej i dziwnej,
w której Pablo Neruda wyraża los pokrzywdzonych —
jak drobne krople piany
uderzają te słowa we mnie —
wdycham ich obcą woń razem z wiatrem stonym.

Tymczasem na morzu
które jest świetlistą kulą,
słońce marszczy swe brwi ustokrotnione w fali,
i kilka chmur, okrągłych jak groch —
wdzięczy się w sposób obtłdny
do milczącego oceanu.

W tym wdzięczeniu chmury zmieniały się w astrę,
w wysmukły kwiat jesienny, rosnący w moim kraju —
Powtarzam ciężką wargą: mi madre — moja Matko —
i płacząc ku ojczyźnie mówię: o mi pais.

za równikiem, 49 r.

Józefa RADZYMIŃSKA.

Bodaj-eś ludzkie brudy sprzątał

(DWA LISTY DO MATKI)

Londyn, 5 maja:

Kochana Mamo,

Przekleństwo Wawrzyniaka

Pamiętasz Wawrzyniaka, naszego stróża z Przyokopowej? Chodził w czarnej kapocie do kolan i filcowych butach, przygarbiony; nóg nigdy nie prostował w kolanach aż dopiero w trumnie. Wawrzyniak mnie przeklął: "Bodaj-eś ludzkie g.... sprzątał". Tyś stanęła wtedy po stronie Wawrzyniaka przeciw mnie. Śmiałem się z jego przekleństwa, jak z najlepszego kalendarzowego kawału. Powiedziałaś ze smutkiem w oczach, że los lubi być mściwy i Bóg może mnie skarać za te łobuzerskie figle.

Jestem obecnie Wawrzyniakiem londyńskiego pokroju. Po tujejszemu nazywam się "housekeeper" — pan dozorca, czyli "cieć" albo "strupel", jak zwykła mawiać nasza Przyokopowa. Mieszkam w "piwnicznej izbie", jak pisała kliwa Konopnicka. Słońce mnie tu nigdy nie widuje — nie ma którejdy; okno wychodzi na studnię podwóreczka, ocembrowanego ścianami frontu i oficyn. Stoświecowa osramówka nienajgorzej wywiązuje się z roli słońca. Tyle tylko, że nie wschodzi i nie zachodzi, co ma jednak swoje dobre strony, ponieważ równa mi dzień z nocą. Ja zresztą mało doświadczam z dobrodziejstw tego zrównania — jak w prawdziwej demokracji ludowej — bo wstaję o 7-ej rano i buszuję po wszystkich szesnastu pokojach lokatorskich, a do własnego wracam o zmierzchu na niewłasnych nogach, które gną mi się w kolanach jak nogi Wawrzyniaka. Światło mało mnie obchodzi. Natomiast Regina, która w przerwach między przyjmowaniem telefonów do naszych lokatorów, szyje, — skarży się na ból oczu. Wiecznie niezadowolony, element wywrotowy.

A ja się nie skarżę. Wydaje mi się, że to jest wymarzona praca dla pisarza. Widzę ludzi od najitymniejszej strony ich bytu — mieszkania. Błądzą po całym domu królem duchem. W każdym pokoju panuje inny zaduch. Rozumiem już teraz świetnie

duszę psa. Wprowadzony do każdego ze swoich szesnastu mieszkań z zawiązanymi oczyma, mógłbym nieomylnie orzec, w czym jestem pokoju. Każdy pokój ma właściwie kilka zapachów, ale zawsze jeden najmocniejszy dominuje nad innymi i tworzy to, co się nazywa "atmosferę domową".

Jak powstaje nienawiść klasowa

Teraz dopiero, kiedy przestałem być wyznawcą Marksa, zaczynam rozumieć, co to znaczy nienawiść klasowa. Do klasy wrogiej należą lokatorzy. Nienawiść tworzy się na gruncie przeciwności interesów. Ja bym chciał, aby lokator jak najczęściej utrzymywał pokój, korytarz i łazienkę, a lokator przeciwnie — jak najbrudniej, bo czystość — to wysiłek; ja bym chciał, aby do lokatora było jak najmniej telefonów i gości z miasta, a lokator przeciwnie — jak najwięcej, bo to dla niego rozgrywka, a dla mnie urwanie głowy.

Nienawiść klasowa stwarza konieczność walki klasowej. Walka ta pełna jest podstępów, zasadzek, wypadów i kontrwypadów. Leniwa i ociężała, mimo wiotkości kibici, p. Pietuchin, ciągnąca pięknym kresowym akcentem, udaje, że zepsuł się dzwonek w jej pokoju i wywiesza kartkę nad swoim nazwiskiem u drzwi wejściowych: "Dzwonić do hałskipera". Sprawdzam dzwonek. Działa, ale pani Pietuchin leży w łóżku i prosi mnie, abym za nią otwierał, bo ona jest ogromnie zmęczona, właśnie wróciła z pracy, a przecież nieprzywykła do pracy fizycznej, więc ogromnie trudno znosi tę "katorgę". "Ja też" — mówię z całym spokojem, do jakiego obowiązany jest "hałskiper". "Ale pan jest mężczyzną" — odpowiada z uśmiechem. "Jak najprawdopodobniej, proszę pani, ale należę do domu, nie do pani. Cała przykrość po mojej stronie".

Czerwony pluszowy dywan, w który w tej chwili wbijam oczy, przeistacza się w kałużę krwi. Przykwaśny, lawendowy zapach mało wietrzonego pokoju traci swoją fizyczną dotykliwość i sublimuje się w oszałamiającą atmosferę nienawiści.

Pani Pietuchin z nieodłącznym uśmiechem zaczyna nagle o czym innym, że łazienka była dziś tak okropnie "zaniedbana", że będzie musiała o tym pomówić z gospodarzem. "Lepiej byłoby zadbać o łazienkę" — powiadam nieswoim głosem. Nie znoszę szantażu jako broni, ale czuję że tej uśmiechniętej jędrzy nie będę mógł zwyciężyć w walce klas inaczej niż jej własną bronią i dodaję po chwili, podnosząc groźnie sztylety oczu znad czerwonego dywanu na jej liliowy szlafrok: "W takim stanie zostawili łazienkę pani goście. Mam wrażenie, że ja też będę musiał pomówić o tym z gospodarzem". Na twarzy pani Pietuchin zamiera wieczny uśmiech, a róż na policzkach ożywia się prawdziwą krwią. Wychodzę, trzaskając drzwiami.

Z przerażeniem spostrzegam nagle, że nienawiść klasowa przeistacza mnie w kłótniwego, małostkowego ciecica. "Filozofie, filozofie — mówię do siebie, schodząc po kremowych scho-

dach zasłanych zielonym dywanem — błyskawicznie zamienisz się w kretyna. Gdyby tak łatwo było przekształcić się w mędrca wśród mędrców, jak w głupca wśród idiotów. Idiotów? Pani Pietuchin jest zwykłym wrogiem klasowym, którego instynkt samozachowawczy popycha do wykorzystania twojej a zaoszczędzenia swojej pracy. Nałóg wyzysku pracy jest tak samo zakorzeniony jak nałóg gry w karty. Więcej wyrozumiałości, pisarzu".

Narowy klasowe bardzo podobne do nałogu pani Pietuchin mają dwaj młodzi Hindusi, o twarzach cygańskich, a ruchach leniwych i przewlekłych jak u kobiet. Nababine synki. Ich pokój, przegrzany gazem i elektrycznością pachnie zwrotnikiem i bekonem. O wszystko się ze mną kłóca i na wszystko skarżą gospodarzowi. Woda za zimna, koców w łóżku za mało, mleko dostają za późno, niezbyt dokładnie powtarzam zlecenia, otrzymywane przez telefon w czasie ich nieobecności. Sam byłem kiedyś taki i dziesiątki takich drani miałem za przyjaciół w swych studenckich czasach.

Pani Nheed.

Zupełnym przeciwieństwem tych nababich szczeniąt i jędzowatej pani Pietuchin jest małomówna, dziewczęco wąska w biodrach, czarnowłosa Hinduska, żona doktora Nheed. Przed pierwszych kilka dni, kiedy bardzo niezręcznie szła mi ta służba, udawała, że mnie nie dostrzega w swym pokoju. Jej taktowna obecna nieobecność bardzo mi pomagała. Raz szarpałem ostro ścierką od kurzu jej fotografię na komodzie, — ramka się rozsypała. Nawet nie drgnęła. Zacząłem składać ramkę drżącymi z gniewu na własną toporność, palcami; wkrótce złożyłem jak łamigłówkę. Gdyby zerwała się ze swego miejsca i, w najlepszej nawet intencji powiedziała: "Ja to zrobię sama" — przykre poczucie własnego niedołęstwa pozostałoby niezrównoważone. Na tym polega prawdziwy takt, który jest zupełnym przeciwieństwem taniej, poniżającej "serdeczności".

Któregoś wieczoru pani Nheed zeszła do mej piwnicznej izby i cichym, prawie nieśmiałym, głosem powiedziała, że zapchał się jej zlew, czy bym nie mógł pożyczyć jej narzędzi do przetkania. Powiedziałem, że sam to zrobię. Zaprotestowała, bo wie, że nie jestem obowiązany do prywatnych posług dla niej, tym bardziej teraz w godzinach wypoczynku. Zatkanie było dość skomplikowane, musiałem odkręcać śrubę w kolanku. Dała mi dwa szylingi, wyjaśniając, że nie traktuje tego jako "tip", ale jako wynagrodzenie za pracę, spowodowaną z jej winy. Angielska szkoła, a my mamy rosyjską i pruską.

Podjeżdżam, że wąskobiodra pani Nheed jest nieszczęśliwa. Mówi o tym jej pokój, nieprzyjemnie pachnący rybą, założony książkami lekarskimi i naukowymi czasopismami. Codziennie rano znajdują przy łóżku doktora Nheeda na nocnej szafce stos zadrukowanej bibuły naukowej. Brak kwiatów. Łóżka mó-

wią najwięcej. Za każdym razem jak gdyby mi się skarżyły: "Patrz, oni znowu tylko spali". Po ilości koców łatwo dojść, że im w łózkach było zimno. Doktor wychodzi rano do szpitala. Około południa zjawia się młody elegant. Czarnowłosa, śniada pani Nheed, która przy mężu wygląda na smutną jedzę, odkwita, jaśniej, spływa cała szczęśliwym półuśmiechem. Jednak o zdradzie w kanonicznym sensie tego słowa nie ma mowy — przynajmniej dotychczas. Młodzieniec siaduje u jej stóp i czyta coś — najprawdopodobniej wiersze — w ich tamtobyliczym języku, który ma być podobno matką wszystkich języków europejskich. Ona "drutuje", a długa jej i gładka szyja kieruje wpółotwarte usta w stronę wierszy. Wiadomo, czym to się skończy za rok, może za pół. Banalna historia, z której morał wynika nieśmiertelny: kwiat szuka słońca, a kobieta wyciąga szyję do poezji.

Niekiedy słońce pani Nheed nie przychodzi. Ale za to telefonuje i wibrującym z tęsknoty głosem prosi "missys Nheed". Pani Nheed podbiega z twarzą, z której z nagłą znikają wszystkie cienie, odwraca się do całego świata ledwie zarysowanymi pod błękitnym szlafrokiem wypukłościami swych dziewczęcych ud i turkoce, przemieniona przez dobrego boga poezji w błękitną synogarlicę. A ja wiem, że co najmniej na godzinę będę miał spokój z telefonami.

Każdy zdradzi cię telefon.

Telefony i "telefoniarze" to jedna z największych plag mego nowego urzędu. Rekord idiotyzmu w rozmowach telefonicznych biją Polacy. Rzekłbyś — dziki naród dorwał się do wynalazku XIX wieku i instrumentu, który służy do porozumiewania się w tzw. "telegraficznym stylu" używa do wywołania nieporozumień stylem jak najbardziej rozciąglonym. Głędziarstwo Polaków o niczym jest przerażające.

— Proszę poprosić panią Pietuchin, mam bardzo pilną sprawę — słyszę przewlekły przyśpiew galicyjski.

Proszę. Ale pani Pietuchin jest w łóżku i wychodzi po dłuższej dopiero chwili.

— Ale ten twój "hałskiper" — śpiewa tamta strona drutu — też jemu się chodzić nie chce po ciebie. A ja mam pilną sprawę. Pewnie jakiś hrabia?

— Nie, podobno literat. Bardzo nieuprzejmy i leniwy.

— Taki z niego pewnie był literat jak i hałskiper. A co jutro robisz na kolację?

— Jeszcze nie wiem.

— Bo ja zakupkę-galopkę na bekonie i długie makaron z tomatem na drugie. A co słyhać koło ciebie?

— Ano nic, chodzę po staremu. A u ciebie?

— Ano tak po staremu. A co jeszcze u ciebie?

— Nic tak specjalnie.

— A jak się czujesz?

— Tak sobie. A ty?

Patrz, Mniszkówna na nas z nieba.

— Czy mogę poprosić pana Szczygielskiego? — pyta słodki blond głosik.

Pan Szczygielski, malarz artysta, kroczy zwykle do telefonu z wielką godnością, a godność jest powolna. Tymczasem ktoś inny podniósł słuchawkę.

— Czy to ty, Bibuś? — pyta blond głosik.

— Jaki tam Bibuś znowu? — słyszę męski organ i śmiech. Chwila ciszy. Potem:

— Szczygielski, słucham.

— Ten wasz "hałskiper" jest pewnie głupi albo głuchy — skarży się zgorzkniały głosik. — Kazałam prosić ciebie, a on zawołał kogoś obcego.

— On od niedawna u nas służy — broni mnie pan Szczygielski lojalnie, ale bez wielkiego przekonania.

— Mąż wyjechał właśnie... Czy mogę przyjść do ciebie umyć włosy?

Chciałoby się wyróżnić w tubkę i krzyknąć wielkim głosem, naśladując styl klasyka: "Ach-że ty flondro za niemyty kołtun od Picadilly do Earls Courtu szarpana".

Nazajutrz rano słyszę w telefonie jej podniecony głos, wzywający pana Szczygielskiego nieomal jak do pożaru.

— Wiesz, Bibuś, jak wracałam od ciebie, o mały włos pod samochód nie wpadłam.

— Taaak? — ziewa pan Szczygielski. — I co, nie wpadłaś?

"Niestety — myślę sobie do tubki — kretynki mają szczęście".

— A tybyś chciał, żebym wpadła? Tacy są mężczyźni. Żegnaj. Przez kilka dni nie dzwoniła. Ale jak długo kobieta może chodzić z niemytymi włosami? I znowu:

— Bibuś długo się będzie gniewał na swój Malutek? Bo właśnie mąż wyjechał, a ja kupiłam główkę kapusty ("trzeba było zdjąć z tamtego gąba" — myślę) i dwie racje wołowiny... na bigos, dwa funty pomidorów, dwa funty jabłek i... i — niech Bibuś zgadnie — całą butelkę ginu. Czy mogę przyjść wymyć włosy? — Po mojej stronie drutu powstała cisza tak wzniosła, że słyszę, jak malarz łyka ślinę. "Idiotka — myślę sobie — bo idiotka, ale swój spryt ma, wie, — w czym najlepiej myje się włosy".

Zapomniane słowo.

Gorszysz się pewnie, Kochana Mamo, że podsłuchuję ludzką gadaninę. Zawsze mówiła, że to wstrętny zwyczaj. Może. Podsłuchuję jednak z całym cynizmem, a nie jest to, niestety, jedyny Twój zakaz, który przestępuję, i który będę przekraczał na-

dal. Niech się strzegą pleciugi, marnujący cenny w Anglii prąd elektryczny. Marzy mi się, abym jak ten pisarski Harun Al-Raszid, albo minister Składkowski, chodził między ludźmi, chwycił ich słowa i uczynki i pozywał przed sąd opinii.

Trzeba jednak pisać takie książki, które by zmuszały ludzi do czytania. Z czytaniem jest u nas tragicznie. Przenikam do polskich mieszkań od suteryn do facjaty i nie widzę w nich książek czytanych. Robotników można tłumaczyć zmęczeniem. Teraz jestem skłonny rozumieć ciemnotę klas ciężko pracujących — sam nie mam sił nieraz sięgnąć po książkę przez cały wieczór. Ale inteligencja? Owszem, można spotkać książki w mieszkaniach inteligentów, trzymane z natęgu snobistycznego, ale są to książki, przekształcone w martwe ozdóbki, bibeloty, skrywające nagość stolików, kominków i — dusz. Pani Pietuchin na przykład ustawiła skośnie — żeby więcej miejsca zakrywały — kilku Mickiewiczów, Fredrów, Słowackich, Sienkiewiczów obok Mniskówny — w charakterze gipsów. Nigdy do nich nie zagląda, bo zawsze widzę ich ukos pod tym samym kątem. O nowych książkach, których przecież kilka bardzo dobrych wyszło na emigracji mowy nie ma. Kupują je tylko biblioteki. Próbowaliśmy rozmawiać o nich w polskich pokojach. Z dziesięciu polskich — na ogólną ilość szesnastu — mieszkań, tylko w dwu wiedzieliśmy, że takie książki wyszły. A przecież jesteśmy emigracją polityczną. Przecież ludziom nie powodzi się tak bardzo źle. O ile gorzej było, gdy nas wypuścili z łagrów — a każdy, najprostszy nawet człowiek, rwał się do książki, jak do chleba. Może przyczyna leży w tym, że staliśmy się typowym ghettem, które odepchnięte od stanowisk i zaszczytów, czynnej polityki kraju, w którym żyje, postanowiło zaspokoić swój kompleks znaczenia przez zdobycie bogactwa. W każdej niemal twarzy dostrzegam ten chytry i pożądliwy wyraz na widok pieniądza, na wzmiankę o pieniądzu, jaki widywało się w twarzach naszych Żydów. Bogacić się — to znaczy skąpić na wszystko, co nie jest związane z procesem bogacenia. Wydatki na kulturę zostają uznane przez każde ghetto jako zbędne obciążenie w marszu do pieniądza. Proces tworzenia dóbr kultury jest bardzo skomplikowany, bynajmniej nie pozostaje w stosunku prostym do bogactwa. Wielką kulturę i sztukę tworzy albo wielkie nieszczęście albo wielkie bogactwo. Każde średniactwo zabija sztukę. Ciułacz jest wrogiem kultury numer jeden. Sklepiarz czytuje tylko te książki, które sam pisze — handlowe.

W czasie wojny błądziłem po pustych mieszkaniach dopiero co zdobytych miast. Pachniało prochem i trupem. Mieszkania były ogołocone z najdrobniejszego fatałasza, nawet meble porwali za sobą uciekający ludzie. Pozostawały tylko, z reguły, szafy biblioteczne z książkami, jako żywi i wymowni świadkowie kultury. Na straży mieszkań, z których uciekli ludzie, pozostawało słowo. Ile symboliki marzyło mi się w tym fakcie, jaką wielką przyszłość rollem sobie dla słowa polskiego i polskiej książki po wojnie. I ot przyszłość! Ot symbolika! Bzdura, nie

symbolika. Ludzie pozostawiali to, co stanowiło zawadę i zbędny bagaż w walce o nędzne życie. Tak jest i teraz z naszą "emigracją polityczną". Książka im zawadza, bo odciąga uwagę od małych zagadnień groszობstwa i przypomina po co tu zostali. A oni chcą zapomnieć.

Walka z brudem

Nie mając szans na to, aby stać się talmudystą — strażnikiem Słowa — zostałem stróżem domu. Popadłem w namiętność walki z brudem. Przejąłem dom fatalnie zaniedbany. Wytworzyłem w sobie śmieszna ambicję wygnania brudu z jego ścian. Niszczę go z pasją niemniejszą niż Stalina — oby tylko z lepszym skutkiem. Z furją rzucam się na kurze i pyły. Mam duszę żołnierza — muszę walczyć wszędzie, gdzie jestem. Wydłubuję pył z żelaznych balasków balustrady na klatce schodowej, z rogów i kątów, z filongów, szparek, szpar i zagłębień. Ale brud, jak każdy wróg, jest nieśmiertelny. Najstaranniej odkrobane z błota kanciki i listwy pokrywają się kurzem od nowa.

Brud ma przeciw mnie sprzymierzeńców w ludziach. Pojęcie "porządny człowiek" nabrało dla mnie swego dośłownego sensu; oznacza takiego lokatora, który, mimo swej zasadniczej wady, że mieszka, posiada jedną zaletę, że utrzymuje swój pokój w porządku.

Na facjacie mieszkania szczupłe, blade kobieciątko. Tancerka w jakichś podrzędnych kabarecinach. Tutaj zawód tancerki nie jest równorzędny z zawodem "kobietki z teatru varieté", dlatego moja lokatorka klepie dużą biedę razem z zakochanym w niej mężem. Oboje są nieszczęśliwi przez jej nieuleczalną skłonność do brudu. Całe piętro, korzystające ze wspólnej łazienki, zlewu i ubikacji, prowadzi zaciętą walkę z tą parą. Tropią każdy ich krok, wylapują ślady brudu na ich drodze z pokoju do wanny, węszą za każdą tłustą plamą, za każdą kałużą rozlaną w korytarzu i na schodach. Stawiają gospodarzowi ultimatum — my albo oni. Szczególnie zaciekle jest pewien młody pedant — niewiarygodny pedant jak na takie prawie dziecko — student architektury, wychowanek wojennych obozów junaków, gdzie brud i nieporządki były karane raportami i aresztami. Pewnego wieczoru wpada do mnie rozgorączkowany, jaka się ze wzruszenia:

— Ta-ta-ta-tancerka, co ona ro-bi w wannie...

Idę na górę, gdzie już całe czwarte piętro, zebrane pod drzwiami łazienki czeka właśnie na mnie, przedstawiciela władzy domowej. Proszę, żeby otworzyła drzwi. Otwiera z uśmiechem. Wewnątrz białej wanny — smoliste rondle. Dno wanny — pokryte brudną warstwą świecącego tłuszczu. Wrzeszczą, każą jej to natychmiast zmyć. Patrzy na nas przygaszonymi paciorkami Colombiny. — Wszystkie tropione istoty mają taki sam przygaszony wzrok i taką samą postawę: unoszą ręce dla osłony głowy wciągniętej w ramiona. Frunęła płochliwie, szepcząc

"I am so sorry". Wraca z pudełkiem sody. Potknęła się jak we śnie filmu chaplinowskiego. Rozsypuje białe gruzełki i nieszczęście dopiero się zaczyna. Stopy rozdeptują skrzypiące jak lód kryształki sody. Teraz to się rozniesie po całym domu. Każę się rozejść prześladowcom i pouczam Colombine jak mogę najłagodniej o niewłaściwości mycia rondli w wannie, która służy przecież do mycia brudów ludzkich.

— Gdyby tak można wymyć brud serca — mówi niespodziewanie.

Rozmazuje tłuszcz, który zalegał dno wanny, po ścianach. Wzdycham i myję za nią.

Jej pokój pachnie śmietnikiem, po kątach zalegają resztki i odpadki sprzed tygodni, dywan wzbogacił swój fabryczny deseń niespodziankami z plam tłuszczu i rozdeptanych jarzyn. Ale żal mi jej. Wiem, że chciałaby jak najlepiej, ale nie umie. Antytalent. Ważne są intencje ludzkie. Cóż mi z tego, że pani Pietuchin utrzymuje swój pokój jak okno wystawowe, skoro motywem wszystkich jej działań jest zoologiczny, leniwy egoizm.

Od brudasów nieszczęśliwych, klinicznych, ale jawnych, gorsze są brudaszy złośliwe, ale skryte. Tacy, którzy zaleją łazienkę, zatopią ubikację, zniszczą zielony dywan na kremowych schodach i nie dadzą się przy tym złapać. "Nie sztuka naflejtuszyć w mieszkaniu" — myśli sobie, zapewne, taki łobuz — "żeby hałskiper zobaczył i zwymyślał; sztuka być niechlujem nieuchwytnym". Podejrzewam nawet, że wyżywają na mnie swój sadyzm, kiedy skarżą mi się, że tam i tam płynię kahuża pomyj, — sam drań rozlał i chce widzieć, jak się będę męczył nadprogramową robotą. W Rosji mówili żuliki, że największe szczęście to "smotrit' kak drugij rabotajet".

Chuć, Einstein, Kościółek i Swedenborg.

Pan Motycki, żyłasty chudy siłacz z niebieskimi oczami ma skaranie boskie z "his lady". Jest to historia bardzo tutejsza, tak naruszająca nasz "kontynentalny" nałóg moralny, że muszę Ci ją szczegółowo opowiedzieć.

Pewnego wieczoru — dzwonek. Otwieram. W mlecznym rozproszonym świetle słabej lampy korytarzowej — sylwetka kobieca. Twarz niestarczannie podmalowana, wargi nierówno uczerwione i uśmiechnięte tym typowo angielskim sztucznym uśmiechem, w obu rękach — koszyki i paczki. Powiada, że przychodzi do pana Motyckiego, a jeśli go nie ma, to zaczeka. Patrzę znacząco na zegarek — godzina blisko jedenasta. To jej nie peszy. Powiada, że jest "his lady" i taszczy swój ciężkawy tułów po schodach w górę.

Następnego rana, gdy myję czerwono brukowany ganeczek, widzę schodzi z tych samych schodów i pozdrawia mnie tymi samymi sztucznymi zębami w sztucznym uśmiechu.

W kilka dni potem pan Motycki zachorował. "His lady" chu-

chała na niego już od południa. Pod wieczór — dzwonek. Wsuwa się najpierw pękaty siatkowy piterek, przez oka siatki przeświecają promyki pomarańcz, a jabłka pożółkłymi twarzami, przylegają do brudno-szarych krat siatki; druga ręka podaje mi rondel, parujący zapachem rosołu (pamiętasz ten każdoniedzielny zapach naszej kuchni?). Nad tym rumiana, dobrodusza, doszczętnie wygolona twarz, zlewająca się z absolutnie łąsą czaszką. Patrzą na mnie oczy nieomal dziecięce. Prosi, abym zaniósł to panu Motyckiemu, który jest chory. Jego żona kazała mu to ugotować i przynieść, ale zakazała wchodzić do pokoju pana Motyckiego, bo to by go mogło krępować.

Automatycznie przejąłem siatkę z owocami i rondel z rosolem. Nie, nie przesłyszałem się, — powiedział: "moja żona" i — siatka ma ten sam brudnoszary odcień. Więc "his lady" . . . Znowu wyszła następnego dnia i niebale umalowanymi wargami przesłała mi swój przywiedły uśmiech. Rozumiesz jakie zagadnienie dla mojej pasji psychologicznej?

Pan Motycki pracuje w przedsiębiorstwie tej herod baby, która trzyma mocno za łeb całe przedsiębiorstwo razem z mężem i panem Motyckim. Pan Motycki chodzi w podwójnym jarzmie — seksualnym i klasowym. "His lady" zwyczajem feudalnym kupiła sobie prawo do, nie pierwszej co prawda, ale za to niejednej, jego nocy. Mąż się cieszy, bo ma spokój i swobodę działania na innej znowu niwie. Ale żeby garnki z rosolem tragać dla wzmocnienia osłabłego pana Motyckiego? Czy to nie jest już lekka przesada w swobodzie obyczaju? Nie uogólniaj jednak tego wypadku na wszystkich Anglików; jest on, co prawda, dość powszechny, ale i w tym narodzie zdarzają się mordy na tle zazdrości.

Co prawda nie w naszym jeszcze domu — a szkoda. Gdyby tak panią Pietuchin, który z jej dwu narzeczonych... Wiem — z telefonu — że zawsze jednym narzeczonym doprowadza do pasji innego. Każdy jej tłumaczy, że tylko on jeden może tworzyć z nią przykładową parę, a ona z wdziękiem kotki w butach odpowiada każdemu niezmiennie: "ale pan X jest tak dobrze ułożony". Sytuacja niemal z Brantoma albo Boccacia, bo wiem, że właśnie pan X jest w tej chwili w jej pokoju. Na czym też pan X jest tam ułożony?

Wszędzie libido. Gdyby mógł Ci powtórzyć — ta pruderia pisma — co mawiał mój kolega wojskowy, współzdobywca Monte Cassino, Kazio Kościółek, którego znasz z listów poprzednich, na czym to świat stoi i czym jest podparty. Ostatnio Einstein — po Kościółku — ogłosił, że zjawiska grawitacji i objawy magnetyzmu jednym się rządzą prawem. Kazio wniósłby do tego swoją skromną kropkę nad i — prawem przyciągania płci. Zresztą to już Przybyszewski powiedział: "na początku była chuć". Trudno być odkrywcą w tym strasznym XX wieku, jeśli nawet Einstein zżyna z Kazia, a Kazio od Przybyszewskiego.

Na podstawie tego prawa żyje i działa mój lokator z parteru, arystokrata rosyjski o nazwisku historycznym, które spo-

tyka się w jednej z naszych pieśni narodowych, napisanej przez jednego z naszych wielkich wieszczów emigracji (wielkiej, oczywiście, emigracji, wielcy powstają tylko w wielkich środowiskach). Codziennie niemal wieczorem arystokracik zbiega elastycznym kroczkiem do mojej piwnicznej izby i z szelmowskim uśmiechem żulika — ich narodowy styl — mówi, że jeśli dzwonić będzie “żenszczyzna”, to on jest, jeśli “mużczyzna” — jego “niet”. Jego pradziad zadusił cara, jego ojca zarżnęli bolszewicy, całe szczęście dla angielskich “żenszczyzn”, że on się uchował. Rano sprzątam ze stolika w pokoju towarzysza barona dwie niedopite filiżanki z czarną kawą. Łóżko ściele jego excelencja sam.

Na drugim piętrze mieszka dwu Murzynów w jednym pokoju. Zachowują się jak Paweł i Gaweł. Jeden porządny, drugi niechuj — pokój traktuje jak gałąź ojczystego baobabu. Jeden spokojny, nie wadzi nikomu, drugi upija się w każdą sobotę i systematycznie dzwoni z knajpy do gospodarza, żeby mu pożyczycy funta, bo jest jeszcze spragniony, a nie ma już pieniędzy. Jedziemy wtedy obaj z gospodarzem, panem Ezechielem, ratować zbłąkaną czarną duszę z otchłani głównego grzechu pijaństwa. Ten porządny i nie-pijak jest za to zawołany dziwnak. Ma przy tym dowcip, tak niezbędny dla uwodzicieli. Dzwoni jakaś pindulka i zwierza się, że “zimno dzisiaj, nieprawdaż”. Na co Murzyn: “myślę, że będę mógł ci pomóc, nie sądzisz?” Murzyni są jedynymi lokatorami, w których pokoju widuje klasyków nie tylko w charakterze “gipsów” i bibelotów, “upiększających” tzw. “mantelpiece”, ale w charakterze prawdziwych ksiązek do czytania, ksiązek wypożyczanych z biblioteki. Pijak — student filozofii — przekrzykując warkot mojego odkurzacza, zapytał, dlaczego zmieniłem taki piękny zawód pisarza, o którym on marzy, na profesję stróża. Pierwszy i jedyny dotychczas lokator, który zainteresował się tym zagadnieniem (o moim byłym zawodzie dowiedział się od gospodarza, p. Ezechiela). Czy miałem mu mówić, że nasza emigracja polityczna ma nieco inny stosunek do ksiązek, niż oni, których, nie tak odlegli może nawet, przodkowie skakali po drzewach i mlekiem kokosowym zapijali mdły smak ludzkiego mięsa? Powiedziałem mu, że chcę napisać książkę o życiu stróża. Zapalił się do tego pomysłu. On też musi zacząć zawód pisarza od czegoś podobnego. Poradziłem, aby zaczął jak London — od włóczgi. Spojrzałem na tytuł książki, którą trzymał w rękach — “Heaven and its Wonders and Hell: From Things Heard and Seen. By Emmanuel Swedenborg”.

Pan Ezechiel i Hopka.

Na zakończenie muszę Ci powiedzieć o swoim panu Ezechiele. Bardzo mi się udał. Wbrew zajadłej teorii Marksa, nie czuję do niego nienawiści klasowej, mimo że jest moim teoretycznym “krwiopijcą”. W czasie wojny był lotnikiem. Uczciwie wylatał

sobie ten dom. Za zmiążdżone setki gniazd hitlerowskich należy mu się chyba ten jeden nieduży — pięciopiętrowy 1/2 sułtyną i facjata — domek w Londynie. Zgodnie ze swym biblijnym nazwiskiem jest wyjątkowo pobożny. Dla lokatorów ma cierpliwość na pewno większą niż prorok Ezechiel dla biblijnych Żydów.

Mój pan nie jest chciwy na pieniądze, ale jak każdy człowiek — ma swoją słabą stronę, swój kompleksik — pragnienie szacunku ludzkiego i związaną z tym podejrzliwość, że otoczenie chce go okraść z tego szacunku. Jeśli lokator nie zapłaci mu w terminie komornego, mówi do mnie z błyskiem gniewu w pogodnych zwykłe, jasnych oczach, otoczonych siatką dobrodusznym zmarszczek: “Widzisz pan, jak on mnie lekceważy? Ja im wszystko — lustro do pokoju, obrazek na ścianę, nowe kapy na łóżko, a oni mają mnie gdzieś... Żeby chociaż przyszedł i poprosił, okazał to zrozumienie, ten szacunek”. Skąpiec by w takim wypadku dał włosy z głowy i mówił: “Moje pieniądze! Chcą mnie okraść z moich pieniędzy”. A zimny drań nic by nie powiedział tylko walizki wystawił na korytarz. Tak właśnie postępuje pani — lepsza pani — jednego z moich kolegów stróżów, pułkownika Z... Dzięki tej zdecydowanej linii działania, ma już trzy domy, a mój pan będzie musiał, zdaje się, ten, który ma, sprzedać na zapłacenie podatków.

Pan Ezechiel ma jeszcze drugi słaby punkt — Hopka, prze-mądrego pieska o lśniącej kasztanowo-żółtej sierści i długich klapouchach. O jego miłość zazdrosny jest nie mniej, niż o szacunek ludzki. Poprzedni stróż wyleciał i za to również, że intrygował między panem a Hopkiem. Podkarmił pieska wtedy właśnie, kiedy pan chciał mu dawać obiad. Pies przywiązał się do intryganta, jak komunista do Stalina, wykazując przy tym tę przewagę nad komunistą, że był syty. Szybko wyczułem słabą stronę pana i naprawiłem stosunki między nim a Hopkiem, nie karmiąc go i nie okazując mu pozornie zainteresowania. W rzeczywistości jednak ten pies interesuje mnie nie mniej niż wszyscy domowi ludzie. To nie jest pies, — to człowiek, przebrany w żółtą jedwabistą skórę. Rozumie nie tylko to, co się do niego mówi, ale i to, co się mówi o nim. Kiedyś wyrwał się bez pozwolenia na miasto. Znalazła go pani Pietuchin. Przyprowadziła z triumfem i opowiada, że nieomal z narażeniem życia wywiodła go z chaosu jezdni, gdzie fikał koziołki przed pędzącymi samochodami. Hopka słuchał, z niepokojem śledził twarz pana i coraz trącał nieznacznie panią Pietuchin w łydkę swą podpalaną łapką, jakby mówił: “nie skarż, jęzdo, bo mnie już nigdy nie puści na ulicę”. Teoria, że psy nie mają duszy, głęboko zakorzeniona od czasów średniowiecza, zrobiła tyle krzywdy naszym młodszym braciom, czworonogom, ile szkód nauce, przede wszystkim psychologii. Zwierzęta mają w zarodku te wszystkie skłonności umysłowe i uczuciowe, które w nas są w stanie rozwiniętym. Różnica stopnia. Są i wśród psów —

skąpcy, zazdrośnicy, oszuści tak samo jak są hulaki, wielkoduszni i łatwowierni.

Im bliżej poznaję Hopka, tym mniej dziwię się ludziom.

Twój tęskniący syn.

Londyn, 30 maja 1950.

Kochano Mamo,

Jak zostałem stróżem.

Czy praca moja jest bardzo ciężka, tak ciężka jak tragarza Johna? Nie, nawet w połowie nie. Zauważyłaś, że "Tragarz John" był pisany w tonacji minorowej, a mój ostatni list do Ciebie można by nazwać humoreską. Wściekłą humoreską. Co prawda utrzymać w czystości pięć pięter, odpowiadać na telefony, dawać koks i baczenie piecowi, roznieść mleko itp. — to nie jest zabawa taka, jak pisanie na maszynie, ale to również nie to, co przenoszenie dziennie co najmniej pięciu ton na własnych plecach, kuchennymi schodami.

Jak do tego doszło, że zostałem stróżem? Czy nie ma już "lepszey pracy" w Londynie?

Jest, ale nie dla mnie. Społeczeństwo miejscowe jak najmniej wrzusa się losem emigracyjnych pisarzy, aktorów, reżyserów, malarzy, publicystów, redaktorów, wydawców. "Lepsze prace" przeznacza się dla polityków i urzędników. Uważam to za zupełnie słuszne. My mamy talent — jeśli mamy — który prędzej czy później przyda się narodowi, a co by biedne pierdzistołki zrobiły, gdyby społeczeństwo nie podało im tej pomocnej dłoni? Oni mogą służyć Ojczyźnie jedynie tym, na czym siedzą, więc trzeba ich usadzić, ich przede wszystkim. Poza tym, jeśli idzie o mnie, to mam sytuację wyjątkowo utrudnioną obciążeniem przeszłości. Pokutuję dalej z uśmiechem na ustach i nienawiścią w duszy.

Moja obecna posada ma całą historię.

Od dawna już namawiali mnie na to przyjaciele. Szczególnie żarliwie ekspediował mnie na tę posadę Wendel (znasz go sprzed wojny — ten komik z nieodłączonym kamratem Konikiem). "Robota "haiskipera" — trajkoce szybkostrzelnym jęzorem — polega na tym, że wchodzisz rano do pokoju i wyjmujesz wtyczkę od radia z kontaktu; czasem zrujnujesz łóżko. Poza tym masz cały dzień wolny na walkę ze Stalinem i z żoną".

Zacząłem więc szukać pracodawcy.

Łańcuch protekcjonizmu skierował mnie do pewnego dentystry, który szukał stróża. Dentysta się ucieszył, bo, powiada: "ja mam takie ciekawe przeżycia, to pan zrobi ze mnie powieść". Ale dentysta oprócz ciekawych przeżyć miał współnika, który odgrywa wielką rolę w pewnej najmłodszej partii politycznej emigracji. Wspólnik postawił veto. "Z tymi byłymi komunistami — miał powiedzieć — nigdy nie wiadomo, czy

czwarta międzynarodówka czy piąta kolumna". Dobry dowcip, ale ściągnięty z miejscowej gazetki.

Później miał mnie wziąć drugi dentysta — kolega szkolny — ale jemu żona nie pozwoliła, bo powiada "nie uda ci się operacja, albo pacjent ci będzie grymasił, to on cię obszczeka po gazetach".

Trzecia niedoszła pracodawczyni powiedziała, że inteligenta nie weźmie do tej roboty, bo jest za głupi, czyli za dobry. "Tu trzeba umieć pomiatać lokatorem — powiada — trzeba umieć wystawić mu rzeczy na korytarz, jak nie płaci; proletariusz to potrafi, a inteligent, a zwłaszcza pisarz, będzie hamletyzował — bić czy nie bić". Jest to znana tutaj działaczka społeczna, była marksistka, pracująca dziś na niwie filantropii w pewnym towarzystwie (Pomocy Niezamożnym Polakom, czy coś takiego), którego wszyscy urzędnicy, od maszynistki poczynając, mają już domy (ona szukała właśnie stróża do drugiego z kolei domku).

Ostatecznie dostałem tę posadę po prostu i zwyczajnie — z ogłoszenia.

Chemia przeciw logice.

Kiedy po raz pierwszy wszedłem do pokoju, pierwszego obcego w życiu pokoju, który miałem sprzątać, czułem się jak nad huczącym brzegiem Pieczory, gdzie mi dali do garści topór i kazali rąbać las. Tam miałem na szczęście dobrego "naparnika", pewnego sowieckiego "chuligana", który piąty już rok przepraszał bolszewicką subtelną moralność za pobicie żony. Tutaj nie miałem "naparnika", bo wtedy, kiedy ja sprzątałem, Regina musi dyżurować przy telefonie, poza tym szyje, a poza tym jeszcze tego akurat tygodnia, gniewaliśmy się na temat nowo-odkrytej bomby wodorowej. Ja twierdziłem, że natychmiast po wyprodukowaniu, jeszcze ciepła, prosto od krowy bomba, powinna być rzucona na Kreml, a ona — że należy czekać na rewolucję wewnętrzną w Rosji. Rezultat był taki, że nie wiedziałem jak się zabrać do tego pokoju, bo jak gniew to gniew — nie mogłem jej prosić o rady. Odkurzyłem dywan, maszyną, którą u nas nazywali "elektrolux", a tutaj "hoover". Trzyma się to i popycha jak pług jednoreczny. Odkurzyłem dywan, patrząc — łóżka rozbebeszone. Zacząłem ścierać łóżka. Gładziłem, cmokałem i mlaskałem — wciąż były nierówne, jak żydowskie bryki (dzisiaj trzy zręczne, niemal cyrkowe, rzuty — prześcieradło, koce, kapa — i łóżko jak stół). Uścieliłem to wreszcie jakoś. Patrząc, pierze posypało się po dywanie. Łapię znowu za odkurzacz i orzę po raz drugi. Rozglądałem się po pokoju i przypomniałem sobie, że Ty zawsze ścierałaś kurze i że w ogóle z kurzem była zawsze duża walka. Ścieram więc kurze — ze stołu, z półek, z szaf. Że sam się umorusałem jak nieboskie stworzenie, to nic, ale że znowu dywan się zapylił, to już mnie cholera wzięła. Znowu za odkurzacz.

Sprzątałem ten pierwszy pokój dwie godziny. Spojrzałem na

zegarek, potem w lustro i widzę, że blednę: znaczy na 16 pokojów muszę zużyć 32 godziny, czyli o 8 za dużo (dzisiaj w ciągu kwadransa mam pokój sprzątnięty, jak to się mówi "porządnie" z kurzami, zebranymi spod łóżek i zza szaf). Pierwszą kąpielkę myłem godzinę (dziś 10 minut). Zachłapałem się od czerwonych safianowych pantofli nocnych po okulary. Myślałem, że im więcej wody, tym będzie czyszej. Nic podobnego. Zasady logiki formalnej zawodzą w zetknięciu z życiem. Dziś — nauczony przez Reginę, z którą się już dawno przeprosiłem (ustąpiłem z bomby wodorowej na rzecz powstania wewnętrznego, a ona godzi się na interwencję zewnętrzną pod warunkiem, że na czele stanie Anglia, nie Ameryka), — operuję wyłącznie półwilgotnymi ściereczkami i chemią. Regina, która jak Ci pisałem, służyła już przez parę miesięcy u jednej pani, wyłożyła mi całą magię chemii stosowanej. Wilgotna ściereka plus substancja chemiczna działa cuda, nieomal bez wkładu pracy — jak temat samograj — mord i pornografia w powieści. Jest ich setki odmian: proszek do białych olejnych ścian, proszek do posadzek kafłowych, pasta do wanien, pasta do podłóg drewnianych, olej do linoleum. Potrzesz jak tę lampę Aladyna i brud znika. Zupełnie niepotrzebnie męczyłem się przez ten tydzień gniewu. Diabli nadali akurat Trumanowi z tą bombą wodorową. A tyle razy przysięgam sobie nie kłócić się z żoną na tematy polityczne: zawsze na tym przegram, bo jeszcze nigdy nie wygrał w polityce ten, kto ma rację. Słyszę już jak zrędzisz: "A mówiłam — rzućcie politykę". Mówiłaś, mówiłaś. Rzuciliśmy na zbity łeb, bo dosyć już dostaliśmy za nią w tyłek, ale polityka jest jak rzep: im mocniej ją rzucasz, tym mocniej się czepia.

Ostatecznie dziś po miesiącu pracy dom jest prawie czysty, brud, który zostawił mój poprzednik — wygnany. Narasta wciąż nowy, ale nie tak już szybko, bo brud jest jak kolonia bakterii — im go więcej, tym bardziej się mnoży.

Z gospodarzem współpracę rozwija się w największej harmonii, lubimy się obydwać. Lokatorzy mnie się boją. Regina, nawet Regina, która lekce mnie sobie ważyła jako pisarza, a jeszcze lżej jako polityka, zaczyna teraz szanować mnie jako ciecia. Jestem, czuję to, dobrym cieciem. Niech sobie w brode płużą ci, którzy nie chcieli wziąć mnie na stróża, dlatego, że byłem inteligentem. Niechby zobaczyli, jak ten proletariusz, mój poprzednik, prowadził dom.

Anty-manifest.

Sądzę, że przesad o niezdolności inteligencji do najgłupszych nawet robót fizycznych, zakorzeniony i wśród samej inteligencji, zawdzięczamy tupetowi propagandy marksistowskiej, przede wszystkim najbardziej zakłamanemu pamfletowi Marksa, znanemu pod nazwą "Manifestu Komunistycznego". W tym paszkwilu na wszystkie inne klasy społeczne — wzorowanym

zresztą na "Stanie Trzecim" opata Sieyés'a — Marks tworzy mit klasy panów, soli ziemi, hegemonu postępu — proletariatu wielkomięjskiego. A przecież Ty i ja dobrze znamy nasz proletariatu z naszej Przyokopowej i wiemy czym on pachniał w życiu codziennym. Hegemon postępu! Dwa najbardziej reakcyjne ustroje — krwiożerczy faszyzm i niewolniczy bolszewizm — powstały i trzymały się przy najczynniejszym poparciu proletariatu i lumpenproletariatu — granica między nimi nieuchwytna. Ludzie bez jutra i bez wczoraj nie mogą tworzyć szczęśliwego dzisiaj.

Zastanawiam się, czyszcząc brud po swoim proletariackim poprzedniku, czy Marks był taki dureń, bo nie znał proletariatu, czy taki cynik i łgarz, bo go znał. W każdym razie jedno jest pewne, że nie jego dobro miał na myśli, prawiąc mu nieprzytomne pochlebstwa, — miał na myśli jego grzbiet, po którym chciał się wspiąć do władzy.

Chwila rozwagi.

Możesz wyczuć z tonu tych moich refleksji, że zbyt szczęśliwy na tej posadzie nie jestem. Skłamałbym Ci, gdybym powiedział, że przyszedł właściwy człowiek na właściwe miejsce. Mimo wszystkie przesady demokracji o równości każdego zawodu, "praca nie hańbi" i inne tam bzdury, uważam tę posadę za poniżenie i jak bym nie nadrabiał miną, w podświadomości mam widocznie to stałe poczucie krzywdy i zdeklasowania, skoro jestem zły, zgorzkniały, niechętnie, jeśli nawet nie nienawistnie usposobiony do ludzi. Przeczytałem dzisiaj, co wczoraj napisałem o proletariacie — piszę ten list do Ciebie kawałkami: zmęczenie i brak czasu — i widzę, że poniżenie własne chcę odbić na jeszcze nieszczęśliwszych od siebie. Nie skreśliłem jednak tego, aby Ci dać pojęcie o strumieniu myślowym i uczuciowym, zgodnie z Twoim życzeniem. Odbijam tę swoją zgorzkniałość nie tylko na proletariacie, lecz i na Reginie — niestety — ale ona, na szczęście, jest dość mądra i dość wyrozumiała, aby pojąć przyczyny mego stanu nerwowego. Trudno utrzymać, mimo najsilniejszej woli, — nerwy w cuglach, jak Cię jakiś szczeniak, nababin synek woła dzwonkiem o pierwszej w nocy i każe wodę podgrzewać do kąpieli, mimo, że mu się zapowiadało: gorąca woda tylko do jedenastej wieczorem. Trudno się nie wściekać, gdy Ci lokator zostawia łóżko jak najbardziej rozbebeszone, nawet piżamy nie chce się draniowi nie tylko złożyć, ale zostawić w stanie do złożenia, — z reguły zostawiają rękawy powywracane, nogawki powciągane do środka. Niech Ci złożenie każdej pary zajmie trzy minuty, to w szesnastu mieszkaniach, licząc że większość pokojów ma podwójne łóżka, musisz stracić przeszło godzinę na naprawienie niechlujstwa i złośliwego niedbalstwa lokatorskiego.

Kultura obcowania — to jest dziwne zjawisko społeczne. Nie jest kategorią narodową, ani klasową. Jest niewątpliwie kate-

gorią pedagogiczną. Coraz większą wagę nadaje znaczeniu tej kwestii w rozwoju postępu. Porównuję taką panią Nheed z obu nababini synkami. Wszyscy troje Hindusi z warstw tzw. "wyższych". Ona jest uosobieniem taktu, a obydwaj szczeniaki — chamstwa. Obydwaj są chorobliwymi egoistami typu narcyzowatego: ich pokój obwieszony jest ich własnymi fotografiami i portretami. Jeden postawił sobie matkę na kominku. Ostry złośliwy profil starej jędzy. Mam niezłe oko i wydaje mi się, że to "indysze mame" wychowała synka na taką gnidę. Nauka powiada, że Hindusi dali początek rasie aryjskiej, ja natomiast widzę na oko, że Hindusi stanowią typ jak najbardziej semicki. Wydaje mi się, że Azja stworzyła rasę semicką, a Europa — antysemicką. Stłukłem kiedyś jeden z wielu portretów jednego z nababiaków. Zleciał na zbity łeb z komódki. Ile płaczu było o to.

Na mój stan nerwowy wpływa niewątpliwie i zwykłe fizyczne zmęczenie. Teraz oszczędzam już automatycznie każdego wysiłku niepotrzebnego, staję się powolny w ruchach — maniera zgoła cieciowska. Zrozumiałem dla czego wiecznie zagoniona służba i wszelkiego rodzaju stróże ruszają się jak ślimaki, co mnie krewkiego lokatora, wroga klasowego, doprowadzało zawsze do pasji. Nie tylko mnie zresztą. Mało to drwin czytało się i słyszało na temat tej powolności "naszej służby". W każdej farsie stróż musiał obowiązkowo odpowiadać na głos dzwonka: "zara, zara, ide, ide, przecie się nie pali". A to jest obronny odruch instynktu samozachowawczego. W łagrze w Koźwie uczył mnie pewien komunista holenderski, który siedział już dziewiętnasty rok: "cała tajemnica długiego życia — oszczędność ruchów; popatrz na zwierzęta — nie wykonają żadnego niepotrzebnego wysiłku, natura im tak każe". Ten Holender był "dniewalnym" (dorzorca baraku). Co dwa razy ruszy miotłą, to pięć minut stoi bez ruchu, oparty o prycę.

Jak to w krew wchodzi.

Nie tylko w ruchach przejawia się moje cieciostwo. Obserwuję na sobie z zainteresowaniem problem powolnego wpadania w nawyk zawodowy. Polega to na wyostreniu reakcji na jedne bodźce i tępieniu na inne. Nie tylko tępieniu, ale nawet zanikaniu. Przypuszczam, że inteligentny trędowaty tak samo obserwuje zanikanie tkanek własnego ciała, — tym bardziej, że ma więcej od stróża czasu na auto-autopsję. Znajduję potwierdzenie tych spostrzeżeń, które porobiłem na sobie jako tragarz John. Zmysły wyculają się na grupy bodźców, skojarzone z zawodem. Tragarz John reagował na wszystko, co było ciężarem. Każdy wór mąki, kartofli, węgla napinał mi mięśnie grzbietu zupełnie automatycznie. Każda lady w kostiumie koloru angielskiej trawy — ciemnej, nasyconej wilgocią — wywoływała odruchowy uśmiech i układała wargi do pozdrowienia:

"Hallo Maud" — koleżanki kelnerki nosiły zielone fartuchy. Dziś każdy pył na poręczy każdych — nawet obcych — schodów stawia mnie w pozycji bojowej. Każdy "bibelot" — zbieracz i zbiornik kurzu — wywołuje odruchowy strumień niechęci i pogardy dla jego właściciela; lokatora, wroga klasowego. Porcelanowe słoniki, świnki, żyrafki, koniki, amorki, święte Mikołaje, pantofelki Matki Boskiej, wieżyczki Eifla, okręciki, samolociki, samochodziki — te wszystkie zabaweczki starszych kretyńców to najpotężniejsza piąta kolumna kurzu. Gdybym był dyktatorem — wolno chyba pomarzyć — pierwszy mój zakaz, rozlepijony na murach i płotach, zaczynałby się od słów: "Bibeloty wont".

Od zmian w zakończeniach nerwowych zmysłów gorsze są zupełnie patologiczne zmiany w psychice. Staję się coraz bezwzględniejszy dla lokatorów, którzy spóźniają się z płaceniem komornego. Nie jestem jeszcze uniżony wobec bogatych lokatorów i mam nadzieję, że to się nie stanie. Z dwu powodów: raz, że celem moim nie jest wyłudzeniem datków, bo nie doszedłem jeszcze do tego stanu zgettowacenia, że widzę tylko w pieniądzu rację wegetacji emigracyjnej, a dwa, że w ogóle, jak wiesz, jestem pyskаты, a ostatnie dziesięciolecie tak mnie ugniatło, że ugniotło mnie prawie na kamień i wygniotło ze mnie całą sentymentalną miękkość i łzawość.

Trudność stanowi również ustalenie stosunku do napiwków. Brać czy nie brać — oto jest pytanie. W rozwiązaniu tej kwestii są mi wyjątkowo pomocni lokatorzy — mało kto się kwapi z dawaniem. Polacy nie dają pod pretekstem, że "przecież inteligent". Postanowiłem brać tylko w formie wynagrodzenia za konkretną pracę — taką np. jak przepchanie kolanka u pani Nheed. Ale jak mi pan Motycki chciał raz dać w łapę — za wpuszczenie "his lady" — nie wziąłem, bo to była łapówka za milczenie. Ponieważ i tak nie plotkuję do gospodarza o lokatorach, a zwłaszcza na temat tak zwanej moralności — możesz się gniewać, ale na tego rodzaju potrzeby ludzkie jestem wyjątkowo wyrozumiały.

Omawianie z gospodarzem sprawek lokatorskich — to jeszcze jedna cecha rasowego ciecia, przed której nabyciem bronię się z całej siły. W razie poważniejszej obrazy moralności lub naruszenia regulaminu domowego interweniuje sam. Ta władza ciecia daje mi pewną rekompensatę za degradację społeczną. Drugim rodzajem osiody życia jest ta pewność, jaką mam w sobie, że prędzej czy później będę mógł wreszcie zmienić odkurzacz elektryczny na maszynę do pisania i będę mógł zedrzyć skórę i wytoczyć krew z moich obecnych wrogów klasowych dla ludzi mojej fikcji pisarskiej.

Ale wobec tych swoich ludzi — wiem o tym na pewno — zajmę inną postawę — najpełniejszą wyrozumiałości i miłości nawet. Bez odcienia obecnej goryczy i plotkarskiej jędzowatości.

Nowe plotki.

Mam o jeden pokój mniej do sprzątanania — pan Motycki od pewnego czasu prawie nigdy nie wraca do domu na noc. Mia-nowicie od czasu jak mąż "his lady", ten wspaniały rogacz, który przynosił rosół dla wzmocnienia pana Motyckiego, poszedł — raczej sądzę został posłany — do szpitala.

Łóżka w pokoju doktorostwa Nheed nie bywają już tak dzie-wiczko spokojne. Pogodzili się, ale smutek pani Nheed nie zmniejszył się od tego. A facet, który czytywał jej wiersze sanskryckie, przestał bywać i dzwonić. Mam przez to większe urwanie głowy z telefonami, bo Nheedowa nie blokuje już dostępu. Nie wiem, co tam się stało. Prawdopodobnie sakrament — jakiś tam ich hinduski — zwyciężył miłość i pani Nheed jest już regularnie sakramencką żoną. Czy na długo? Napiszę Ci.

Sprowadziły się — na miejsce pewnej nieciekawej pary — dwie nowe lokatorki: krowiokształtna blondynka i bystronoga szatynka. Krowiokształtna mówi mdląco miódowym głosem i ma dużo kuszącego uroku w oku. Ale najwięcej ma czasu. Mąż, który jest w Egipcie przysyła niezbędne do marnowania czasu funty, kto inny znowu — pewien drab z czarną wiechą błyszczą-cych włosów nad ognistymi oczami — stara się ten czas z nią zabijać. Tak już odwykiem od widoku kobiet niepracujących (wszystko można by zarzucić naszym kobietom tutaj, oprócz lenistwa), że patrzę na nią, jak na okaz z balzakowskich powieści. Boże, co by można zrobić, gdyby można było nic nie robić tak jak ta blond krówka!

Flondra z niemytymi włosami przez kilka dni mieszkała z malarzem, że niby rozwód z mężem, a miłość do zgonu z ko-chankiem. Ale po paru dniach poznałem z ich kwaśnych i nie-nawistnych min, że ich zgon widocznie się zbliża, bo miłość się kończy. Na szczęście wkroczył zdradzony mąż. Słyszę w te-lefonie:

- Malutek, wróć — wszystko ci przebaczę.
- Przebaczyć?! Co ty masz mi przebaczyć, brutalu? Ześ mnie wygnał z domu, żeś mnie pobił?
- Ja cię wygnałem? Ja cię pobilem?
- Nie pobiłeś? Ale chciałeś.
- Wróć, błagam, żyć bez ciebie nie mogę.
- Żebyś mnie znowu bił? Żebym znowu musiała tułać się po obcych.
- Zapomnimy o tym i rozpoczniemy nowe życie, zobaczysz... Piękne.
- Nie wiem, czy ja będę mogła zapomnieć...
- Przebac, zapomnij.
- Chciałabym ci przebaczyć, przecież... Kocham cię, przecież
- cię nigdy nie zdradzałam...
- Przebac mi ten ostatni raz. Będziemy już szczęśliwi.
- Nie chodzi o szczęście osobiste... Chodzi przecież o to, aby nie rozbijać rodziny.

— Tak, masz rację. Nie po to przecież tu zostaliśmy, aby da-wać krajowi przykład zniszczenia i rozkładu najświętszych in-tytucji. Więc przebaczysz mi?

— Zobacze. Przyjedź tu po mnie.

Myślisz, że nie przyjechał? Przyjechał, głab kapuściany, i z triumfem wyprowadził ją z garsoniery kochanka. Widziałem, jak godnie zstępowała po moich kremowo-zielonych schodach w kloszowej rotundzie koloru skrzepłej krwi. Gdy patrzyłem z dołu, perspektywiczny skrót poszerzył biodra, a zwałił ramio-na i zmniejszył blond — dobrze chyba umyła — główkę. Pa-trzyła na mnie z góry w dosłownym i przenośnym sensie tego słowa. Kapłanka i wzniosła ofiara domowego ogniska. Ona jed-na wie, po co my na tej tu emigracji się męczymy.

Jeśli, czytając to, wstydzisz się za kobiety, to ja się wstydzę za mężczyzn. Zupemnie dorodny chłop: niestary jeszcze, blondyn jak i ona (może tu tkwi przyczyna?) z bujną czupry-ną, dumnie zarzuconą do góry, średniego wzrostu, przecięt-nie zgrabny, po własnym samochodzie, zadbanym ubiorze i wyglądzie — widać że i zamożny — a siedzi pod pantoflem u takiego ścierwa co przychodzi myć włosy w ginie do malarza. Żeby jeszcze w winie — byłaby w tym przynajmniej jakaś poe-zja, która gładzi wszystkie grzechy — ale w zwyczajnym, śmier-dzącym ginie!

Wszystkiemu winien chłop. Bo jeśli zdarzy się w małżeństwie chłop dureń, to — moja pani, moja pani — wszystko idzie do bani. Gdyby po pierwszym myciu włosów, wziął za blond kok i podfonarzył oko, byłaby idealna żona do końca życia. Pod tym względem jestem za Nietzschem.

I znowu stoję przed zagadką: co taką skłania do świńtusze-nia? Jakie pobudki? Fizjologia, psychologia czy patologia mo-głaby mi na to odpowiedzieć? Mówiłaś, że pisarze "wszystko wie-dzą". Męczy mnie, że jest tak bardzo dużo rzeczy, tak pozornie prostych, a tak strasznie niepojętych.

Nie rozumiem również pani Pietuchin — choć tu sprawa jest prostsza — i też jestem, czuję to, niesprawiedliwy dla niej, ry-sując jej portret czy karykaturę raczej jednobarwnie — żółcio-wo. Może trzeba by było pokazać, zamiast jędry, kobietę rozgo-rzconą, zawiedzioną wielokrotnie, zmęczoną do ostatnich granic tułaczką po tyłu ładach, tęskniącą do własnego powietrza i własnej ziemi, kobietę, dla której ten "sztuczny kwiatek" uśmiechu jest może bohaterstwem?

Ale pisarz też jest człowiekiem. Język, który zna tylko smak goryczy, nie może wyrzucać — jeśli nie jest fałszywy — słów słodkich.

Twój stęskniony syn.

Janusz KOWALEWSKI.

Archiwum polityczne

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta "KULTURY")

Stringfellow Barr w swojej świeżo wydanej książce pt. "The Pilgrimage of the Western Man" stwierdza nie bez racji, że każde pokolenie przeredaguje historię. Pisze ją od nowa i inaczej. Jeżeli wziąć dzieła Toynbee'go to będzie się miało chyba najlepszy przykład tezy Stringfellow Barr'a.

Jest czymś pasjonującym a zarazem melancholijnym studium biografii wielkich cywilizacji, które upadły i wygasły. Historyczny nagrobek każdej z nich zaczyna się od tych samych słów: "za późno..."

Dziś wiemy dokładnie, że np. Imperium Rzymskie już w początkach III-go wieku zmagало się z potrójnym kryzysem: ekonomicznym, religijnym i wojskowym. Powzięto mądre i celowe decyzje — ale jak mówi Toynbee — o 400 lat za późno.

Jednak szczęśliwy był ten Rzym. Wśród oceanu niepewności, które nas otaczają — wydaje się przecież pewnikiem, że jeżeli by w obecnym okresie upadła cywilizacja Zachodu, to żaden przysły Toynbee nie napisze o nas, iż spóźniliśmy się o 400 lat z naszymi decyzjami. Napisaliby, że spóźniliśmy się o 4 lata, a może nawet o 3.

Polityczną scenę zachodniego świata można by porównać do zbombardowanego miasta. Komisje architektów pracują dniami i nocą nad planami odbudowy. Roi się od śmiałych projektów ale nikt nie wywozi gruzu po zburzonych starych gmachach.

Epoka państw nacjonalistycznych i całkowicie suwerennych należy do przeszłości. Planuje się Unię Zachodnią a nawet Federację Atlantycką, w rzeczywistości jednak, żyjemy ciągle w gruzach starej epoki. Łata się ruiny, wspiera zarysowane mury w przeświadczeniu — niekiedy i słusznym — że stary gruz jest przecież pewniejszym budulcem niż papier. A nowa epoka jest jeszcze ciągle na papierze. Pamiętać muszą o tym w pierwszym rzędzie ci, którzy decydują o gospodarce.

Niesensacyjny budżet Sir Stafforda Crippsa został uchwalony 26 kwietnia większością 5 głosów. Przyniósł on nieznaczne zmiany, jak obniżenie stawki podatkowej od najniższych zarobków i zwiększenie podatku na benzynę. Wprawdzie W. Churchill stwierdzając, że rządy socjalistyczne wydały dotąd 19.000.000.000 funtów (plus preliminowane na rok bieżący ok. 4.000.000.000 funtów) nie żałował najczarniejszych barw by odmalować "brzeg przepaści" ku któremu stacza się Anglia — to jednak trzeba powiedzieć, że budżet miał na ogół dobrą prasę.

Gospodarka brytyjska uległa wzmocnieniu. Wzrastające zapasy kruszców i walutowe, nadzwyczajny wzrost wydajności pracy (o 6,5%), utrzymanie pełnego zatrudnienia, duża stabilizacja cen (wskaźnik cen wzrósł minimalnie o 4 punkty) — to są wszystko silne atuty gospodarki Labour Party.

Lecz optymizm byłby tylko częściowo usprawiedliwiony. Wśród licznych komentatorów i krytyków budżetu najtrzeźwiej istotę zagadnienia ujął — w moim rozumieniu — W. Arthur Lewis, profesor ekonomii politycznej manchesterskiego uniwersytetu, który na łamach "The Listener" napisał dosłownie: "Jesteśmy satelitą Stanów Zjednoczonych. Wszystko, co się dzieje w naszej gospodarce, zależy od tego, jak funkcjonuje gospodarka amerykańska. Jeżeli w St. Zjednoczonych będzie depresja gospodarcza, nie będziemy mogli utrzymać pełnego zatrudnienia choćbyśmy nie wiedzieć jak o to walczyli." Artykuł swój prof. Lewis kończy zdaniem: "Żyjemy ciągle w "raju szaleńca" (fool's paradise) — wierząc, że wynaleźliśmy tajemniczy sposób, który umożliwi rządowi brytyjskiemu własnymi środkami nie dopuścić do bezrobocia. Jest rzeczą konieczną, aby nasze partie polityczne wybiły sobie z głowy ten niebezpieczny nonsens. Albowiem dopiero, gdy zdamy sobie sprawę z realnego stanu rzeczy, podejmiemy może inicjatywę zmierzającą do powołania odpowiednich (gospodarczych) międzynarodowych instytucji."

Gospodarka brytyjska opiera się na zdrowym składniad założeniu, że należy maksimum eksportować i minimum importować. Przywóz obecny wynosi zaledwie 85% przywozu z r. 1938, natomiast wywóz na rok obecny preliminuje się na 160% wywozu z r. 1938.

Pytanie jednak brzmi jak długo można prowadzić gospodarkę opartą na takich założeniach? Czy polityka stałych restrykcji importowych nie zachęci w końcu innych krajów do wprowadzenia analogicznych restrykcji w stosunku do importowanych przez te kraje towarów brytyjskich? Ograniczenia importowe powodują również, że firmy brytyjskie nie mogą zaopatrywać się na rynkach najtańszych — np. nie mogą kupować amerykańskiej bawełny. Niesie to w konsekwencji wzrost kosztów produkcji, a w rezultacie, utrudnia konkurencję z producentami, którzy mają możliwość zakupu surowca taniej.

"The Manchester Guardian" zauważa słusznie, że istotne byłoby nie równoważenie importu eksportem ale sprowadzenie zarówno wywozu jak i przywozu do takiej płaszczyzny, która umożliwiłaby wytwórcy brytyjskiemu skuteczniej walczyć z rosnącą z dnia na dzień międzynarodową konkurencją.

Ale jak w praktyce to przeprowadzić? Anglia, przeludniona po brzezi, jest w całości zależna od sytuacji gospodarczej międzynarodowej, ściślej mówiąc od polityki gospodarczej St. Zjednoczonych. Nie posiada realnych możliwości prowadzenia "suwerennej" polityki ekonomicznej. Nie jest zresztą w tym bynajmniej odosobniona.

Ponure przypuszczenia, że po roku 1952 drogi Europy i St. Zjednoczonych rozejdą się powtórnie — błędna na szczęście coraz wyraźniej. Sądzę, że to właśnie miał na myśli min. Bevin, gdy powiedział w Izbie Gmin: "Mam nadzieję, że niedługo pomoc St. Zjednoczonych w formie jaką znaleźliśmy dotychczas i nacisk na nas byśmy się zjednoczyli (Unia Zachodnia) — zastąpi zjednoczenie na znacznie szerszej płaszczyźnie."

Jakże z tymi słowami nadziei kontrastuje przemówienie Churchilla w piątym dniu obrad budżetowych. "The Observer" nazwał to przemówienie apokaliptycznym.

W dramatycznym patosie przywódca opozycji wyraził się, że w chwili obecnej losy Anglii się wazą, że jeszcze nigdy w historii tak straszliwe niebezpieczeństwa nie zagrażały tak licznemu i potężnemu narodowi na drugi dzień po jego triumfie i uratowaniu wolności świata. "Nikt nie umie powiedzieć jak głęboko zejść jeszcze będziemy zmuszeni po tej czarnej płaszczyźnie, która rozpościera się przed nami..."

Aby zrozumieć ów patos, ranioną dumę i bezradną troskę Churchilla trzeba sobie uzmysłowić, że miał on niemal lat 20 w pamiętnym roku 1897 diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii, kiedy obwieszono urbi et orbi triumf angielskiego imperializmu, triumf politycznej doktryny Disraelego.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że jedną z przyczyn, która hamuje proces "integration" jest fakt, że historia włożyła zbyt wielki ciężar

na bary pokolenia polityków Anglii i krajów kontynentu. Nie wszyscy czołowi politycy europejscy są wprawdzie w wieku Churchilla, ale wszyscy wrońnięci są w ideę suwerennych państw — wszyscy są obcy i nieufni ideom federacji.

Gdyby federację atlantycką zbudować mogło pokolenie następne, nie obciążone balastem wspaniałej imperialnej przeszłości — o ileż byłoby lepiej. Wydaje się jednak, że jeżeli Zachód ma przetrwać — zadania tego musi się podjąć znużone pokolenie obecne.

Politycznym wydarzeniem wewnętrznym Anglii, które zmusza do refleksji jest geneza ostatniego nieoficjalnego strajku w dokach londyńskich. Komentarze prasy zarówno socjalistycznej jak konserwatywnej niczego właściwie nie wyjaśniają. Minister pracy Isaacs oraz Rada portowa mają przeprowadzić badania celem ustalenia "psychologicznych przyczyn", które spowodowały strajk.

W 9-tym i ostatnim dniu strajku (27. 4. br.) strajkowało 14.422 robotników, solidaryzując się z 3-ma kolegami, których wydalono ze Związku Transportowców za udział w organizowaniu strajków zeszłorocznych.

Stwierdzić należy, że trzech wydalonych robotników (komunistów) usunął z zawodowego związku transportowców specjalny komitet złożony w całości z robotników i działający z ramienia Związku i zgodnie ze związkowymi przepisami. 14 tysięcy strajkujących protestowało zatem przeciw decyzji własnego związku zawodowego i wyrokowi robotniczego komitetu, który został przez Związek powołany do zbadania i rozstrzygnięcia tej sprawy. Chodziło — powtarzam — tylko o trzech ludzi przy czym — jak stwierdził w Izbie Gmin min. Isaacs — wydaleni ze związku robotnicy nie utracili bynajmniej prawa do pracy w dokach. Utracili jedynie członkostwo Związku Transportowców.

Gdzie zatem leży przyczyna strajku?

14 tysięcy robotników poddało się rozkazom nieoficjalnego komitetu strajkowego, bojkotując własny związek. Jest to wydarzenie (nie pierwsze z tej serii), które budzić musi poważny niepokój. Wydaje mi się, że jedynym psychologicznym wytłumaczeniem całej sprawy jest fakt, że komuniści są lepszymi taktikami niż związki zawodowe. Robotnik angielski szkolony jest od dziecka przez swój związek w naczelnej enocie politycznej ruchu, a mianowicie w solidarności robotniczej. Otóż w tym wypadku wyszkoleni agitatorzy komunistyczni byli tymi, którzy umieli lepiej apelować do tej solidarności niż władze związku.

Byłoby wielkim błędem przypuszczać, że tych 14 tysięcy strajkujących to byli komuniści czy sympatycy komunizmu. Nic podobnego. To byli tylko robotnicy na których kardynalnym uczuciu klasowej solidarności lepiej zagrać umieli wyszkoleni taktycy komunistyczni niż działacze związku.

Poruszam tę sprawę, bo wszystko, co związane jest ze związkami zawodowymi (Trade Unions) posiada dla Anglii wagę decydującą. Jeżeli w bieżącym okresie związki zawodowe będą kontynuowały politykę nie walczenia o wyższą płac robotniczych — stabilizacja wewnętrzna ma wszelkie szanse trwałości. Jeżeli jednak związki zawodowe podejmą ofensywę w sprawie podwyżki płac — budżet Sir Stafforda Crippsa i cała ekonomiczna polityka rządu musiałyby upaść.

Pod tym względem nikt w Anglii nie ma żadnych wątpliwości. Teoria i praktyka "Welfare State" zależą w całości od związków zawodowych.

Na tym tle dokonywują się w Anglii rewolucyjne przemiany. Wyszarczy uzmysłowić sobie, że w ostatnich dwóch latach produkcja w Anglii wzrosła o 10% ale tylko jedna dziesiąta z tej 10% nadwyżki dostała się do kieszeni obywatela. Jak wspominałem omawiając budżet, wzrosła nadzwyczajnie wydajność pracy. Czyż nie byłoby to dostateczne powody, by żądać znaczniejszej podwyżki płac?

W kapitalistycznym państwie dawnego typu związki zawodowe miały

za cel walkę o możliwie najlepsze płace i warunki dla swoich członków. Czyżby za tym związki zawodowe odstąpiły od swych tradycji?

Cel związków pozostał ten sam. Ale niewątpliwie zaczyna powstawać solidarność związków zawodowych z "Welfare State" — z państwem sprawiedliwie dzielonego dobrobytu. Ta solidarność opiera się na pełnym zatrudnieniu, na tanich subsydiowanych racjach żywnościowych, na rozgąszonym aparacie państwowych służb socjalnych i na przekonaniu, że z owej polityki nie walczenia w chwili obecnej o wyższe płac — nikt nie ciągnie brudnych zysków.

Na tym tle specjalnego znaczenia nabierają nieoficjalne strajki z reguły powodowane przez komunistów, którzy nie sprawując rządu dusz, górują często jako technicy ruchów masowych — nad lokalnymi władzami robotniczymi. ("Daily Worker", organ angielskiej partii komunistycznej, ma śmieszny nakład 120 tysięcy. Gigant socjalistyczny "Daily Herald" bije 2 miliony egzemplarzy dziennie).

Zupełnie specyficzna ilustracją groźnej taktyki mniejszości komunistycznej jest Australia, która w roku ubiegłym przeżyła falę strajków tzw. "paraliżujących". Komunistów w Australii jest jeszcze mniej niż w Anglii i jako partia są bez żadnego znaczenia. Opanowali tam natomiast czołowe stanowiska w związkach zawodowych.

W chwili obecnej, jak wykazały badania instytutu Gallupa — 74% obywateli australijskich opowiedziało się za wyjęciem komunistów spod prawa. Projekt ustawy antykomunistycznej prem. Menzies'a posiada zatem całkowite poparcie społeczeństwa.

W Anglii projekt nie ma dobrej prasy. Złożyło się na to wiele przyczyn. Po pierwsze tekst projektu ustawy nie jest szczęśliwie zredagowany i ustawa w jej obecnym brzmieniu może dać powód do wielkich nadużyć. Prasa londyńska podkreśla również, że zasada "deklarowania" kogoś komunistą jest sprzeczna z kardynalnym dogmatem brytyjskiej sprawiedliwości, że nikt nie jest winny dopóki popełnienie zbrodni nie zostanie mu sądownie udowodnione. W Anglii każdy obywatel jest niewinny dopóki sąd nie orzeknie, że jest inaczej. I jedynie sąd uprawniony jest to orzec.

Drugą przyczyną niepopularności projektu ustawy prem. Menzies'a jest fakt, że akcja jego obliczona jest (w pewnej mierze) na rozbiście australijskiej Labour Party. Arcybiskup katolicki Melbourne, Dr Mannix, który kieruje potężną Akcją Katolicką, zdeklarował pełne poparcie dla projektu ustawy. Należy pamiętać, że egzekutywy Labour Party w stanie Victoria i w kilku innych wielkich stanach spoczywają w ręku katolików.

Lewe skrzydło australijskiej Labour Party wszczęło już gwałtowne ataki oskarżając prawe skrzydło partii o przygotowywanie drogi "dla nowego ucisku klasy robotniczej". Australijskiej partii pracy grozi całkowity rozłam.

Rozpatrując projekt ustawy z perspektywy walki świata zachodniego przeciw komunizmowi — stwierdzić należy, że ustawa już tym oddała dobrą służbę, iż postawiła na płaszczyźnie międzynarodowej dyskusji kardynalny problem wyjęcia partii komunistycznych spod prawa. Wylom w demokratycznej "dogmatyce" został dokonany. Australia nie jest Unią Południowo-Afrykańską i nikt nie może kwestionować demokratyczności jej ustroju. Czyż zresztą może być uznana za nie-demokratyczną ustawa, za którą wypowiada się 74% obywateli? Nie-demokratycznie mogą być zredagowane pewne punkty projektu lecz redakcja odnośnych artykułów może być zawsze zmieniona. Ważna jest zasada a nie szczegóły wykonawcze.

Powracając po tej australijskiej dygresji na teren Londynu, wypada powiedzieć, że Anglia posiada w chwili obecnej dwie silne partie i jeden słaby rząd. Przed każdym głosowaniem partia rządowa alarmuje swych posłów a chorych ambulansami zwozi do gmachu parlamentu. Liczy się bowiem dosłownie każdy głos. 1 maja, gdy głosowano nad redukcją wydatków ministerstwa komunikacji, wynik głosowania był 278 przeciw 278. Zgodnie z parlamentarnym zwyczajem brytyjskim, przewodniczący komisji rzucił swój głos za rządem i tym jednym głó-

sem przeszedł projekt Labour Party. Tego rodzaju sytuacja grozi każdej chwili możliwością dymisji rządu. W parlamencie wytwarza się "nastrój przedwyborczy" o którym wspominał Churchill. Przywódca opozycji dodał jednak, że nie wierzy by rzetelny rząd koalicyjny mógł powstać w wyniku partyjnych układów. Tylko bezpośrednio niebezpieczeństwo spowodować by mogło — jego zdaniem — ową jedność narodową, która stanowić musi zaplecze koalicji partyjnej.

Wniosek Lorda Eltona, by przywódcy partyni przystąpili do obrad w celu powołania rządu narodowego — upadł.

Liberalna partia zgłosiła wniosek, by konserwatyści i Labour Party zawarli porozumienie co do terminów głosowania. Jest to wniosek wyraźnie prorządowy. Jeżeli bowiem konserwatyści zobowiążą się zawiadomić partię rządową na 24 godzin naprzód, iż w takiej czy innej sprawie zażądają głosowania — umożliwi to naganiaczom (Whips) Labour Party zmobilizować wszystkie głosy.

Obecna specyficzna sytuacja parlamentarna uwypukliła jaskrawo zmierzch potężnej niegdyś i o jakże wspaniałych tradycjach — partii liberalnej. Lord Woolton zaproponował liberałom sojusz, który mógłby przynieść im w przyszłych wyborach 50 mandatów. Lecz sojusz z potężnymi konserwatystami grozi liberałom ideologicznym unicestwieniem. Socjaliści ze swej strony przekonują liberałów, że radykalizm ich jest przecież rodem z lewicy i nie kto inny lecz Labour jest dziedzicem świetnych liberalnych tradycji.

Wydaje się pewne, że bez radykalnej reformy wyborczej liberałowie nie mogą liczyć na wydatniejsze zwiększenie liczby miejsc w parlamencie. Wątpliwe jest, czy Anglicy przyjmą kiedykolwiek proporcjonalny system wyborczy, który niemal zawsze przynosi w rezultacie rządu koalicyjne (jak na kontynencie). Nie sądzę, by jakkolwiek partia poparła tak nie-angielski projekt reformy prawa wyborczego.

Więc coż pozostaje? "The Observer" wystąpił pod adresem liberałów z sensacyjną propozycją. Radzi im by zrezygnowali ze statutu partii politycznej i przemienili się w Towarzystwo Liberalne. By w konsekwencji celem ich był nie rząd liberałów — lecz liberalna Anglia...



Państwa europejskie przestały spełniać swe zadania. Zadne z nich nie jest bowiem w możności zapewnić swym obywatelom skutecznej obrony przed ewentualną agresją, ani pełnego zatrudnienia i stabilizacji gospodarczej w czasie pokoju. Wydawałoby się zatem, że idea federacji jawi się tym razem na gruncie europejskim nie jako idea politycznego piękno duchostwa lecz że jest dyktowana realizmem i koniecznością.

Realizacja idei federacyjnej postępuje niewątpliwie naprzód. Postęp widoczny jest niemal z miesiąca na miesiąc. Mimo to jednak postęp ten jest zółwi w porównaniu z szybkością, z jaką polityka sowiecka realizuje swoje cele.

Partnerów federacji europejskiej i szerszej — atlantyckiej różni historyczna przeszłość. Różnice zapatrywań wyrównałoby się łatwiej — różnice wypływające z odmienności założeń wyrównać jest bez porównania trudniej. W pierwszym rządzie uwaga ta odnosi się do Anglii. Angielska myśl polityczna wyraża się najpełniej w licznych ostrzeżeniach by nie śpieszyć się z konkretnymi sformułowaniami, nie narzucać sztywnych planów, nie "konstituować". Federacja i "integration" jest czymś przerażającym nowym dla politycznej filozofii angielskiej, opartej na tradycji i precedensach.

Francuzi uzyskali od sekretarza stanu Dean Achesona przyrzeczenie pomocy finansowej i w sprzecie wojennym na wojnę w Indochinach. W ten sposób z 75 milionów dolarów, które prez. Truman upoważniony jest wydatkować w "sferze chińskiej", część obrotna zostanie na walkę przeciw komunistom na tym ważnym odcinku azjatyckim.

Interesująca była reakcja prasy angielskiej na tę wiadomość. Jeden z najważniejszych dzienników, "The Manchester Guardian", omawiając tę sprawę stwierdził, że dobrze zorientowani w sprawach indo-

chińskich Indusi są zdania, że istnieje droga "pośrednia pomiędzy Viet-Minh a Bao Dai."

Prasa angielska ustawicznie podkreśla, że wprawdzie trzeba prowadzić zdecydowanie "zimną wojnę", nie wolno jednak robić "artykułu wiary" z faktu, iż z komunistyczną Rosją na razie nie można rozmyślać. Drzwi od wschodu winny być zawsze uchylone. Tenże sam liberalny "Manchester Guardian" poświęcił moskiewskiej podróży p. Trygve Lie artykuł wstępny, strofując zachodnich mężów stanu, że tak mało poświęcili uwagi tej misji.

Inicjatywę rządu francuskiego, dotyczącą sfederalizowania węgla i żelaza krajów europejskich, a w szczególności Francji i Niemiec — przyjęto w Londynie z wielką rezerwą. Nie ulega natomiast wątpliwości, że Amerykanie poprą ją w pełni.

Inicjatywa francuska pojawiła się w momencie kiedy sprawa Niemiec zawisa w próżni. Układ, podpisany w Petersberg między reprezentantami wielkiej trójki 24 listopada 1949 — z jego głównym celem "włączenia Niemiec do europejskiej wspólnoty" — nie został zrealizowany ku pełnemu niezadowoleniu zainteresowanych stron.

Problem niemiecki w katalogu powojennych zagadnień politycznych zajmuje specjalne miejsce. Jest bowiem najtypowszym "dziecięciem wieku" chaotycznej powojennej ery.

Odmowa sankcji przez wysoką komisję okupacyjną dla pewnych ustaw niemieckich, polityka francuska w zagłębiu Saary, przetargi dotyczące tonażu nowych statków niemieckich, przemysł i ograniczenia produkcji — wszystko to są fragmenty, które sprowadzić należy do zagadnienia podstawowego. Tym zagadnieniem jest odmiennosc interpretacji układu w Petersberg. Przez "członkostwo w wspólnocie europejskiej" co innego rozumieją Niemcy, a co innego mocarstwa zachodnie.

Wszyscy obserwatorzy brytyjscy są zgodni, że Niemcy przez słowo "Deutschland" rozumieją nie obecną federalną republikę, lecz państwo niemieckie całkowicie suwerenne w granicach z r. 1937.

Korespondent niezależnego "The Observer" zauważył rzeczowo, że "nie ma rozumowych przyczyn, którymi można by argumentować żądanie, by Anglicy, Francuzi czy Belgowie mieli iść na wojnę w celu "przywrócenia" Niemcom Pomorza czy Śląska". Przyczyn rozumowych istotnie nie ma.

Lecz pozostaje jeszcze druga połowa frazy. Co należy rozumieć przez suwerenność i "European Community" (europejską wspólnotę). Czyż państwa zachodnie, które same znajdują się w okresie redukcji własnej suwerenności na rzecz związku politycznego wyższego rzędu — mogą wyposażyć Niemcy w prawdziwą suwerenność?

Problem niemiecki po prostu nie nadaje się w chwili obecnej do rozwiązania. Musi bowiem w pierw powstać Europa do której Niemcy mają być włączone.

Na tym tle propozycja rządu francuskiego w sprawie węgla i żelaza wywołała w Londynie efekt całkowitego zaskoczenia. Rezerwa rządu angielskiego jest w dużej mierze zrozumiała. Jest jeszcze zbyt wcześnie na ostateczne wnioski, ale już dziś można sformułować pewne pytania o charakterze zasadniczym: Czy połączone przemysły francuski i niemiecki potrafią produkować stal taniej niż przemysł brytyjski? Jeżeli tak (co jest niemal pewne) — jaki los spotka kwitnący obecnie eksportowy stalowy przemysł brytyjski? Czy przystąpienie do tej "spółki" nie oznaczałoby konieczności obniżenia wysokich płac robotników angielskich do poziomu płac francusko-niemieckich?

Jakkolwiek odpowiedź na powyższe pytania przyniesie dokładniejsze studium propozycji francuskich, już dziś z całą pewnością stwierdzić można, że jeżeli Anglia nie przystąpi do tego planu — a plan ten mimo to okaże się sukcesem — pozycja W. Brytanii zarówno pod względem gospodarczym jak i politycznym ulegnie ogromnemu pogorszeniu. Taką decyzją Anglia odcięłaby się od Europy.

Końcowy komunikat wydany po zakończeniu londyńskich konferencji Bevin-Schuman-Acheson — "The Observer" ocenił jako "epokowy".

W artykule redakcyjnym czołowy polityczny tygodnik angielski wystąpił z tezą, że konferencja londyńska stanowi zakończenie okresu pięcioletniego — od zakończenia wojny po 15 maj 1950. Okres ten wypełniały nadzieje i wysiłki zmierzające do pozyskania pokojowej współpracy Rosji sowieckiej. Obecnie ministrowie Bevin, Acheson i Schuman zgodzili się, że z Rosją nie ma zgody...

O ile stwierdzenie, że konferencje londyńskie stanowiły punkt zwrotny w nieszczernej polityce ostatniego pięciolecia powitać należy z uznaniem — o tyle dalsze wnioski, jakie wysuwa w swym artykule świetny skądinąd "Student of Europe" budzą zdumienie.

Autor podkreśla, że w Europie bywały już takie okresy jak obecny, kiedy nie było ani formalnej wojny ani formalnego pokoju. "Student of Europe" sądzi, że sytuację z maja 1950 przyrównać można do stosunków, jakie panowały między Islamem a Chrześcijaństwem w IX, X i na początku XI w.

Z wszelkimi analogiami w publicystyce trzeba być zawsze bardzo ostrożnym. Najtrafniejsza bowiem analogia jest zawsze tylko w połowie prawdziwa. Powyżej cytowana jest wręcz fałszywa.

W IX czy X w. świat oglądany z wysokości końskiego grzbietu był olbrzymi. Europa na zachodzie była wsią — na wschodzie puszcza. Dziś świat oglądany z samolotu jest mały, przeludniony, składa się z olbrzymich przemysłowych miast i nielicznych parków...

Jeżeli w najbliższym czasie nie będzie "gorącej" wojny — co istotnie jest wielce prawdopodobne — to nie dlatego, że istnieje jakakolwiek analogia pomiędzy współczesnym konfliktem światowym a konfliktem Chrześcijaństwo-Islam z epoki wczesnego średniowiecza.

"Zimna wojna" mimo, że termin ten nie pojawił się w tekście komunikatów z londyńskich konferencji — trwa i nie słabnie. Tylko dzięki temu, że trudno jest ocenić zarówno wymiar jak i rozmiar powodowanego zniszczenia — stan obecny można określić ni-wojną — ni-pokojem. Bo właściwie nikt nie wie co dzieje się na frontach tej wojny. Dopiero gdy nagle pojawi się sprawa dr Fuchsa lub zastrajkuje bez "logicznych" powodów 14 tysięcy robotników w porcie — uzmysławiamy sobie, że akcja trwa.

Im mniej wiemy o walce w dziwnym wymiarze "zimnej wojny", tym bardziej pokojowy wydaje się nam współczesny świat. Ale to nie pokój. To tylko brak wiedzy i wyobraźni.

Skarb Narodowy

Na temat Skarbu Narodowego ukazywały się w prasie polskiej — jak dotąd — tylko fragmentaryczne wiadomości. Zagadnienie natomiast warte jest szerszego omówienia choćby z dwóch względów: po pierwsze Skarb Narodowy stanowi całkowite novum w naszym życiu politycznym, choć instytucja ta posiada w naszej historii piękną tradycję. Po drugie, Skarb Narodowy jest inicjatywą, która spotkała się z oddźwiękiem. Już dziś sądzić można, że akcja ta nie zawiśnie w próżni. Przeciwnie, prawdopodobnie przyniesie poważne rezultaty.

Samo zagadnienie, ponieważ jest bez precedensów świeższej daty, zarówno pod względem politycznym jak i administracyjnym — składa się z wielu znaków zapytania. Pragnąc dać najpełniejszy obraz nowej instytucji i wyjaśnić wszelkie ewentualne wątpliwości zwróciłem się w imieniu redakcji "Kultury" do

Przewodniczącego Głównej Komisji Skarbu Narodowego, gen. W. Andersa, z prośbą by zechciał poinformować mnie o pracach Skarbu Narodowego.

Na przedłożone pytania uzyskałem poniższe odpowiedzi.

1) Dn. 30. 12. 1949 odbyło się pierwsze konstytucyjne posiedzenie Głównej Komisji Skarbu Nar. Ile od tej daty do chwili obecnej wpłynęło w gotówce na Skarb Narodowy?

Odp.: — "Za datę rozpoczęcia akcji Skarbu Nar. nie można przyjąć 30 grudnia 1949. W rzeczywistości akcja zbiórkowa rozpoczęła się znacznie później, gdyż trzeba było przygotować druki, legitymacje Skarbu Narodowego, znaczki złotowe do wklejania w legitymacje itp. Akcja organizacyjna nie jest jeszcze bynajmniej ukończona, a akcja propagandowa jest ledwo rozpoczęta. Wszystko to trzeba mieć na uwadze oceniając dotychczasowy rezultat, który wyraża się cyfrą przeszło £ 4.000. Ścisłe dane cyfrowe ogłosimy na zakończenie pierwszego organizacyjnego półroczia".

2) Czy organizacje społeczne, które współpracują, współpracować będą w zbieraniu funduszy na rzecz Skarbu Nar. pobierają, względnie pobierać będą, pewien procent od zebranych kwot?

Odp.: — "Organizacje społeczne nie pobierają i pobierać nie będą żadnego procentu od sum przeznaczonych, czy zbieranych na Skarb Nar. Również członkowie Głównej Komisji Skarbu Nar. jak i członkowie Głównej Komisji Rewizyjnej, zgodnie z postanowieniami dekretu Prezydenta, nie mogą pobierać żadnego wynagrodzenia z tytułu swych funkcji".

3) Na jaki okres czasu obliczona jest kadencja obecnie urzędującej Głównej Komisji Skarbu Nar. oraz Głównej Komisji Rewizyjnej i jaki jest ich wkład?

Odp.: — "Główna Komisja Skarbu Nar. składa się: z 12 członków wybranych przez Radę Nar. ze swego grona, bądź spośród osób, nie wchodzących w skład Rady Nar. oraz z 6 członków powołanych przez Prezydenta R.P. Ponadto w skład Głów. Komisji Skarbu Nar. wchodzi z urzędu: minister Skarbu oraz minister dla Spraw Obywateli Polskich na Obczyźnie. Główna Komisja Skarbu Nar. może uzupełnić swój skład w drodze kooptacji najwyżej 6 członków. W sumie Główna Komisja Skarbu Narodowego składać się winna z 26 osób. W chwili obecnej w skład Głównej Komisji Skarbu Narodowego wchodzi tylko 15 osób. 11 mandatów zarezerwowano m. in. dla przedstawicieli stronnictw politycznych, które zechciałyby wziąć udział w pracach Skarbu Narodowego. Główna Komisja Rewizyjna Skarbu Nar. składa się z 5 członków, wybranych przez Ra-

dę Nar. R.P. ze swego grona, bądź spośród osób nie wchodzących w skład Rady Narodowej. Kadencja trwa dwa lata. Co roku ustępować będzie połowa członków Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Początkowo kolejność ustali losowanie a następnie starszeństwo wyboru czy powołania.

4) Jaki jest charakter Skarbu Narodowego w odniesieniu do obowiązującego ustawodawstwa brytyjskiego?

Odp.: — "Skarb Narodowy został zarejestrowany jako "LIMITED", zgodnie z przepisami obowiązującego prawa brytyjskiego".

5) Jeżeli Skarbowi Narodowemu nadano pewną formę, zgodnie z przepisami brytyjskimi to wpis i rejestracja musiały się odbyć na podstawie statutu. W akcie tym musiano przewidzieć sposób dysponowania kontem bankowym i procedurę przekazania dyspozycji konta następcom. Czy odnośne postanowienia będą ogłoszone, a jeżeli nie — dlaczego?

Odp.: — "Zarejestrowany statut Skarbu Narodowego, jako rejestrowanej instytucji w rozumieniu prawa brytyjskiego — zawiera określenie celów instytucji, które pokrywają się z zakresem działania Skarbu, tak jak przewiduje je dekret Prezydenta R.P. Sposób dyspozycji kontem bankowym został określony w ten sposób, by ustępujący członkowie prezydium Komisji Głównej prawo podpisu przekazać mogli natychmiast swoim następcom. Statut zgodnie z przepisami brytyjskimi dostępny jest zawsze dla zainteresowanych. Z tego też względu nie ogłasza się go publicznie, co byłoby sprzeczne z panującym zwyczajem.

6) Jak należy rozumieć kontrolę społeczeństwa nad Skarbem Narodowym? Według tekstu odezwy wydanej przez Główną Komisję Skarbu Nar. — Skarb Narodowy służyć będzie: a) akcji niepodległościowej, b) celom społecznym, c) potrzebom kultury polskiej. Innymi słowy, będzie służył tym zadaniom państwowym i politycznym, które są normalnie objęte budżetem. Ponieważ społeczeństwo polskie nie wie jak wygląda preliminarz budżetowy na rok 1950, w jaki sposób będzie można ujawnić sumy wydatkowane ze Skarbu Nar. nie ujawniając preliminarza budżetowego?

Odp.: — "Odpowiedź na powyższe pytanie trzeba zacząć od wyjaśnienia, że zgodnie z dekretem Prezydenta dochody ze Skarbu Nar. dzieli się w sposób następujący: 70 proc. dochodów przekazuje się do dyspozycji Rządu R.P. na pokrycie wydatków uwidoczniionych w osobnym dziale budżetu państwowego pod nazwą "Skarb Narodowy". Pozostałe 30% stanowić będzie stałą rezerwę Skarbu Narodowego. Rząd R.P. może czynić wydatki uwidocznione w budżecie państwowym pod nazwą "Skarb Narodowy"

wy" dopiero po uchwaleniu tego działu budżetu przez Radę Narodową. Posiedzenia Rady Narodowej odbywają się jawnie, nadto sprawozdania z obrad ukazują się w Diariuszu, który dostępny jest dla wszystkich. O ile mi wiadomo preliminarz budżetowy na najbliższy okres został już wniesiony przez Rząd do Rady Narodowej. Obecnie znajduje się na warsztacie prac Komisji Skarbowo-budżetowej a po przejściu ustawowo przewidzianej drogi, preliminarz ten stanie się dostępny opinii publicznej. — Jeżeli idzie o sprawę kontroli to jest to załatwiane na dwóch torach. Rada Narodowa wybrała Główną Komisję Rewizyjną Skarbu Nar. spoza swego grona. Prezesem tej komisji został rektor T. Brzeski. Prócz Głównej Komisji Rewizyjnej Skarbu Narodowego istnieją komisje rewizyjne na poszczególnych terenach. Poza tym gospodarkę Skarbu Nar. kontroluje Najwyższa Izba Kontroli Państwa. Główna Komisja Rewizyjna oraz N. I. K. składają corocznie sprawozdania z gospodarki Skarbu Narodowego przed Radą Narodową".

7) Czy Główna Komisja Skarbu Narodowego zamierza stworzyć z wpływów na Skarb Narodowy autonomiczny fundusz, nie mający nic wspólnego z aktywami Skarbu, pochodzącymi z innych źródeł? Innymi słowy, czy na uchodźctwie posiadać będziemy dwa skarby: ministerstwo Skarbu i Skarb Narodowy?

Odp.: — "Tak. Skarb Narodowy jest instytucją odrębną, o odrębnym statucie i kontroli. Dochody Skarbu Narodowego stanowią wyłącznie: a) stałe opłaty składane przez wszystkich obywateli polskich na obczyźnie, b) świadczenia pieniężne Polaków obywateli państw innych, c) dary i zapisy na rzecz Skarbu Narodowego przyjęte przez jego władze. A zatem dochody z innych źródeł i mienie pochodzące z innych tytułów prawnych nie są objęte Skarbem Narodowym".

8) Czy przewidziano stałą stawkę, jaką winni składać obywatele polscy na rzecz Skarbu Narodowego?

Odp.: — "Wpłata na rzecz Skarbu Narodowego przewidziana jest w zasadzie w wysokości ¼% dochodu. Przykładowo biorąc w W. Brytanii osoby zarabiające około £ 4 — 5 tygodniowo, płacić będą stawkę w wysokości jednego szylinga miesięcznie. Natomiast znaczki Skarbu Narodowego, które służą do wklejania w legitymacje Skarbu Narodowego są wydane w złotych przyszej Polski Niepodległej. Stosunek tego złotego do walut krajów gdzie przebywają Polacy będzie ustalony przez Główną Komisję Skarbu Narodowego. Dla terenu W. Brytanii ustalono 1 zł. = 1 sh."

Na tym kończy się tekst autoryzowanego wywiadu.

Sądzę, że powyższe wypowiedzi ujmują jeżeli nie całość to w każdym razie główny zarys nowej instytucji. Akcja Skarbu Nar. trwa zaledwie kilka tygodni. Być może jest zatem jeszcze zbyt wcześnie na wnioski. Mimo to już dziś można sformułować kilka ogólnych spostrzeżeń.

W ciągu pierwszych 4 — 5 tygodni akcji zbiorkowej wydano około 18 tysięcy legitymacji Skarbu Narodowego, i zebrano przeszło 4 tysiące funtów tylko w Wielkiej Brytanii. Jest to poważny rezultat. Czego on dowodzi?

W pierwszym rzędzie wynik ten wskazuje, że każda konkretna akcja (a nie kończąca się na słowach!) o charakterze niepodległościowym liczyć może na czynne poparcie społeczeństwa emigracyjnego.

Skarb Narodowy jest zagadnieniem oczywistym w swej celowości, zagadnieniem bezpartyjnym, a akcja zmierzająca do jego budowy jest wreszcie czymś realnym. Polak na obczyźnie jest znudzony przewlekłym kryzysem politycznym, dyskusjami "konstytucyjnymi", sporami partyjnymi i jałową pustką jaka wieje z tego wszystkiego.

Na tym tle akcja Skarbu Narodowego jawi się przed nim jako plan realny, zmierzający do odbudowy bardzo istotnego fragmentu państwowości polskiej w granicach nam dostępnych.

Powodzenie akcji Skarbu Nar. wskazuje również, że ogólnie biorąc społeczeństwo polskie na emigracji jest bezpartyjne. Wydaje mi się, że nasi politycy nie doceniają w pełni tego faktu. Życie na emigracji ogniskuje się w organizacjach społecznych o charakterze ogólnopolskim i niepodległościowym, które apelują do więzów koleżeństwa z okresu wojny dając oparcie, a przynajmniej radę lub pomoc w walce o byt. S.P.K., Koła Pułkowe, Koła A.K., stowarzyszenia lotników, marynarzy, stowarzyszenia więźniów politycznych itp. to są arterie, którymi pulsuje nurt emigracji. Samo S.P.K. liczy około 60 tysięcy członków. Iluż zarejestrowanych członków liczą partie polityczne na emigracji?

Wniosek stąd, że na największe poparcie liczyć może w masach emigracyjnych akcja niepodległościowa, pozbawiona wyraźnego stempla partyjnego, konkretna, wymierna — zmierzająca do realnego celu.

W biurze Głównej Komisji Skarbu Narodowego na Cornwall Gardens przeglądałem listy jakie czasem towarzyszą wpłatom. Najliczniej — jak dotąd — na apel Skarbu Narodowego odpowiedzieli ci, co mają najmniej. Ci, co za tygodniówkę pracują w fabrykach, w tkalniach, na roli — utrzymując siebie i rodziny.

Nie zamierzam wzruszać czytelników cytatami z istotnie wzruszających listów. W ostatnich 10 latach nawzruszaliśmy się wszyscy dosyć. Beznamiętnie trzeba jednak stwierdzić, że z za tych listów i przekazów przeziera zdrowy, nieskażony instynkt państwowy i nieznużona gotowość ofiary.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Opinie amerykańskie

Bronię Ameryki

Do Redaktora "Kultury".

Oceniając z perspektywy amerykańskiej to co się pisze o Ameryce w polskiej publicystyce emigracyjnej i słuchając opinii świeżo przybyłych tutaj imigrantów, jestem uderzony skrajnością poglądów i ocen tak skomplikowanego zjawiska, jakim są Stany Zjednoczone. Opinie wahają się pomiędzy skrajnym entuzjazmem dla wszystkiego co amerykańskie, do potępiania w czambuł wszelkich form życia amerykańskiego. Nastroje bezkrytycznego podziwu dla Ameryki jako "ziemi obiecanej" szerzą się raczej wśród kandydatów do emigracji na ten kontynent, są one przyczyną częstych zawodów i niespełnionych nadziei imigrantów. Nie ponosi odpowiedzialności za to z pewnością prasa emigracyjna, która, mam wrażenie, wiernie oddaje trudności dostosowania się przybyszów do stosunków amerykańskich. Jestem natomiast zdania, że publicystyka na ogół zbyt jednostronnie, krytycznie i w bardzo uproszczony sposób podchodzi do tak skomplikowanego zagadnienia, jakim jest ocena wartości, roli i znaczenia Stanów Zjednoczonych w wielu interesujących cały świat dziedzinach.

Zacznę od tematu najtrudniejszego, jakim jest ocena kultury amerykańskiej. W Europie spotyka się dość często twierdzenie, że o kulturze amerykańskiej w ogóle mówić nie można, gdyż istnieje tylko materialna cywilizacja w tym kraju. Pogląd ten jest oczywiście zupełnie niesłuszny. Nie będę tego twierdzenia szerzej zbijał, wskażę tylko na świetny artykuł Romana Dyboskiego pt.: "Odrodzenie poezji w Ameryce w XX wieku" ("Twórczość", zeszyt 1, rok I). Praca ta da każdemu, kto nawet nie interesuje się poezją, szerokie spojrzenie nie tylko na literaturę piękną Stanów Zjednoczonych, lecz także na inne wartości kulturalne tego kraju. Jeżeli o kulturze amerykańskiej wyraża się krytycznie tej miary autor co pan Paweł Hostowiec, który swym głębokim pesymizmem obejmuje całą kulturę za-

chodnią mówiąc o jej kryzysie i sprzeniewierzeniu się podstawowym wartościom, to oczywiście ma zupełną rację. Poczucie zagrożenia wspólnej kultury i cywilizacji jest zresztą w Ameryce równie silne jak w Europie. Dotyczy to nie tylko materialnego, że się tak wyrażę, "atomowego", aspektu zagadnienia. Świadczą o tym nie tylko "katastroficzne" nastroje, ale także powodzenie książek poruszających zagadnienia religijne, moralne itd. Również bardzo popularne jest w Europie spoglądanie z góry na kulturę amerykańską jako na coś gorszego i niedorozwiniętego. To spojrzenie nazywa się tutaj "ateńskim kompleksem" Europejczyków. Mam czasami wrażenie, że Amerykanie są znacznie bardziej dojrzałym narodem, niż to przyznają niektórzy amerykańscy autorzy, jeżeli ze spokojem słuchają wszystkich uwag i zbawiennych rad, udzielanych przez świeżo przybyłych imigrantów znakomicie zorientowanych w tutejszych problemach na podstawie pilnego oglądania, w Europie jeszcze, bzdurnych filmów hollywoodzkich. Spokojna reakcja na takie krytyki wydaje się wskazywać w każdym razie na to, że Amerykanie nie posiadają kompleksu niższości w stosunku do Europy. Pomaga im to zapewne poznawać i pisać otwarcie o swoich brakach, czego przykładem choćby drukowana w "Kulturze" praca J. Burnhama. Warto zastanowić się nad tym, z jakim przyjęciem spotkałaby się podobna praca na temat braków własnego narodu w niejednym z krajów europejskich i czy sam fakt powodzenia książki Burnhama nie dowodzi może, że naród amerykański jest znacznie bardziej dojrzały niż to twierdzi sam autor?

Pan Zbigniew Florczak wziął kiedyś asumpt z fotografii nóg tancerki w "Life" aby surowo ocenić całą kulturę amerykańską. Zapytuje, czy ilustrowane tygodniki są naprawdę dobrym wskaźnikiem kultury narodu, a zatem czy przedwojenną Polskę należy oceniać wyłącznie według "światowida" czy też uwzględnić także np. "Przegląd Współczesny"? Myślę zresztą, że przy porównaniu tygodników Ameryka wyszłaby niezaskuszenie dobrze. "Life" jest, w swoim rodzaju, bardzo dobrym tygodnikiem i czyta go, a raczej przegląda, szereg kulturalnych ludzi na całym świecie. Pan Tymon Terlecki w jednym artykule porównywał polski dramat monumentalny z nowojorską "Oklahomą". Nie jestem znawcą, ani nawet amatorem operetek, ale wiem, że "Oklahoma", a zwłaszcza jej balet, jest lepsza od wielu operetek czy musical comedies, jakie zdarzało mi się widywać w ostatnich kilkunastu latach w Europie. Wolę pozostać przy tym porównaniu, a nie wskrzeszać "Dziadów", "Samuela Zborowskiego" itd.

Istnieje dość powszechne przekonanie, sam także mu ulegam, że Ameryka — jak każdy kraj — ma bardzo cienką warstwę "prawdziwej" elity, a że cała reszta społeczeństwa żyje na poziomie kulturalnym bohaterów przeciętnych filmów amerykańskich. O elicie pomówimy później, teraz chciałbym zwrócić uwagę na objaw szerokiej konsumpcji przez publiczność ame-

rykańską niektórych dóbr kulturalnych i na jakość tych dóbr. Weźmy na przykład gazetę. Dużo mówi się o ogromnych nakładach prasy brukowej amerykańskiej, ale czy podobnie nie przedstawia się rzecz i w Europie? Czy natomiast dużo jest w Europie krajów, w których poważne pisma codzienne rozchodziłyby się w tak dużych nakładach (myślę nie tylko o cyfrach bezwzględnych, ale o stosunku nakładu do liczby ludności kraju) co w Stanach Zjednoczonych? Twierdzą ponadto z całym przekonaniem, że pisma w rodzaju "New York Times" czy "New York Herald Tribune", czy nawet szereg, nieznanych w Europie, dzienników kanadyjskich, stoi znacznie wyżej od sławetnych dzienników londyńskich, pisanych stylem dworskich komunikatów czy paryskich gazet, utrzymanych w stylu sprawozdań zarządu spółek akcyjnych. Różnica nie leży tylko w lepszym serwisie; jest ona znacznie głębsza i bardziej symptomatyczna. Kiedy znalazłem się na Zachodzie w 1945 r., najbardziej uderzył mnie upadek prasy w porównaniu ze stanem znanym mi przed wojną. Brak odwagi w podejściu do zagadnień społecznych i politycznych zarówno krajowych jak i zagranicznych, zaściankowość czy parafiańskość, to były cechy prasy europejskiej (tej poważnej) w latach powojennych. Być może, że teraz, i pod tym względem, nastąpiła poprawa, nie mogę tego sam sprawdzić. Podejrzewam jednak, że jeżeli tak jest istotnie i np. w odniesieniu do Rosji Sowieckiej wzmocnił się ton prasy francuskiej, to przyczyna leży nie tylko w politycznej ale i materialnej pomocy marshallowskiej. Upadek prasy europejskiej wydaje mi się nie tylko symptomatyczny, ale bardzo niebezpieczny. Mało ludzi czyta znakomite tygodniki angielskie, szwajcarskie, czy nawet francuskie, a prasa tych krajów niewiele pomaga do wzmocnienia pionu czytelników. Oczywiście wiem dobrze co mówi się i pisze o wpływach ciężkiego kapitału itd. na prasę w Ameryce, pomimo to prasa ta daje znacznie obfitszą i smaczniejszą i zdrowszą strawę od prasy europejskiej. Tygodniki (np. "Time"), choć typu bardzo specjalnego, są też na bardzo dobrym poziomie. Zastanawiam się, czy warto o tym wspominać, bo przecież czytają je chyba ci wszyscy, co o Ameryce piszą, myślę jednak, że nie zaszkodzi zastanowić się nad tym, że rozwinięte czytelnictwo dobrej prasy i periodyków nie świadczy źle o stanie przeciętnej kultury danego kraju. Cóż powiedzieć o takich dowodach jak fakt że "A study of history" Toynbee'ego figuruje wśród "bestsellerów" amerykańskich. Czy trzeba fakt ten porównywać z powodzeniem poważnych książek w Polsce przedwrześniowej, czy z reklamowanymi nakładami "Czytelnika"? Gorzej, czy wprost fatalnie przedstawia się w Ameryce (jak to wszyscy dobrze wiedzą, nie tylko w Europie, ale także tutaj) radio i kino. Niektóre programy pozwalają jeszcze zapomnieć o potwornych "commercials" radiowych, ale w Hollywood mało jest sprawiedliwych i dawno już zauważono, że film amerykański daje jak najfatalniejsze pojęcie o tym kraju. Wyolbrzymia luksus i osiągnięcia

materiałne a deprecjonuje prawdziwe wartości narodu. Sądę, że najlepsze pojęcie o każdym narodzie może dać badanie jego elity oraz warstwy średniej, chłopskiej i mieszczańskiej. Jeżeli chodzi o Stany to na pewno w żadnym względzie nie jest reprezentatywnym miastem kosmopolityczny Nowy York. Nie chciałbym pozostawić wrażenia, że ja osobiście poznałem tę "prawdziwą" Amerykę prowincji czy miast uniwersyteckich. Czas już najwyższy podać do wiadomości czytelników tego listu, że piszę go z Kanady. Czuję jednak, że mam prawo pisać o tym temacie, który interesuje mnie od dawna i do którego podchodzę starając się wyżyć takich czy innych uprzedzeń przywiezionych przed półtora rokiem z Europy. Poza tym Kanada jest bardzo kulturalnie zbliżona do Stanów i dla wielu przybyszów stanowi "tylne drzwi" do tego kraju, a wiadomo, że perspektywa schodów kuchennych nie jest najgorszym punktem obserwacji. O elicie amerykańskiej wie się mniej niż o elitach krajów europejskich. Reflektory prasy, kina i radia nie kierują się w stronę uczonych czy pisarzy, lub w wyjątkowych tylko wypadkach. Poważne osoby pielęgnują raczej tradycje angielskie, a zatem unikają rozgłosu i wolą "understatement". Podręczniki historii uczą, że "pilgrim fathers" przywieźli ze sobą nie tylko biblię, ale także Platona, Tacyta i innych klasyków. Trochę może zabawnym wspomnieniem tych pionierskich zainteresowań kulturalnych są nazwy wielu miejscowości w Stanach: Syrakuzy, Cincinnati, Kato itd. Są jednak ślady głębsze; niespodziewanie duża ilość szkół, college'ów i uniwersytetów kładzie nacisk na język łaciński. Zbliżenie się do kół intelektualnych wymaga zawsze wysiłku. Specjalnie trudne jest ono dla imigranta, zwłaszcza gdy znajduje on w danym kraju dużą grupę wcześniejszych imigrantów stanowiących siabo, lub wcale prawie nie zasymilowaną część społeczeństwa. Nie ma co ukrywać, że masowy napływ emigrantów do Ameryki nie tylko opóźnił proces krystalizacyjny powstających tam narodów, ale obniżał poziom kulturalny krajów, które tych emigrantów przyjmowały. Tylko pośrednio należy do tematu mego listu zagadnienie, że imigranci z Europy środkowej czy wschodniej, i — jak dotąd przynajmniej — ich synowie i wnukowie, niczym nie wzbogacili kultury Stanów Zjednoczonych. Wolno przypuszczać, że inaczej będzie w przyszłości kiedy Ameryka wchłonie potomków tych, których nie nędzą ale inne przyczyny zmusiły do wyjazdu na drugą półkulę. Jest bardzo ryzykowne wyrabianie sobie opinii o Ameryce na podstawie znajomości Amerykanów "świeżej daty". Wiadomo z socjologii, że każda grupa, która się asymiluje, ma skłonność do przyjmowania najbardziej powierzchownych, i zwykle najbardziej ujemnych cech narodu absorbującego. Sławetne amerykańskie "wyliczanie" bliźnich na podstawie ich rodzaju pracy czy stopy życiowej jest ulubionym zajęciem przybyłych do Ameryki imigrantów zaliczanych do tzw. inteligencji. Nie spotkałem tego u prawdziwych "tubylców"; być może uprawiają oni tę, w gruncie rzeczy niewinną, choć irytującą

zabawę w sposób bardziej wprawny i dyskretny? Aby zakończyć, oczywiście nie wyczerpać, temat kultury dodam jeszcze, że rozwój jej zarówno wzwyż jak i wszecz jest stwierdzany przez wszystkie nieuprzedzone autorytety. Za ogólny stan tej kultury nie odpowiada nie tylko europejskim "ateńczykom", ale — co ważniejsza — tej kluczowej pozycji jaką w dzisiejszym świecie zajmują Stany Zjednoczone jest problemem, który słusznie interesuje cały świat. Gdyby istniały recepty na szybkie podniesienie kultury, to jestem przekonany, że Amerykanie pierwsi by ją zastosowali. Niestety środków szybkich w tej dziedzinie nie ma i nie będzie. Największą krzywdę, moim zdaniem, wyrządza się Ameryce twierdząc, że w odróżnieniu od europejskiej kultura jej jest materialistyczna a zatem antyhumanistyczna, czyli po prostu jest zaprzeczeniem prawdziwej kultury. Zgoda, że materialistyczne prądy w filozofii, które powstały w Europie, przyjęły się także tutaj, ale nie znaczy to, że przeciętny Amerykanin ma mniej idealizmu od przeciętnego Europejczyka. Różnica leży nie w treści a raczej w formie. W Europie panuje konwencja, którą raczej pochwalam, że o cudzych zarobkach nie pisze się ani nie mówi publicznie. Prasa amerykańska podaje dokładnie, że np. Mr. X, nowo obrany prezes kolei "Oklahoma South Pacific" zarabia 40.000 dolarów rocznie. Może to nawet lepsze od wielu godzin pracy urzędowej, jakie radcowie ministerstw w Warszawie trawili na żmudnych obliczeniach, ile naczelnik Ygrekowski lub dyrektor Iksiński zarabia na dietach i "komisarkach" w państwowych przedsiębiorstwach. Prawda, że dużo robi się tutaj dla reklamy, ale czy dla reklamy ogromne często sumy są ofiarowywane anonimowo z okazji nieustannych zbiorów a raczej subskrypcji publicznych na cele naukowe, kulturalne itd? Co jednak najważniejsze, stosunek Amerykanina do zagadnień wszelkich jest na wskroś ludzki, a zatem typowo humanistyczny. Widać to na każdym kroku poczynając od biur i urzędów, których pracownicy traktują klienta jak czującego człowieka a nie "stronę", "kawałek" czy "petenta". Brak wprawy w myśleniu kategoriami abstrakcyjnymi jest w pewnym sensie słabością Amerykanów, ale czy nie wynagradza im tego braku ludzkie i bezpośrednie podejście do zagadnień? Nie znam innego kraju, w którym tak łatwo jest pociągnąć opinię do akcji pomocy dla **pojedynczego** człowieka, zwłaszcza jeżeli nim jest dziecko, kobieta lub istota bezbronna a nieszczęśliwa. Nie będę przytaczał przykładów takich akcji, które powtarzają się na większą skalę co parę tygodni, kiedy ludzie ofiarowują nie tylko pieniądze, ale czas, własny spokój i okazują wiele serca nieszczęśliwym. Sinclair Lewis utrwalił nam wszystkim wspomnienie "Babbitt'a", trzeba jednak dodać, że setki tysięcy podobnych Babbitt'ów należy dzisiaj do przeróżnych "service club'ów" typu "Rotary", "Kiwanis" itd. A przynależność do takich klubów to nie tylko dowód zamożności i "respectability", ale także obowiązki. Nie mówię o placeniu grubych składek na cele filantropijne, wysłu-

chiwanie speech'ów po obiedzie, ale także usługiwanie starcom lub dzieciom w przytulkach w dzień Bożego Narodzenia i przy innych okazjach. Łatwo śmiać się z tych uśmiechniętych businessmanów przebranych w głupawę czapeczki, ale po namyśle trudno nie zastanowić się nad tym przykładem prawdziwie chrześcijańskiej miłości i pokory. Myślę nieraz co zrobić, aby uwagę tych panów skierować nie na indywidualne przykłady nędzy czy choroby w ich miasteczku czy dzielnicy, ale na cierpienia setek milionów ludzi na świecie. Nie mam na to odpowiedzi. Ale czy wielu z nas w latach 1936 - 1938 sen zakłócała niedola Hiszpanów czy Chińczyków? Czy normalny człowiek może cierpieć za miliony, nawet jeżeli był naocznym świadkiem jak mordowano małe narody? Wierzę, że mimo wszystko, łatwiej poruszyć idealizm "niekulturalnych" mas amerykańskich jak niektórych "patentowanych" humanistów europejskich. Mieliśmy tego liczne przykłady w bardzo niedawnej przeszłości. Zresztą co tu dziwić się sporadycznym wypadkom brutalnych wystąpień młodych GI np. na terenach obozów w Niemczech (co zawsze potępiała głośno opinia amerykańska), jeżeli takich dowodów zdziwienia dostarczyła całemu światu kulturalna Europa.

Przejdę do tematu jeszcze niebezpieczniejszego, bo do spraw politycznych, w których trudniej bodaj o obiektywizm niż w najbardziej nawet spornych sprawach kultury. Ze wewnętrzne stosunki amerykańskie rażą polityków europejskich to jasne. Przykładając do Stanów Zjednoczonych miarę europejską i potrzebę pomocy amerykańskiej dla całego świata doznaje się chwilami uczucia zupełnego zniechęcenia czy nawet rozpacz. Świat trzęsie się w posadach, a kongres traci czas na jałowe dyskusje i rozgrywki pomiędzy partiami, których programy na dobitkę niczym się właściwie nie różnią. Ale odwróćmy rolę i spojrzmy na obecną Europę oczami Amerykanów, czy choćby własnymi oczami, ale z perspektywy drugiego kontynentu. Widzimy, że bezpośrednio zagrożona Europa nie tylko nie jest zdolna do żadnego realnego wysiłku obrony bez pomocy z zewnątrz, (co w dużej mierze można wytłumaczyć jej wyczerpaniem powojennym), ale poza jałowymi lub wyraźnie nieszczerymi deklaracjami nie zdobyła się do tej pory na jeden samodzielny i realny krok do zjednoczenia, które jedynie może ją ocalić. Daj Boże, aby po planie Marshall'a zaczęto realizować rękami amerykańskimi "plan Hoffmana", który groźbami wstrzymania pomocy musi zapędzać europejskich mężów stanu do współpracy. Kto reprezentuje ideę zjednoczenia Europy w tej chwili, czy Mr. Hoffman wiceambasador amerykański, czy Churchill, czy wyrażerowani gracze polityczni typu Edouard Herriot? Tak wygląda już nie myśl polityczna Europy, ale jej instynkt samozachowawczy. Wiem, że polski "wolny i niezależny" emigrant bez niechęci przeczyta te słowa, ale czy publicyści emigracyjni i ich entuzjastyczni czytelnicy, którzy jednym tchem piszą i mówią o Polsce od Odry — Nyssy po Zbrucz

i Druję lepiej służą idei zjednoczenia całej Europy? Pomimo Roosevelta, Stettiniusa i innych, myślę, że niektórzy politycy amerykańscy zasługują, jeżeli nie na wdzięczność (bo tej nie ma podobno nigdy w stosunkach politycznych), to przynajmniej uznanie Europy. Pozostawmy surowe sądy Burnham'owi a sami pomyślmy trochę nad Marshall'em, pamiętnikami Bedell Smith'a itd. Będzie to na pewno zdrowsze i bardziej konstruktywne może dać wyniki jak karkołomne zabawy w "trzecie miejsce" p. Melchiora Wańkiewicza.

Jest jeszcze jeden efektowny chwyt polemiczny, który polega na twierdzeniu, że właściwie bardzo niewiele różni Stany Zjednoczone od Rosji Sowieckiej. Przyznaję, że sam nie raz myślałem przed przyjazdem do Ameryki, że pogląd ten może być słuszny i że znany podziw komunistów dla technicznych osiągnięć amerykańskich może mieć głębsze znaczenie i skutki. Teraz nie widzę żadnego uzasadnienia dla takiego twierdzenia. Że same rozmiary obu krajów i cyfry jego ludności stwarzają pewne cechy wspólne w rodzaju rozmachu w planowaniu gospodarczym, że ogromne przestrzenie mają pewien wpływ na styl życiowy mieszkańców, na pewną "gigantomanię", nie dowodzi wcale, aby kraje te były podobne, lub skazane na podobną ewolucję. Cechy wspólne na pewnych odcinkach mają wszystkie duże kraje a zatem poza Sowietami i USA także Kanada, Brazylia a także Chiny czy Indie, ale czego to dowodzi? Jakbyśmy surowo nie oceniali sławetnej amerykańskiej "way of life" z jej skrajnym indywidualizmem graniczącym niekiedy z anarchią w stosunkach społecznych trudno się w niej dopatrzeć nie tylko podobieństwa do stosunków sowieckich, ale możliwości ewolucji w tym kierunku. Gdzie są punkty styczne pomiędzy na wskroś humanitarnym stosunkiem Amerykanów do zagadnień życiowych z traktowaniem człowieka przez doktrynę i praktykę komunistyczną? Wiem, mówi się oczywiście o standaryzacji typu ludzkiego w Ameryce i o urabianiu "człowieka sowieckiego" w formach komunistycznych. Jeżeli nawet technika amerykańska działa naprawdę tak zupełnie niwelującą na typ psychiczny obywateli US (czego bez wielu poważnych zastrzeżeń nie mogę przyznać), to jakim sposobem model ten urabiany według wręcz przeciwnych ideałów ma być zbliżony do typu sowieckiego? Nie zamierzam pomniejszać niebezpieczeństwa komunizmu dla Stanów Zjednoczonych, niebezpieczeństwa niedocenianego — moim zdaniem — przez wielu czujących nawet na zagrożenie militarne Amerykanów, nie widzę jednak, aby z tytułu swej struktury psychicznej czy społecznej byli Amerykanie bardziej narażeni na to niebezpieczeństwo niż kraje europejskie posiadające proporcjonalnie równie duże ilości ludności miejskiej i robotników fabrycznych. Metody walki ekonomicznej stosowane przez amerykańskie związki zawodowe są w formie najbardziej brutalne, choć co prawda nie wiele lepiej z punktu widzenia konsumenta przedstawiają się trade uniony angielskie czy australijskie. Że proces oczyszczania

nia związków zawodowych z jawnych- i krypto-komunistów nie postępuje tak szybko jakbyśmy tego sobie życzyli to pewne, ale postęp jest niewątpliwy, a zaletą jego, że proces to na prawdę "spontaniczny" jeżeli to słowo nie zostało jeszcze w Europie środkowej wyprane z oryginalnego znaczenia. Myślę, że niektóre krytyki pod adresem tym pochodzą nie tylko z usprawiedliwionego poczucia, że każda chwila droga, i że trzeba się spieszyć z usuwaniem komunistów z wszelkich kluczowych stanowisk, ale także z podświadomej często tęsknoty do "trzymania za mordę". Wprawdzie zręczny wojewódzki szef bezpieczeństwa robił te rzeczy szybciej i zręcznie, ale nie dziwię się Anglosasom, że wolą swoje metody, które wydają się speccom od zagadnień sowieckich naiwne i niezdarne.

Na tym kończę swój list w nadziei, że może skłoni on także innych do zabrania głosu w tej sprawie. Ameryka obejdzie się bez mej obrony, ale zagadnienie jak należy oceniać kulturę, politykę i przyszłość Stanów Zjednoczonych jest, bez żadnej przesady, zbyt ważnym zagadnieniem dla przyszłości świata, aby można go zbywać, choćby najbardziej efektywnymi, ale jednostronnymi krytykami!

Montreal.

Tadeusz SOŁOWIJ.

«The little magazine»

Przed pierwszą wojną światową zaszły w Ameryce dwa znamienne fakty. W roku 1912 wyszedł w Chicago pierwszy numer *Poetry; The Magazine of Verse*. W roku 1913 po raz pierwszy pokazano w Ameryce wystawę malarzy francuskich w Lexington Avenue Armory, w Nowym Jorku. Od tego czasu będzie datować się w Ameryce nowa era.

Po *Poetry* powstaje szereg magazynów, które staną się jedynym środkiem poprzez który nowi autorzy mogą się wypowiedzieć. Są one nierównej wartości, wychodzą nieregularnie, stają się jednodniowymi efemerydami albo niektóre dochodzą matuzalemowych lat, zmieniają założenia, idee, redaktorów, miejsc redagowania. Wyrobiła się forma kwartalnika, o przeciętnym nakładzie 1000 — 2000 egzemplarzy. Formaty tych pism są bardzo różne. Przyjęła się nazwa, charakterystyczna dla tego rodzaju periodyku, «The Little Magazine». Egzystują albo dzięki sztukmistrzostwu ich natchnionych wydawców, albo znajdują zamożnego mecenasa, w którym ktoś potrafił wzbudzić zapal nie z tego świata, albo najczęściej, wchodzą w curriculum ośrodków uniwersyteckich.

O ich zasługach może poświadczyć fakt, teraz po czterdziestu prawie latach ich istnienia, że osiemdziesiąt procent nazwisk we współczesnej literaturze amerykańskiej, nazwisk mogących liczyć na przetrwanie, wywodzi swoje początki właśnie z tych magazynów.

Wymienię tutaj tytuły magazynów już nieistniejących: *Broom* (redaktorzy Kreymborg, Josephson, Cowley), *Chimera, Contact* (redaktor William Carlos Williams), *Coterie, Death* (wyszedł tylko jeden numer, w nim Henry Miller, Fraenkel, Serge), *Decision* (1941 - 1942, redagowany przez Klausa Manna), *The Double-Dealer* (wydawany w Nowym Orleanie, pierwszy z tego rodzaju, redagowany przez Friend'a i McClure), *Dial* (1918 - 1929), *Exile* (1927 - 1928, redaktor Ezra Pound), *Experimental Review* (poezje Durrell i Patchen, między innymi Anais Nin i wyjątki z «Tropic of Capricorn» H. Millera), *Harvard Advocate* (pierwsze poezje T. S. Eliot), *Hound and Horn* (1927 - 1934, redagowany przez Blackmur, Kirsten, Fry), *The Illiterati* (w nim, Patchen, Miller, Savage, Everson, Woodcock), *Instead, Little Review* (1914 - 1928, redagowany przez Margaret Anderson i Jane Heap, utwory Ezry Pound, Eliot, Wyndham Lewis, Burke, Cocteau, Gertrud Stein, Hemingway, Cummings, H. D., «Ulysses» Joyce'a ukazuje się tam po raz pierwszy w komplecie), *Mandrake, Matrix, New Masses, This Quarter* (zaczął wychodzić w 1928, poezje Rilkego, Cummingsa, Kreymborga, Essay Tate o Swiftcie), *Tiger's Eye, Trend, «Transition»* (redagowany przez Eugen Yolas i Eliot Paul, tam po raz pierwszy Joyce'a «Work in Progress» nazwane potem «Finnegans Wake»), *Twice a Year* (redagowany przez Dorothy Norman), *Script, Span, VVV* (wydawany przez E. Teriade), *View* (red. przez Charles Henri Ford), *Voices*.

Istniejące: *Accent, American Letters, American Notes and Queries, American Literature, Approach, Antioch Review, Arizona Quarterly, Books Abroad, Bulletin, Contour, Circle, Decade, Direction, Experiment, Epoch, Factotum, Furioso, Hudson Review, Interim, Intermountain Review of English and Speech, Kenyon Review, Letter, Masses and Mainstream, New Directions, New Mexico Quarterly Review, Nassau Literary Magazine, Neurotica, Portfolio, Perspective, Possibilities, The Pacific Spectator, Partisan Review, Prairie Schooner, Pharos, Quarterly Review of Literature, Retort, Story, Sevanee Review, South-West Review, South Atlantic Quarterly, Touchstone, Transition, Tomorrow, 12-th Street, The University of Kansas City Review, The Virginia Quarterly, Wake, The Western Review, The Yale Review, Yale Literary Magazine, Yale Literary Monthly*.

Ze współczesnych poetów amerykańskich w pierwszym rzędzie wymienię:

T. S. Eliot, który od dawna rezyduje w Anglii i przyjął obywatelstwo brytyjskie. Jego ostatnia sztuka «Coctail Party» idzie

od szeregu miesięcy w jednym z nowojorskich teatrów, snobizm zrobił ją wielkim sukcesem (równocześnie była wystawiona na Festiwalu Edynburskim i teraz idzie także w Londynie).

Ezra Pound, jeden z poetów najbardziej wpływowych na młode pokolenie, zawsze wywołujący kontrowersję, nawet w tej chwili, po cywilnej śmierci, kiedy odgradzony jest od świata żyjących murem zakładu obłąkanych Saint Elisabeth Federal Hospital, eufemistycznego więzienia za zdradę w czasie wojny. Ostatnią kontrowersją-skandalem to nadanie mu nagrody poetyckiej Bollingen Foundation, za «Pisan Cantos», paranoiczny wyskok antysemityzmu.

Z innych to *William Carlos Williams*, «poet's poet», prywatnie lekarz chorób dzieciennych, *Conrad Aiken*, z jego «Bleu Voyage» i «Conversation». *E. E. Cummings*, poza poezją znany z świetnej książki «The Enormous Room» i wspomnień z podróży do Rosji Sowieckiej, w czasie pierwszej pięciolatki, pt. «eimi». Zmarły samobójczą śmiercią poeta *Hart Crane*. *Archibald McLeish*, w roku 1929 dostał nagrodę «Poetry» (John Reed Memorial Prize), jest w tej chwili naczelnym bibliotekarzem największej biblioteki świata, Library of Congress w Waszyngtonie.

Z najmłodszych to *Karl Shapiro* z jego utworem poetyckim «Essay on Rime», oraz *Robert Lowell* z jego zbiorem poetyckim «Lord Weary's Castle».

O tym, że role zaczynają się zamieniać i że Anglia patrzy teraz w stronę literackiego świata amerykańskiego świadczy fakt inny, że poeci angielscy wędrują do Stanów. *W. H. Auden* i *Christopher Isherwood* przyjmują obywatelstwo amerykańskie, a inni jak *Stephen Spender* stale tu rezydują.

Na najnowszej prozie amerykańskiej zaciążyli ogromnie *F. Scott Fitzgerald* i *Ernest Hemingway*. Naturalnie że Hemingway był także pod «wpływaniami» począwszy od Prosper Merimé, Stephen Crane («The Blue Hotel»), Sherwood Anderson, Gertrud Stein (Wyndham Lewis może i słusznie nazwał jego styl «dumb ox style»), ale jest to najlepszy żyjący prozaik amerykański. W tej chwili ukazuje się jego pierwsza powieść po dziesięciu latach, «Across the River and Into the Trees» w odcinkach w żurnalu dla pań «Cosmopolitan». Jak na początek reminiscencje klimatu z «Pożegnania z bronią».

Osobnym talentem jest *Henry Miller*, a jego twórczość to jeden wielki pamiętnik ciągłego okresu dojrzewania tego już sześćdziesięcioletniego debiutanta.

Little Magazines są jednak w pierwszym rzędzie polem do popisów grupy świetnych i wnikliwych krytyków. Spośród nich wymienię: *Edmund Wilson*, *Philip Rahv*, *Clement Greenberg*, *William Phillips*, *Dwight Macdonald*, *Allen Tate*, *Kenneth Burke*, *F. O. Matthiessen* (profesor Harvard, znawca twórczości Henri James'a, lewicowiec, jeden z organizatorów Kongresu

Pokoju w Nowym Jorku, odebrał sobie życie przed paru tygodniami), *Lionel Trilling*, *R. P. Blackmur*, *John Crowe Ranson*, *Huntington Cairns*, *Nicola Chiaromonte*, *James Burnham*.

Z czego żyją autorzy w Ameryce?

W latach 1920 - 1930 żyli jako «exiles», w Europie, dzięki korzystnej wymianie dolara na rozdętą inflacją waluty europejskiej. Nazywali to z cynizmem «pogonią za dolarem».

W latach 1930 - 1940 z WPA (Works Progress Administration), «peryklesowskiego» okresu Roosevelta New Deal'u.

W latach 1942 - 1945 byli we wojsku.

Od 1945 najszcześliwiej, trzymając się ośrodków uniwersyteckich. Poza tym pozostają otwarte inne źródła zarobkowania, które Henry Miller wymienia w swej krótkiej autobiografii, kiedy: zmywał talerze, sprzedawał gazety, był posłańcem, grabieżem, rozklejał afisze, był domokrażczym sprzedawcą książek, pikolakiem, barmanem, bibliotekarzem, pracownikiem Czerwonego Krzyża, agentem ubezpieczeniowym, pracownikiem zakładów oczyszczania miasta, woźnym, sekretarzem pastora ewangelickiego, robotnikiem portowym, konduktorem tramwajowym, instruktorem wychowania fizycznego, rozwodzicielem mleka, itp.

Jak widać z tego, opisane tu pokrótce sprawy, związane z najnowszą literaturą, nie cieszą się zbyt wielkim zainteresowaniem ogółu Ameryki. W proporcji do kontynentu, masy ludności, produkcji, są one niezauważalne i znikome.

Zygmunt HAUPT.

„POLSKA WIERNIA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{re}

C.C.P. 4955-03

Sprawy krajowe

Rozkaz Nr 26

Rokossowski ogłosił z okazji dnia 1-go maja (który to dzień jest obecnie świętem narodowym w Polsce), rozkaz oznaczony cyfrą "26". Rozkaz ten oprócz okolicznościowych frazesów propagandowych przynosi pewne rzeczy charakterystyczne. Określa, jakie zadania ma do wykonania w najbliższym czasie tzw. wojsko polskie. Rokossowski kładzie nacisk na wyszkolenie bojowe w zakresie nowoczesnej broni, na wychowanie polityczne. W zakresie szkolenia kadr podoficerów i oficerów nakazuje stosowanie stalinowskiej nauki wojennej.

Prasa zachodnia — i niestety, częściowo prasa emigracyjna — pisała swego czasu o Żymierskim, jako o tym, który musiał zapłacić swoją karierą próby zachowania niezależności wojska polskiego. Nic bardziej bałamutnego. Właśnie Żymierski przeprowadził reorganizację, a raczej sowietyzację armii w Polsce.

Dziś już dla wszystkich jest jasne, jak ogromną szkodę dla sprawy nie tylko polskiej, ale i wszystkich narodów ujarzmionych przez Sowiety — wyrządzili kapitulanci. Ale, spośród wszystkich rodzajów i gatunków kapitulantów, kapitulanci wojskowi najbardziej zasłużyli się Moskwie. Oni to — panowie Żymierski, Modelski, Mossor, Paszkiewicz i in. — dokumentowali przez kilka lat, że bolszewicy pozwalają Polsce na tworzenie "wojska polskiego" i że to "wojsko" jako instytucja jest kontynuacją Armii Polskiej z okresu niepodległości. Personalnie Żymierski, który zawsze w społeczeństwie polskim "cieszył się opinią szuja" zgrał poza tym w oczach narodu ten wielki autorytet moralny i sympatię, jakie wojsko zawsze posiadało w Polsce, a które specjalnie umocniły się, bez względu na błędy i winy dowódców, po kampanii wrześniowej, długim okresie oporu podziemnego i powstaniu warszawskim. Miarą stosunku społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza resztek polskiego korpusu oficerskiego do Żymierskiego był tragiczny fakt, że nawet przyjsięcie Rokossowskiego było przyjęte w pierwszej chwili, jakby z ulgą.

Właściwa reorganizacja wojska w Polsce rozpoczęła się jeszcze "pod wodzą" Żymierskiego, bo już w roku 1947. Najpierw wprowadzono wychowanie polityczne ściśle według wzoru sowieckie-

go. Przedtem było ono w wojsku polskim stosowane tylko na wyższych szczeblach. Odtąd sieć wychowawców politycznych wspinała się od drużyny do pułku. W zakresie szkolenia politycznego posługiwano się z całą dokładnością regulaminami i zasadami wychowania politycznego armii czerwonej. Po wychowaniu politycznym przyszła kolej na zastosowanie w całej rozciągłości taktyki, sztuki operacyjnej, służby wewnętrznej, a nawet musztry. Jeżeli chodzi o strategię, to, oczywiście od samego początku nikt nie miał wątpliwości, że będzie obowiązywała tylko "stalinowska". Jednocześnie zabrano się do oficerów. Wprawdzie stanowiska wyższych dowódców obsadzano były przez oficerów sowieckich, czyli jak głosi reżimowy termin "radzieckich Polaków", ale wśród kadry oficerskiej i podoficerskiej wielu było takich, którzy nie wzbudzali zaufania, uważani byli za niebezpiecznych.

Czystka była gruntowna. Musieli odejść z wojska wszyscy oficerowie i podoficerowie przedwojenni, oficerowie Armii Krajowej, ci wszyscy, którzy mieli kogokolwiek zagranicą. Na ich miejsce przyszedł nowy narybek wyszkolony już po wojnie, przyszedli oficerowie z byłej Armii Ludowej.

Te porządki personalne przeprowadzał w zakresie swego stanowiska ówczesny szef personalny, generał Stanisław Zawadzki. Stanisław Zawadzki przed wojną był tramwajarzem w Lwowie. Do partii komunistycznej nie należał. Reprezentowała go w niej jego żona, Żydówka, wielce aktywna komunistka. Wykształcenie Stanisława Zawadzkiego ogranicza się do uniwersytetu ludowego TUR. Karierę w wojsku Berlinga rozpoczął od stopnia sierżanta. Po przeprowadzeniu czystki Stanisław Zawadzki odszedł z wojska, bo on sam również nie odpowiadał nowym warunkom i nowym wymaganiom. Pocieszony jednak został stanowiskiem podsekretarza stanu w ministerstwie administracji publicznej. Ostatnio po zlikwidowaniu tego Ministerstwa przeszedł na stanowisko podsekretarza stanu do "ministerstwa" Pracy i Opieki Społecznej.

Oczywiście Zawadzki nie sam dokonywał rug personalnych w wojsku. Wielką rolę odegrał przede wszystkim szef oddziału informacyjnego — Fejgin, który na tym stanowisku cieszy się dużym zaufaniem "radzieckich Polaków".

Czystka była przeprowadzona specjalnie dokładnie w sztabach i służbach, zwłaszcza tak delikatnych i czułych jak służba mobilizacyjna, poborowa, jak oddziały organizacyjne. Osobno należy wspomnieć o całkowitej reorganizacji służby informacyjnej i służby bezpieczeństwa. Pozostawiono wprawdzie jako naczelną organ wojskowy tych służb "Oddział II Sztabu", lecz faktycznie oddział ten z punktu został wyłączony spod kompetencji szefa Sztabu, gen. Korczyca, mimo że ów Korczyk jest również "radzieckim Polakiem". Warszawski "oddział drugi" został zorganizowany jako ekspozytura INU (dyrekcji zagranicznej) Ministerstwa Bezpieczeństwa ZSSR, a ściślej tzw. "Specjalnego Biura Berii" w Moskwie, które to biuro łączy w sobie m. in. INU i EKU (dyrekcję gospodarczą), instytucję o olbrzymim znaczeniu zarówno wewnątrz jak też i na zewnątrz Związku Sowieckiego. W krajach "demokratycznych", jak Polska, ekspozytury INU mają za zadanie zorganizowanie pod płaszczykiem narodowym wywiadu i dywersji wewnętrznej i zewnętrznej, stosownie do wymogów i kwestionariuszy moskiewskich, ekspozytury zaś EKU — pokierowanie całym procesem

sowietyzacji gospodarczej wewnątrz kraju i zorganizowanie gospodarczego szpiegostwa sowieckiego na zewnątrz, w stosunku do "otoczenia kapitalistycznego".

Szefem tak pomyślanego "oddziału drugiego Sztabu" jest gen. dyw. W. Komar, którego prawdziwe nazwisko brzmi jeszcze bardziej plastycznie: Kosoj. Pochodzi on z ghetta żydowskiego na Kresach Wschodnich, Polskę opuścił przed 25 laty, a w czasie wojny w Hiszpanii dowodził... jugosłowiańską brygadą. Czystka dokonana przez Komara przeprowadzona została isticie po — jeżowowsku: po prostu pewnego dnia wszyscy, którzy wzbudzali podejrzenia i wątpliwości polityczne, zniknęli bez wieści i śladu. Jest rzeczą interesującą, że instrukcje sowieckie dla eksponentów "drugiego oddziału", redagowane przez Komara, podpisywał dla nadania im "autorytetu" nie szef sztabu, lecz sam "marszałek" Zymierski.

Przyjście Rokossowskiego o tyle zmieniło ten układ, że organizacja Komara, jak również wszystkie wojska bezpieczeństwa zostały mu podporządkowane.

Gdy Rokossowski został mianowany organizacja wojska w Polsce była już całkowicie oparte na wzorach sowieckich. Wojsko było przy tym już z grubsza oczyszczone z elementów niepożądanych i zostały dokonane małe przesunięcia wśród "radzieckich Polaków" na najwyższych szczeblach. Poza tym, szefem Głównym Zarządu Politycznego, oraz wiceministrem obrony narodowej został Edward Ochab. Niektórzy w fakcie tym, jak również w odejściu generała Wągrzowskiego widzieli tylko zmianę osób na tym samym stanowisku. Tymczasem stanowisko Wągrzowskiego w zakresie wychowania politycznego było bardzo ograniczone. Odpowiadało mniej więcej dawnej organizacji wychowania politycznego w wojsku. Ochab natomiast objął całokształt wychowania politycznego, już zorganizowanego na wzór sowiecki, jak również przejął jako wiceminister pewne inne, istotne działy w ministerstwie obrony narodowej.

Edward Ochab przeszedł gruntowne wyszkolenie polityczne i wojskowe w Rosji Sow. Ukończył tam nawet Polityczną Akademię Wojskową. Umysł to przeciętny — ale właśnie ta przeciętność pomaga mu w karierze. Każda przeciętność jest spokrewniona z fanatyzmem. Ochab jest właśnie takim fanatykiem partyjnym. Jest niewątpliwie człowiekiem zaufania Rokossowskiego.

Wojsko w Polsce jest jedyną dziedziną, na którą partia nie może mieć bezpośredniego wpływu. PZPR jest tu tylko czynnikiem pomocniczym, pośrednim. Kierownictwo spoczywa bezpośrednio w rękach dowództwa armii sowieckiej. Mimo przeprowadzonej czystki i reorganizacji wojsko to jest w dalszym ciągu przedmiotem pilnej obserwacji i ciągłych zmian i doskonalenia.

W chwili obecnej w całej Polsce w szkołach, fabrykach, prowadzona jest agitacja do wstępowania do szkół oficerskich. Pamietny slogan, że "nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera" przestał już być aktualny. Matura, nawet mała matura, jest w dalszym ciągu niepotrzebna, ale chęć szczerą nie wystarczy. Rokossowski poszukuje kandydatów na oficerów wśród chłopów i robotników, ale potrzebuje ludzi pewnych politycznie, takich, za których już nie tylko partia lecz i Bezpieka daje całkowite poręczenie. Okazuje się bowiem, że nawet wśród tego młodego narybku oficerskiego, który napłynął już po wojnie, istnieją pewne niedociągnięcia. Jest to element wprawdzie czy-

sty klasowo, ale niezbyt ugruntowany politycznie. Dlatego po wyjściu ze szkół oficerskich roczników, szkolonych obecnie zostanie przeprowadzona czystka wśród tej wątpliwej kategorii oficerów.

Ostatnio Rokossowski został dokooptowany do Politbiura P. Z. P. R. Jednocześnie rozpoczęła się na wielką skalę zakrojona czystka w całej partii. Czystka skierowana będzie przede wszystkim przeciwko "narodowym" komunistom polskim ("gomuńkowcom") i b. socjalistom. Oficjalna pozycja Rokossowskiego w naczelnych władzach partyjnych w tym właśnie okresie nabiera specjalnego wyrazu. Polska wchodzi w nowy okres sowietyzacji: w bolszewizację partii i wojska. Jeżeli dodamy do tego służbę bezpieczeństwa, wywiad i kontrwywiad, które przez chwilę nawet nie były niczym innym jak ekspozyturą odnośnych organów moskiewskich — obraz stanie się jasny. Rola Rokossowskiego upodobnia się do roli Chruszczewa na Ukrainie. Szukając dalszych analogii można byłoby porównać Bieruta z G. Pietrowskim a Cyrankiewicza z Lubzenko.

Sowietyzacja nauki

Jest rzeczą godną zanotowania i głębszego zastanowienia się jak wszyscy politycy, ekonomiści, pisarze czy działacze, którzy — z tych czy innych względów — poszli na współpracę z rządem warszawskim, przebywając w Polsce, siedząc nieraz b. głęboko czy wysoko w aparacie państwowym, nie są w stanie ani zorientować się w istocie problemu sowietyzacji ani też ocenić jego tempa i postępow. Klasycznym tego przykładem jest chociażby książka p. St. Mikołajczyka, który mimo że był wicepremierem, mimo iż miał przez długi stosunkowo okres czasu dostęp do najistotniejszych zagadnień gospodarczych niewiele ma do powiedzenia, bardzo niewiele z tego co w Polsce się dzieje zrozumiął a szereg spraw jak najfałszywiej ocenił.

Powodów tego "niedowidzania" w zakresie procesów sowietyzacji należy dopatrywać się w dwóch przyczynach: notorycznej nieznajomości przez naszych polityków spraw rosyjskich i sowieckich i w ciągłym, podświadomym czy świadomym, usiłowaniu przedstawiania sobie samym Polski jako podmiotu politycznego, wówczas gdy od roku 1944-45 jest ona wyłącznie obiektem polityki sowieckiej i staje się coraz bardziej integralną częścią Związku Sowieckiego.

Dla zrozumienia więc tego wszystkiego co się dzieje w Polsce, trzeba nieodzownie, w każdym wypadku, uprzytomnić sobie jak i w jakim czasie dane zagadnienie, dana sprawa — zostały rozwiązane przez partię bolszewicką na terenie ZSSR. Od kilku lat bowiem stało się kanonem polityki moskiewskiej, że wzór sowiecki jest obowiązujący dla narodów całego świata i że jedynie tempo i formy przejściowe mogą być różne, zależnie od warunków miejscowych.

Trzeba stwierdzić, że tempo sowietyzacji krajów "demokratycznych" (a w tej liczbie i Polski) jest nieskończenie szybsze

aniżeli to, w jakim się odbywało "budowanie socjalizmu" w samym ZSSR. Jest to zrozumiałe. W ZSSR wypracowywały się wzory. Eksperymentowano. Polityka partii obfitowała w zygaki, skręty, niekiedy nawet długotrwałe odwroty. Sam system, reżim powstawał bądź co bądź w oparciu o realne możliwości, konkretne warunki materialne i duchowe terenu. Stalinizm jest marksizmem w wydaniu rosyjskim, sowietyzacja jest totalnym socjalizmem typowo i wyłącznie rosyjskim. Stalinizm i sowietyzacja w swym pochodzie na zewnątrz Związku Sowieckiego nie liczą się ani z potrzebami ani z warunkami lokalnymi. Sowietyzacja staje się wskutek tego swego rodzaju rusyfikacją. Im więcej na terenie istnieje możliwości rewolucyjnych, im większa jest naturalna potrzeba tej rewolucji, tym bardziej wrogi wydaje się ten kraj Moskwie, tym bezwzględniejszy jest na jego terenie terror.

Jeżeli Moskwa bała się czegokolwiek w Polsce, to nie sanacji, nie endecji, nie "reakcji". Bała się i boi polskiej klasy robotniczej, polskiego chłopca, polskich komunistów, polskiej młodzieży rewolucyjnej. Kapitulanci-socjaliści, kapitulanci-ludowcy, kapitulanci-działacze młodzieżowi oddali Moskwie nieocenioną usługę właśnie przez to, że zamortyzowali opór terenu w okresie najtrudniejszym i najniebezpieczniejszym dla Moskwy.

Najtragiczniejszym błędem polskiej emigracji politycznej jest to państwowo-narodowe ujmowanie zagadnienia walki o niepodległość, to przedstawianie sytuacji w kraju jako zjawisk samych w sobie, które można zatrzymać, zahamować czy odwrócić w drodze takiego czy innego manewru politycznego. I tylko wtedy, gdy zrozumimy sami i gdy zdołamy to wytłumaczyć innym, że to co się dzieje w Polsce, w Czechosłowacji, w Rumunii etc. już dawno stało się żywotną funkcją państwa sowieckiego, że nie ma już ani Polski, ani Czechosłowacji, ani Rumunii i że jest tylko Związek Sowiecki — tak jak nie będzie, jeżeli dalej tak pójdzie, ani Niemiec, ani Francji, ani Belgii, a będzie tylko Związek Sowiecki — dopiero wtedy będziemy mogli przystąpić do jakiejś sensownej akcji politycznej.

Historia sowietyzacji samego Związku Sowieckiego jest wielce skomplikowana. Jeżeli dziś oceniać będziemy retrospektywnie jakie elementy życia dawnego Imperium Rosyjskiego okazały się najbardziej odporne, to musimy stwierdzić, że okazały się nimi pierwiastki duchowe. Nauka i literatura do dziś dnia jeszcze stanowią w ZSSR te dziedziny życia, w których mimo najstraszliwszego terroru dostrzec można tendencje opozycyjne, zarodki buntownicze.

I właśnie z ujarzmieniem nauki, oświaty, kultury i sztuki miała partia najwięcej kłopotu. Poczynając od upaństwowienia szkół (23. IV. 1918 r.) partia prowadzi nieubłaganą walkę o podporządkowanie oświaty i nauki tylko i wyłącznie totalnym interesom państwa. Szkoły sowieckie mają wychowywać i przygotowywać ludzi "którzy są zdolni rozumieć politykę klasy robotniczej, którzy tę politykę bez zastrzeżeń akceptują i wiernie ją realizują" (J. Stalin). Lecz dopiero w 1934 r. partia mogła sobie pozwolić na ostateczne ukonstytuowanie obecnego systemu organizacji oświaty i nauki. Najbardziej charakterystyczną cechą tego systemu jest bezwzględne scentralizowanie szkolnictwa wyższego i wszystkich ośrodków naukowych. Stworzony w tym celu "Komitet do spraw szkół wyższych" (przemianowany obec-

nie na "Ministerstwo szkół wyższych") pominął w praktyce propagandową formułę, że "kultura ma być socjalistyczna w swej treści a narodowa pod względem formy". Nawet "formy" nauczania wyższego są takie same w Taszkencie, Tyflisie, Kijowie jak w Moskwie i Leningradzie. Tak samo jedną, jedyną jest dla całego Związku Sowieckiego Akademia Nauk a w republikach są jedynie jej filie, posłusznie odrabiające narzucony sobie przez centralę ogólnopństwowy plan naukowy. "Nauka musi być partyjna", jak partyjne jest całe olbrzymie państwo.

Skutki tej organizacji i tych zasad uświadomimy sobie, biorąc pod uwagę że ZSSR posiada przeszło 800 wyższych zakładów naukowych, liczących przeszło 700.000 młodzieży, zakładów przyjmujących rocznie około 200.000 nowych słuchaczy.

Rezultat tego jest taki, że pewien "gepista", który znalazł się na Zachodzie tylko dlatego że w międzyczasie zdążył parę lat pracować również dla Gestapo, oświadczył z dumą, opowiadając o urzędzeniach technicznych katowni na Łubiance: "O! dla nas przecież pracuje Akademia Nauk!"

Schemat sowieckiej organizacji nauki w Polsce czy gdzie indziej musi być przeto tak pomyślany by nie tylko upaństwowił naukę i szkolnictwo, lecz by to upaństwowienie było jednym z elementów organicznego wcielania Polski do ZSSR.

I oto zobaczymy co się w tej dziedzinie dzieje, a raczej co dopiero zacząć się zaczyna:

Na jednym z ostatnich posiedzeń "sejm" uchwalił ustawę o powołaniu do życia Ministerstwa szkół wyższych i nauki. Do zakresu zadań tego nowego ministerstwa należeć będzie: organizacja nauki, popieranie badań naukowych oraz upowszechnianie zdobyczy wiedzy, planowanie i organizacja szkół wyższych, sprawy programu nauczania oraz sprawy kadr wykładowców wyższych uczelni. Sprawa nadzoru i zarządu szkołami wyższymi i placówkami naukowo-badawczymi oraz sprawy doboru i przygotowania młodzieży do studiów wyższych. Będzie to więc po prostu organ wykonawczy partii w zakresie nauki. Czynnikiem kierującym będzie po dawnemu Wydział Nauki Komitetu Centralnego PZPR.

Sprawa ta przygotowywana była od dawna. Pierwszy raz znalazła ona rozgłos publiczny w artykule Mariana Rybickiego, pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie. W jednym z jesiennych numerów "Nowych Dróg" Rybicki zaatakował naukę polską za jej reakcyjność i skostniałość. Uniwersytet Jagielloński nazwał siedliskiem zacofania naukowego. Rybicki załamywał przy tym ręce nad stanem zainteresowań młodzieży, studiującej na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Otóż anglistykę na tym Uniwersytecie studiowało w owym czasie 428 słuchaczy, romanistykę 180, germanistykę — 43, a rusycystykę — 9. Co gorsza, w tym samym czasie na wydziale humanistycznym na ogólną ilość 2.768 studentów, zaledwie 8 procent należało do Związku Akademickiego Młodzieży Polskiej, a tylko czterech należało do partii.

Od tego okresu — niestety — dużo się już zmieniło. Punktem wyjścia do reorganizacji była przede wszystkim reforma studiów wyższych. Zastosowana została (czysto sowiecka już) zasada tzw. dwustopniowości, polegająca na tym, że istnieją dwa rodzaje dyplomów. Po trzech latach studiów — dyplom kwali-

fikujący do danego zawodu oraz po dwóch latach dodatkowych studiów — dyplom kwalifikujący do pracy naukowo-badawczej. Zagadnienie studiów wyższych ujęte zostało w formę utylitarną. Rozpatrywana jest w zależności od potrzeb produkcyjnych i państwowych. Stąd szkolenie techniczne uzależnione zostało od czynników gospodarczych, rolne od hodowlanych itp. Nastąpiło faworyzowanie szkolenia technicznego przed humanistycznym. Uczelnia wyższa nazwana została zakładem produkcyjnym, służącym potrzebom przemysłu, gospodarki i propagandy nowego światopoglądu. Wprowadzono do wyższych zakładów naukowych nawet ten sam żargon fabryczny, ten sam styl pracy. Odbywają się więc narady wytwórcze na poszczególnych wydziałach, mówi się o planowości, stosuje się współzawodnictwo pracy między wydziałami i między uczelniami.

W chwili obecnej panuje duże ożywienie wśród naukowców w Polsce. Przygotowują się oni do swego rodzaju generalnej próby, jaką będzie Kongres Nauki, który ma się odbyć w jesieni. W tym celu wyłonione już zostały tzw. grupy problemowe i organizacyjne, które ten Kongres przygotowują. Prof. Piękowski powiedział, że celem tego Kongresu będzie ustalenie wykładników naukowych planu 6-letniego. Zdaniem tegoż profesora ma to być "start na dalekie loty". Zanim ten start do dalekich lotów się rozpocznie, trwa w tej chwili ustalanie zasad którymi mają się kierować w przyszłości poszczególne gałęzie wiedzy zsovietyzowanej.

Przemówienie programowe na temat tych zasad wygłosił w sejmie rektor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, St. Kulczyński. Nazwał on naukę "krwią i sercem ustroju socjalistycznego". "Nasz współczesny światopogląd polityczny — mówił — powołuje się na naukę, jako na najwyższy autorytet swojego spojrzenia na rzeczywistość. Nauka jest najwyższym autorytetem w wyborze naszych metod działania, w sposobie naszego rozumowania, a nawet w sposobie wysławiania naszych myśli". Zdaniem Kulczyńskiego, badacz naukowy jest producentem podobnym do robotnika fabryki obrabiarek, zaś teoria naukowa spełnia tę samą rolę co obrabiarka. "Nauka nie może być apolityczna". "Uczony, który zasłania się apolitycznością, jest albo ukrytym przeciwnikiem ustroju w którym żyje, albo zawodowym kolegą wróżbiarek". W szczególności humanistyka, aby stała się nauką musi być w "kooperacji" z polityką. "Uczony humanista, który odżegnuje się od polityki, przypomina fizyka teoretycznego, który nie interesuje się eksperymentem".

Szkolnictwo, oświata i nauka w Polsce były niewątpliwie jednym z zagadnień, najbardziej potrzebujących reform. I, biorąc rzecz teoretycznie, odnaleźć by można nawet w tym całym galimatiasie wiele posunięć słusznych i usprawiedliwionych. Dwu-stopniowość studiów wydaje się najzupełniej logiczna i uzasadniona. Planowanie i kierowanie sprawami wykształcenia fachowego w zależności od potrzeb gospodarczych jest godne uznania. Ale nowe zasady głoszą również, że nauka nie może być oderwana od systemu politycznego, musi temu systemowi politycznemu służyć. Toteż choć słuszne i uzasadnione są poszczególne reformy szkolnictwa wyższego, choć właściwą może się wydać potrzeba szukania nowych metod badawczych, to jednak w tym sosie bolszewickim wszystko nabiera przerażającego wyrazu pomieszania pojęć, zasad i metod.

Co roku, 5-go maja, w Związku Sowieckim obchodzony jest "dzień prasy". "Prasa jest jedynym narzędziem przy pomocy którego partia codziennie, co godzinę rozmawia z klasą robotniczą we właściwym języku, potrzebnym dla celów partii" (Stalin). Bez najmniejszej ironii, która byłaby tu nie na miejscu, możemy stwierdzić, że istotnie jako "narzędzie partii" prasa w ZSSR ustępuje miejsca tylko "Bezpiecze".

Na terenie Związku Sowieckiego wychodzi ponad 7.700 gazet i 1.400 pism. Jednorazowy nakład gazet wynosi 33,5 milionów egzemplarzy. Od 1918 do 1950 roku wydano na terenie Związku 971 tysięcy książek o ogólnym nakładzie 12,5 miliardów egzemplarzy. Książki w języku rosyjskim stanowią około 80%; tematyka polityczna i społeczna — 50%, zagadnienia gospodarcze, techniczne, matematyczne i przyrodnicze — około 30%. Te cyfry — sądzić należy — wystarczą by scharakteryzować zarówno natężenie jak i kierunek tego "potężnego narzędzia walki o komunizm".

Sowietyzowana Polska musi "nadrobić" pod każdym względem stracony czas. Przeto zamiast jednego "dnia prasy", odbył się w całej Polsce, w pierwszych dniach maja, "tydzień oświaty, książki i prasy". Książce poświęcono w czasie tej imprezy wiele uwagi. Nie był to jednak ten rodzaj zainteresowania, które poświęca się normalnie książce, jako wartości w życiu duchowym człowieka. Cała impreza odbyła się pod znakiem użyteczności książki w dziele sovietyzacji Polski.

Propaganda prowadzona była, przyznać trzeba, w sposób dość umiejętny. Wysuwano jako naczelną transparent sprawę półtora milionowego nakładu "Pana Tadeusza". Ale w sąsiedztwie "Pana Tadeusza" znajduje się "Skrócony kurs historii WKP(b)" wydany w ilości... 1.250.000 egzempl. Dużo się mówiło o przygotowaniu wydania zbiorowych dzieł klasyków polskich, ale jednocześnie rzucono no rynek liczne przekłady pisarzy rosyjskich, a przede wszystkim "stalinowskich laureatów".

Propaganda książki była jednocześnie hasłem nowej polityki wydawniczej. Przede wszystkim przeprowadzona została czystka wśród książek polskich. Mamy właśnie przed sobą jeden z licznych i coraz częściej ukazujących się spisów książek "zakazanych", spisów obowiązujących wszystkie księgarnie, biblioteki i czytelnie. Nawet taki oderwany, liczący dwadzieścia kilka stron spis nie pozbawiony jest wyrazu. Znajdujemy w nim spośród wydawnictw dawniejszych: wszystkie dzieła Józefa Piłsudskiego, M. Bucharina, gen. Składkowskiego, J. Giertycha, F. Goetla, W. Studnickiego, a także... Breszko-Breszkowskiego. Dalej: "Wielki Człowiek" I. Daszyńskiego, Z. Dębickiego ("Miaśteczko" i "Narodziny ideału"), St. Grabskiego ("Rzym czy Moskwa" i in.), W. Grubińskiego ("Lenin"), T. Hołówki ("Przez dwa fronty" i "Kraj czerwonego caratu"), J. Kaden-Bandrowskiego ("Wiosna 1920" i in.), Z. Kossak-Szczuckiej ("Pożoga", "Ku swoim"), M. Lepeckiego ("Sowiecki Kaukaz" i "Legenda Piłsudskiego"), E. Ligockiego ("Nowa legenda", "Noc na Pałatynie", "Gdyby pod Raszynem"), E. Małaczewskiego ("Koi na wzgórzu", "Na dalekiej północy"), C. Malaparte ("Legenda Lenina"), I. Moraczewskiego ("Związki zawodowe wobec przesilenia"), A. Nowaczyńskiego ("Moje przejażdżki po Palestynie"), F. Ossendowskiego ("Lenin", "Przez kraj bogów, ludzi i zwierząt" i in.), S. Piaseckiego ("Piąty etap" i in.), Karola Radka

("Portrety i pamflety" i in.), M. Rodziewiczówny ("Lato leśnych ludzi" i in.), W. Stpczyńskiego ("Cud 1920 r." i in.), M. Wańkowicza ("Opierzona rewolucja", "Strzępy epopei" i in.), W. Wasiutyńskiego ("Naród rządzący" i in.) i wielu innych.

Z bibliotek teatralnych i repertuaru wycofano cały szereg sztuk St. Kiedrzyńskiego i A. Grzymały-Siedleckiego.

Jeszcze bardziej ciekawy jest wykaz książek wycofanych a wydanych już po wojnie (m. in. przez "Czytelnika"). Z literatury powieściowej znajdujemy w nim: J. Dobraczyńskiego ("W rozwalonym domu"), A. Fiedlera ("Dywizjon 303", "Dziękuję ci kapitanie"), Z. Kossak-Szczucką, Minkiewiczą i Brzechwę ("Szopka polityczna"), R. Kiplinga ("Kim" i in.), a z literatury politycznej m. in. J. Cyrankiewicza ("Ze stanowiska socjalisty", "Jednością silni", "Ku nowej Polsce", "Nasza karta dziejowa"), J. Cyrankiewicza i W. Gomułki ("Budujemy wspólny dom"), wszystkie książki i broszury W. Gomułki, a także W. Gomułki - H. Minca "Nasza gospodarka na ziemiach odzyskanych", Jabłońskiego ("Zarys historii PPS"), H. Minca ("Spółdzielczość w walce"), St. Szwalbe ("PPS wobec zagadnień bieżących"), R. Zambrowskiego ("O masową, milionową partię", "W walce o dobrobyt wsi"), J. Borejszy ("A więc wybory"). Wycofane zostało również wydanie "Manifestu komunistycznego" nie według jedynie dozwolonego tłumaczenia moskiewskiego.

Dla całości obrazu dodać należy że okólnik zaleca również wycofanie portretów W. Gomułki i... M. Żymierskiego.

W ciągu "tygodnia prasy i książki" ustalony został plan wydawniczy na rok 1950, który ma uwzględnić w pierwszym rzędzie literaturę polityczną. W tej literaturze politycznej główny nacisk położony zostanie na ten rodzaj wydawnictw, które służyć będą propagandzie aktualnych haseł i zamierzeń w najbliższym okresie. W szerokim zakresie potraktowane zostaną książki, które będą poświęcone sprawom produkcji z uwagi na plan 6-cioletni.

"Literaci i publicyści polscy nie są jeszcze zbyt mocni w tej dziedzinie". Jak głosi oficjalna wersja, "nie nadążyli oni za szybkimi przemianami społecznymi, nie umieją zaspokoić potrzeb czytelniczych" wobec tego przede wszystkim w tym dziale rzuczone zostaną na rynek książki sowieckie.

Nastąpiło ścisłe rozgraniczenie specjalizacji wydawniczej. Wydawnictwo "Książka i Wiedza" ma przodować w literaturze politycznej. "Czytelnik" będzie się specjalizował w literaturze pięknej i naukowej. "Książka i Wiedza" ma wydać w roku 1950 około 20 i pół miliona egzemplarzy.

W tym samym czasie odbył się w Warszawie zjazd korespondentów terenowych, na którym podkreślona została w sposób zupełnie wyraźny zależność prasy reżimowej od prasy sowieckiej.

Na zjazd przybył kierownik działu krajów demokracji ludowej w "Prawdzie", Baranow. Baranow w swym przemówieniu m. in. powiedział: "rząd radziecki i Stalin stale zwracali uwagę na rozwój i rozpowszechnianie prasy w republikach narodowych". Baranow stwierdził tym samym, iż fakt że prasa reżimowa ukazuje się w języku polskim wcale nie dowodzi, że jest prasą polską.

Klub trzeciego miejsca

Prosta odpowiedź

Prosiłem rodzinę w kraju, by zaprenumerowała mi kilka pism tamtejszych, uważając, że nie mam prawa odcinać się od wiadomości o życiu w Polsce. Z prasy emigracyjnej abonuję "Życie", "Kulturę", "Orlą Białego", "Wiadomości", "Lud". Czytam cenniejsze książki emigracyjne i krajowe.

Po co to robię? Dlaczego nie zasklepiam się w spokojnym i wegetatywnym życiu kraju, który mi użyczyl powojennej gościny? Dlaczego nie naśladowuję wielu, dla których ucieczką od koszmarnej przeszłości i niepewnej przyszłości pozostało urządzenie swego "domeczku" i schowanie strwożonej głowy w piasek?

Odpowiedź prosta. Uważam, że obowiązkiem Polaka, który pozostał na emigracji, jest przygotowywanie się do przyszłego POWROTU DO POLSKI. Nie powrotu w charakterze steranej ofiary losu, wyglądającej emerytury i darmowego miejsca w sanatorium. Albo ważnego w swym mniemaniu polityka, polującego na dobrą posadę. Lub wywłaszczonego posiadacza majątku ziemskiego, domu na Wspólnej czy gospodarstwa w Koziej Wólce, którego głównym celem powrotu wydaje się odzyskanie straconej własności.

Przygotowanie się do powrotu do Polski wymaga podwójnego wysiłku: indywidualnego oraz zbiorowego.

Pod wysiłkiem indywidualnym rozumiem dalsze kształcenie charakteru i umysłu, kultywowanie pierwiastka religijnego, doskonalenie posiadanych i nabywanie nowych umiejętności, moralne życie rodzinne, dodatnie oddziaływanie na otoczenie, wreszcie w miarę możliwości gromadzenie dóbr materialnych, mogących się kiedyś przydać zniszczonej Polsce.

Nie wystarczy jednak wysiłek indywidualny. Konieczny jest udział każdego z nas w wysiłku zbiorowym, na który, zdaniem moim, składa się wysiłek grup zorganizowanych, do któ-

rych zaliczam Rząd z Prezydentem i Radą Narodową, partie polityczne i stowarzyszenia.

Postaram się poniżej streścić swe poglądy na owe trzy czynniki życia zbiorowego, mając wrażenie, że pokrywają się one z poglądami większości przeciętnych emigrantów, do których się zaliczam.

RZĄD. — Wiadomości o organizacji i działaniu naszego rządu na emigracji dochodzą do mnie prawie wyłącznie z prasy, która przeważnie ogranicza się do przedruku odezów, oświadczeń i protestów rządowych. Czasami czytam okresowy biuletyn, wydawany przez sekretariat Prez. Rady Ministrów, o treści wybitnie polemicznej. Czy wychodzi jeszcze "Monitor" — nie wiem.

Byłbym szczęśliwy, dowiedziawszy się, że rząd pracuje nad poniższymi zagadnieniami, które dzisiaj wydają mi się jednymi z najważniejszych:

- Federacja środkowo-europejska,**
- Likwidacja sporu polsko-ukraińskiego i polsko-litewskiego,**
- Stosunek do reform rządu warszawskiego,**
- Opracowanie i ogłoszenie nowej ordynacji wyborczej, która będzie obowiązywać natychmiast po powrocie do Polski,**
- Przygotowanie planu włączenia kadr emigracji wojennej i stałej do organizmu uwolnionego kraju,**
- Przygotowanie aparatu propagandy i łączności, gotowego do uruchomienia natychmiast po wybuchu konfliktu lub jeszcze przed wybuchem,**
- Zorganizowanie centralnego biura ewidencji z kartoteką emigrantów,**
- Poczynienie przygotowań do przeniesienia ewent. przeniesienie władz państwowych z terenu Anglii na teren pozaeuropejski.**

Nie mam danych, aby twierdzić, że powyższe zagadnienia, obok innych równie ważnych, nie znajdują się na warsztacie prac rządowych. Pamiętając jednak przedwojenne hasło: silni, zwarci, gotowi — nie przestanę mieć wątpliwości dopóki nie ujrzę dowodów. Na argument "tajemnicy służbowej" już nie jestem podatny.

Zdaje sobie sprawę, że nasz rząd londyński nie jest moznym dysponentem, rozporządzającym wszelkimi środkami władzy. Uważam niemniej, że naszą społeczność emigracyjną stać na wyłonienie zespołu rządowego, zdolnego do rozwiązania lub przynajmniej konkretnej próby rozwiązania wyszczególnionych zagadnień. Członkowie obecnego rządu winni zdawać sobie sprawę z ciężkiej odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa. Odpowiedzialności tej nie mogą dzielić z wyborcami, gdyż przecież nikt na emigracji pośrednio nie wybierał. Gdyby się tak złożyło, że rozpracowanie żywotnych i naglących zagadnień przerasta ich siły, niech lepiej przekazają władzę w prężniejsze i młodsze ręce.

Za ważniejszy niż się dotychczas traktować zwykło czynnik

uważam okresowe i możliwie jak najczęstsze ogłaszanie sprawozdań budżetowych rządu włącznie z jak najbardziej szczegółowymi danymi tyczącymi kosztów utrzymania naszych władz państwowych, które prawdopodobnie będą pokrywane wkrótce przez wpływy ze Skarbu Narodowego. Najdalej posunięta oszczędność w wydatkach personalnych i fachowa kontrola gospodarki nad wpływami ze Skarbu Narodowego przyczynią się do wzmoczenia zbierek.

Radykalnej poprawy wymaga akcja naszego rządu na odcinku propagandowo-informacyjnym, żałośnie kontrastująca z działalnością propagandową rządu warszawskiego. Czy już nie na tym polu nie da się zrobić? Czy nie można by drukować stałej wkładki rządowej w pismach emigracyjnych, podwyższając ewentualnie prenumeratę z zaznaczeniem, że różnica idzie na koszt druku tej wkładki? Czy nie można by uzyskać choć kwadransu stałej audycji rządowej w jednej ze stacji zachodnio-europejskich lub wykorzystać audycje polskie choćby w Montevideo czy Stanach Zjednoczonych? Czy głowa państwa lub rządu nie może za przykładem prezydenta Stanów Zjednoczonych urządzać radiofonizowanych okresowych konferencji prasowych?

Obecny nasz rząd posiada charakter niejako rządu technicznego. Zachodzi pytanie, czy może on jako taki cieszyć się poparciem ogółu emigracyjnego? Uważam, że tak, skoro ogół ten przekona się, że rząd nie stanowi grona przygodnie zebranych urzędników i że potrafi nadać pracy swej rozmach i prężność w przewidywaniu niezwykłych wydarzeń, mogących go zastać w trakcie wykonywania władzy. Skoro ogół ten uwierzy, że żadne pośrednie lub bezpośrednie wpływy angielsko-amerykańskie nie wpływają zakulisowo na posunięcia rządowe. Skoro ogół ten zobaczy, że skład osobowy rządu ulega odmłodnieniu. Taki rząd, choćby nie był powołany przez partie polityczne, będzie w stanie przetrwać wszelkie ataki i przez fakt swego przetrwania oszczędzi nam smutnego widoku naszej emigracji rządzonej przez samozwańcze lub obcoagenturowskie komitety.

Przeniesienie się naszych władz państwowych z terenu Anglii poza Europę (przy równoczesnym uniknięciu sadowienia się w St. Zjedn.) pozwoliłoby im na większą niezależność polityczną i wykluczałoby przeróżne zarzuty i podejrzenia mało krytycznych z natury mas emigracyjnych.

RADA NARODOWA. — Po przeprowadzeniu wyborów, ciało to powinno stać się organem o rozszerzonych atrybutach kontrolnych i częściowo nawet ustawodawczych. W skład Rady winno wejść jak najwięcej członków nowych politycznie, młodych wiekiem. Niech się wyrabiają — Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze nam przyjdzie lat spędzić na obczyźnie. Czcigodni panowie ze starego pokolenia powinni nareszcie pomyśleć o reperowaniu nadwątłego wiekiem i przejściami zdrowia i zwolnić miejsce dla

młodszej generacji, niezaangażowanej dotąd w walkach partyjnych lub politycznych.

Wydaje mi się także, że zarówno w Radzie Narodowej jak i na czołowych stanowiskach w rządzie winno zasiadać jak najmniej wojskowych zawodowych, których kwalifikacje przydadzą się gdzie indziej, a którzy przy najlepszych chęciach nie potrafią zazwyczaj okazać potrzebnej w polityce giętkości, cierpliwości, taktu i opanowania. Rzadkie pod tym względem wyjątki potwierdzają regułę.

PARTIE POLITYCZNE. — Jaka różnica istnieje dziś w ich programach? Jaki ich stosunek do niepodległości Polski? Jaką rolę członków posiadają w stosunku do ogółu emigracji? Jaki jest przeciętny wiek ich członków?

Odpowiedzi na powyższe pytania mogą dać obraz znaczenia partii politycznych w życiu naszej emigracji, której ogół interesuje się życiem partyjnym bardzo słabo. Dla ilustracji przytoczę wyjątek z otrzymanego listu:

“X namówił mnie do zapisania się do partii N. Na walnym zebraniu okazało się, że partia ta składa się z prezesa, X, mnie i jeszcze 2 członków... Postanowiłem wypisać się z partii...”

Działo się to w pewnym mieście Europy zachodniej A.D. 1949.

STOWARZYSZENIA. — Stanowią trzon życia zbiorowego emigracji. Rola ich jest doniosła pod warunkiem odpowiedniego doboru kierowników. Niestety dzisiaj krzewi się tam bujnie kundlizm, jako że stanowiska stowarzyszeniowe zapewniają poważne nieraz korzyści materialne. Na skasowanie tzw. “Działacza Społecznego” jest tylko jedna rada: przeprowadzić zasadę honorowej, bezpłatnej pracy społecznej. Działacze wówczas prędko się wyniosą, na ich miejsce, (natura nie znosi próżni) wejdą nowi ludzie i zmiana ta stowarzyszeniu wyjdzie w rezultacie na dobre.

Uważam, że w zakresie stowarzyszeń pożyteczny jest regionalizm i decentralizacja przy braku nacisku ze strony góry. Wówczas to prawem selekcji dochodzą w terenie do głosu jednostki dzielniejsze, posiadające inicjatywę. Natomiast góra może mieć wiele do powiedzenia przy organizowaniu bardzo pożytecznego i nieraz wprost niezbędnego czynnika informacyjno-koordynacyjnego. Coś w rodzaju oficerów łącznikowych.

Uważam, że wiele racji ma p. Wańkowicz, krytykując szereg przejawów naszego życia na obczyźnie. Miejmy wdzięczność do pisarza, który potrafił odważnie i po męsku otworzyć oczy czytelników na wiele rzeczy, które dźiać się nie powinny. Sądzę jednak, że na tym rola jego powinna się skończyć. Wskazanie nam perspektywy członków Klubu Trzeciego Miejsca wydaje mi się niepotrzebne i w stosunku do niej wyrobionych spośród nas — szkodliwe.

Stefan CZAPLIŃSKI.

Książki

Spacer po domach wydawniczych francuskich

II.

Nie ulega wątpliwości, że życia domów wydawniczych tak jak życia nas, zwykłych śmiertelników i życia otaczających nas przedmiotów, mają swą obrazową plastyczność i swój charakterystyczny ciąg. Są życia spokojne, stateczne, dostojne, pełne drobnomieszczańskiej zapobiegliwości i dumnego przekonania o uczciwie spełnionym obowiązku, są też inne, burzliwe, niepewne, idące skokami genialnej improwizacji, świecące raz blaskiem chwały, a raz pogrążone w cieniu zapomnienia i nagany. Dom wydawniczy **Bernarda Grasset** należy do tej drugiej kategorii.

Bernard Grasset swój dom wydawniczy założył w 1907 roku. Przyjechał do Paryża z Montpellier po świeżo ukończonym uniwersytecie, bez pieniędzy, nie dysponując żadnymi kapitałami, nie znając tutaj prawie nikogo, pełen jednak energii, młodzieńczego zapału, woli stworzenia czegoś, co przejdzie do historii i po nim pozostanie. Nie potrzeba chyba mówić, że początki pracy Grassetta były niezmiernie trudne. **Bernard Grasset** sam robił wszystko. Szukał młodych autorów, kapitałów, biegał po drukarniach, zajmował się kolportażem, sam rozwoził książki do księgarni. Pierwsze też wydane przez niego książki wyszły dzięki dostarczonemu przez autorów funduszm. Lecz wśród nich — czyż nie jest to ciekawe i charakterystyczne — znajdziemy “Les provinciales” **Jean Giraudoux** i **Prousta** (“Du côté de chez Swan”). Pierwszym też sukcesem Grassetta jest właśnie zbiór nowel **Giraudoux** “Les provinciales”. W katalogu wydawniczym z tego okresu znajdują się poza tym pierwsze książki **Mauriaca**, **Fagneta**, teksty **Péguy**.

Wspaniały okres domu wydawniczego **Grassetta** rozpoczyna się w roku 1919 i trwa do wojny 1939. Cała praca i wysiłek **Grassetta** idzie przede wszystkim w kierunku wykrywania młodych talentów, lansowania nieznanymi autorów, pomagania tym, w których twórczość i wartość tej twórczości wierzy. To **Grasset** zapoznaje Francję i właściwie cały świat z utworami **Mauriaca**, **Giraudoux**, **Maurois**, **Montherlant**, **Giono**, **Malraux**, **Guehenno**, to **Grasset** ich odkrywa, lansuje, popularyzuje. Lista tych “odkrytych” talentów przedłuża się i wzbogaca z każdym rokiem nowymi nazwiskami, wśród których widnieją jeszcze takie jak **Marcel Jouhandeau**, **Jacques Chardonne**, **La Varenne**, **Peisson**, **Radiguet**. U **Grassetta** ukazują się też część książek **Cocteau**, między innymi “Les enfants terribles”.

Pelen pomysłów, inicjatywy i energii Grasset w epoce swego największego rozkwitu wprowadza w sferę aktywności wydawniczej dwie innowacje, dotychczas nieznanne zupełnie na francuskim rynku księgarskim, a które przyjęły się później szeroko i stosowane są obecnie przez wszystkich. Pierwsza z tych innowacji — to pomysły reklamowania książki. Przed Grassetem książki we Francji traktowana była jako produkt przeznaczony tylko dla ograniczonych i z konieczności nielicznych sfer intelektualnych. W rezultacie nakłady książek były nie duże, książki do mas nie docierały, były stosunkowo drogie, dla wielu z powodu ceny nieprzystępne. Grasset odwraca problem. Przy pomocy dużej produkcji książki uzyska się jednocześnie i obniżenie jej ceny i zwiększenie kręgu nabywców. Lecz do tego potrzebna jest reklama. Książkę należy reklamować tak jak to robi się z innymi towarami, mydłem, żyletkami, proszkiem do zębów. Grasset pierwszy we Francji wprowadził ogłaszanie w gazetach o ukazujących się książkach, biuletyny wydawnicze, afisze. A za nim poszli wszyscy inni. Dalekie i głębokie konsekwencje tej innowacji umożliwiającej uzyskanie z jednej strony dużych nakładów, a z drugiej wciągnięcie mas do kupowania książek — są chyba tak oczywiste, że nie warto się nad nimi rozwodzić.

Druga nowość — to zainicjowanie podziału produkcji książkowej na serie (to co po francusku nazywa się "collections"), które mają na celu wyodrębnienie typów książek. Wprowadza to nie tylko pewien porządek i logikę w dziedzinie samej produkcji poszczególnych domów wydawniczych, lecz także umożliwia czytelnikom zorientowanie się w charakterze każdego z tych działów oraz stwarza rzesze wiernych, często nawet bardzo licznych abonentów i wielbicieli danej serii. Pomysł ten także zaadoptowany został przez wszystkie domy wydawnicze we Francji.

Z "collections" Grasseta najbardziej znana, ceniona i rozpowszechniona jest seria, nazywająca się "Les cahiers verts", którą prowadzi Daniel Halévy. W serii tej ukazały się utwory podanych powyżej autorów oraz książki takich pisarzy jak bracia Tharaud, André Thérive, André Suarez, Ramuz, popularnego historyka Pierre Gaxotte i wielu innych.

Na zakończenie sprawozdania z tego okresu działalności Grasseta chciałbym wspomnieć jeszcze o pewnej jego ambicji. Była to troska o utrzymanie wydawanych książek na wysokim poziomie jeżeli chodzi o ich szatę zewnętrzną, troska o jakość papieru, druku, o artystycznie rozplanowaną okładkę. Pod tym względem książki jego wyróżniały się.

Wojna 39 roku i okres okupacji niemieckiej wpływa nie tylko na zmniejszenie aktywności Grasseta, lecz jest także przyczyną jego obecnych trudności. Grasset po oswobodzeniu Francji oskarżony został o kolaborację, jego dom wydawniczy przez pewien okres czasu był zamknięty, potem otworzono go, lecz do zeszłego roku był pod kontrolą i w administracji wyznaczonych przez rząd czynników. Proces o kolaborację przeciw samemu Grassetowi miał mieć miejsce w tym miesiącu. W czasie okupacji niemieckiej Grasset drukował książki pisane w duchu propetańskim, wydał wszystkie rzeczy Drieu La Rochelle'a, lecz główny zarzut dotyczy opublikowania książki Wirshinga pt. "Roosevelt et l'Europe", która jest oczywiście ostrym atakiem na Roosevelta. Te zarzuty stawiane Grassetowi wydają się dzisiaj dziwnie anachroniczne i przebrzmiałe. Szczególnie, jeżeli zestawimy je z obecną chociażby prasą amerykańską, która nie szczędzi przecież słów nagany i krytycznych uwag Rooseveltowi.

Od roku dom wydawniczy Grasseta wydobywa się powoli ze stanu przymusowego letargu. Drukuje on obecnie około 7 książek miesięcznie w tym stosunkowo dużo tłumaczeń, między innymi Kafkę, Dos Passosa, Silone, Grace Carlisle itd., oraz powraca znowu do swej troski wykrywania nowych talentów. Takim świeżo wykrytym przez niego młodym autorem jest Hervé Bazin, którego książka pt. "Vi-père au poing" była bestsellerem Grasset'a w zeszłym roku, osiągając około sto tysięcy nakładu. Rekordem zaś Grasset'a na całej prze-

strzeni jego działalności jest wydana w roku 1921 powieść "Maria Chapdelaine" Louis Hémon, która wraz z wydaniem popularnymi doszła do zawrotnej cyfry około półtora miliona sprzedanych egzemplarzy. "Maria Chapdelaine" jest nieco bezbarwnym, monotonnym opisem życia chłopów francuskich w Kanadzie z oddaniem ich obyczajów, języka i sposobu myślenia, a powodzenie jej wytłumaczył chyba tylko można zainteresowaniem i tęsknotą mas francuskich za pewną formą własnego i narodowego egzotyizmu.

Albin Michel jest na mniejszą skalę Gallimardem. Stwierdzam w całym szeregu cech zewnętrznych wiele podobieństwa między tymi dwoma domami wydawniczymi. Te same nowoczesne urządzenia biurowe, ten sam modernizm w przeróbce starego i podniszczonego domu, ta sama troska, rozmach i dokładność w reklamowaniu wydawanych książek, w zaspakajaniu zainteresowań czytelników, w opracowywaniu miesięcznych biuletynów wydawniczych i ulotek reklamowych. Poza tym, w samej już dziedzinie wydawniczej, duża różnorodność i bogactwo seryj.

Dom wydawniczy Albin Michel powstał w 1902. Po śmierci Albin Michela, która miała miejsce w 1943, firmę prowadzi jego zięć Robert Esmenard. Wydawnictwa Albin Michela nie mają osiągnięć spektakularnych. W rozmowie jednak z dyrektorem literackim tego domu p. Sabatier, zdaje sobie sprawę z tego co by można było nazwać cechą charakterystyczną działalności tej firmy. Jest to ambicja ujęcia i opanowania możliwie wszystkich dziedzin i odmian twórczości.

W dziedzinie więc powieściowej mamy u Albin Michel dwie zasadnicze kolekcje — kolekcje powieści autorów francuskich i kolekcje tłumaczeń. W tej pierwszej widnieją utwory takich pisarzy jak Balzac (część), Maupassant, Romain Rolland (Jean Christophe i Colas Breugnon), Pierre Benoit, Roland Dorgelés, Colette (część), Francis Carco, Jean Martet, Van der Meersch, Jean Thibaud, L. Chadourne, Clément Vautel itd. Sześć książek z tej kolekcji uzyskało Prix Goncourt.

W kolekcji zaś tłumaczeń mamy Axel Munthe (Księga San Michela i Hommes et bêtes), A. J. Cronina, Tomasza Manna, Wella, Werfela, Gorkiego, Upton Sinclair, Margaret Kennedy, Stefana Zweiga, Yoland Foldes (La rue du chat qui pêche) itd.

Następne serie obejmują: poezję, teatr, historię, biografie, pamiętniki, dokumenty, podróże i reportaże, politykę, ekonomię, prace naukowe, techniczne, medyczne i dotyczące higieny, dotyczące szkolnictwa i książki dla młodzieży. W każdej z tych dziedzin Albin Michel ma jakiś poważny wkład i zasługi. Zacytuje dla przykładu wydaną pod kierownictwem prof. Laignel-Lavastine ogromne dzieło pt. "L'Histoire Générale de la Médecine", w dziedzinie technicznej zaś "Les notes et formules de l'ingénieur" de Laharpe'a, które rozeszły się na cały świat i są podobno bezkonkurencyjne i wreszcie książki z dziedziny fizyki znakomitego uczonego francuskiego Louis de Broglie takie jak "Matière et Lumière", Continu et discontinu en physique moderne", Physique et microphysique", które są wspaniałymi opracowaniami ostatnich zagadnień fizyki, potraktowanymi przystępnie i popularnie, otwierającymi jednak przed zwykłym śmiertelnikiem głębie wiedzy.

Największym sukcesem Albin Michela jeżeli chodzi o ilość sprzedanych egzemplarzy jest Pierre Benoit "Atlantide" — przeszło 600 tysięcy, sukcesem zaś ostatniego roku jest książka A. J. Cronina "Le destin de Robert Shanon" która w ciągu trzech miesięcy od chwili jej wydania osiągnęła już około stu tysięcy nakładu. Poza tym Albin Michel ma u siebie szereg pisarzy takich jak Francis Carco, Roland Dorgelés, Jean Martet, a przed wszystkim Maxence Van der Meersch (katolicki pisarz o ostrym, brutalnym nawet realizmie) którzy cieszą się ogromnym wzięciem w społeczeństwie francuskim i których każda książka ma zapewniony zbyt i rozchodzi się w poważnych ilościach

("Corps et âmes" Van der Meersch na przykład, osiągnęła aż 370 tysięcy).

Z Polaków Albin Michel wydał Józefa Wittlina "Sól ziemi".

Ostatnio zainteresowania domu wydawniczego Albin Michel skierowały się głównie w stronę zagadnień związanych z Niemcami. Wydał on więc obecnie ostatnią książkę Tomasza Manna "Le docteur Faustus" (wspinały opis życia fikcyjnej postaci kompozytora niemieckiego Adriana Leverkühna zaprzeczającego siebie siłom demonicznym. Mann przeprowadza paralelę między losami Adriana a losami całych współczesnych Niemiec), oraz książki poświęcone teraźniejszemu problemom Niemiec takie jak Alexandre Arnoux "Contacts Allemands", Henri Beer "Allemagne. Le contre et le pour", wreszcie Constantin Grunwalda książka o Bismarku, którego życie i działalność aktualizuje, zestawiając je z wypadkami ostatnich lat.

O działalności domu wydawniczego Stock warto wspomnieć ze względu na jego dwie cechy charakterystyczne. Jedną z nich to rozbudowanie serii pod tytułem "Les livres de nature", w której ukazujące się książki poświęcone są opisom życia zwierząt, owadów, ptaków, roślin i drzew. W kolekcji tej znajdziemy około osiemdziesięciu pozycji interesujących, bogatych, ładnie wydanych.

Drugą specjalnością Stocka — to tłumaczenia z obcych języków. Dziedzina ta stanowi podstawę tego domu wydawniczego i tutaj też Stock położył ogromne zasługi w rozpowszechnianiu i zapoznawaniu publiczności francuskiej z utworami obcych pisarzy. Stock wprowadził do Francji ogromną ilość autorów o sławie międzynarodowej, nauczył społeczeństwo francuskie cenić i smakować w literaturze obcej. Z tej ogromnej listy autorów cudzoziemskich zacytujmy: Maurice Baringa, Vicki Baum, Bjornsona, Louis Bromfielda, Pearl Buck, Gandhiego, Gunnarsona, Keyserlinga, Selmę Lagerlof, D. H. Lawrence'a, Sinclair Lewisa, Katarzynę Mansfield, Charles Morgana, Liam O'Flaherty, Ortegę y Gassetę, Henryka Pontoppidana, E. M. Remarque'a ("Na zachodzie bez zmian"), Sigrid Undset, Berdlaewa, Stefana Zweiga, Virginie Woolf itd. Przeglądając u Stocka jego potężny katalog tłumaczeń z obcych języków wśród których widnieją nazwiska pisarzy niemal wszystkich narodowości świata — szukam oczywiście nazwisk i pozycji polskich. I w końcu, po żmudnym poszukiwaniu odkrywam jedną, jedyną pozycję — Wyspiański. Dlaczego? Dlaczego nie ma nikogo poza Wyspiańskim? A dalej, jakie wnioski z tego smutnego odkrycia należy wyciągnąć i po czyjej stronie leży wina tego braku zainteresowania literaturą polską? Zagadnienia tego w ramach niniejszego sprawozdania ze względów zrozumiałych omówić nie sposób, podaje to jednak do wiadomości czytelników jako rzecz smutną i charakterystyczną jednocześnie.

U Stocka best sellerem jest oczywiście pisarz zagraniczny. Jest nim Louis Bromfield z książką "La mousson", lecz zaraz po nim idzie tomik poezji sentymentalno-cukierkowej "Toi et moi" Geraldy'ego poety francuskiego. Nakład obu tych rzeczy osiągnął prawie 600 tysięcy egzemplarzy. Tego roku dobrze sprzedawaną książką była powieść przetłumaczona z angielskiego przez Roger Martin du Gard pt. "Olivia" napisana przez Olivie (pseudonim).

By chociaż w przybliżeniu powiedzieć czym jest wydawnictwo Presses Universitaires de France (popularnie zwane PUF) należy cofnąć się dosyć daleko w przeszłość. Uniwersytet w Paryżu założony w 1150 był — jak wiadomo — nie tylko korporacją profesorów i studentów, lecz posiadał także w swym łonie liczne grono rzemieślników, kupców, papierników, handlarzy książek i manuskryptów, których zadaniem było dostarczenie studentom potrzebnych do nauki materiałów. Po wynalezieniu drukarni w skład tej korporacji weszli także drukarze. Założona w 1469 pierwsza drukarnia przy Sorbonie prowa-

dzona była przez specjalnie ściągniętych trzech Niemców, z których jeden nazywał się Ulrich Goering. Tu też wydrukowana została pierwsza książka we Francji "Les Epitres" Gasparin de Bergame.

Działalność tego pierwszego domu wydawniczego we Francji przy Uniwersytecie w Sorbonie nie trwała jednak długo. Wkrótce potem zaprzestano całkowicie wydawania książek a pracę tę wznowiono dopiero po przeszło czterech wiekach zupełnej beczynności, w roku 1921. Les Presses Universitaires de France powstała na skutek inicjatywy grupy intelektualistów, głównie profesorów uniwersytetu, są spółką o statucie korporatywnym, to znaczy, że akcjonariusze bez względu na zyski otrzymują tylko pewien ściśle określony procent od kapitału, reszta zaś idzie na opłacenie specjalnie kosztownych wydawnictw naukowych. PUF są dzisiaj ogromną machiną wydawniczą wypuszczającą na rynek księgarski przeciętnie jedną książkę dziennie.

Książki wydawane przez PUF są tylko i wyłącznie pracami naukowymi, podręcznikami szkolnymi i uniwersyteckimi. Poza tym wydają one prace de l'Institut Nationale d'Etudes Démographiques i de l'Institut Nationale de la Statistique et des Etudes Economiques. Wszystkie odmiany nauki i wiedzy są reprezentowane w katalogu wydawniczym PUF, i wyliczenie chociażby poszczególnych działań tych wydawnictw zajęłoby zbyt dużo miejsca. Trzeba więc z tego zrezygnować. Dla przykładu tylko, i by dać jakiś obraz aktywności tego domu wydawniczego, zacytujmy książki, które wydane zostały przez PUF (nie licząc oczywiście przedruków opublikowanych już przedtem rzeczy) w okresie między 1 kwietnia a 30 czerwca 1949 roku: Eugène Dupréel "Sociologie générale", Colanéri et Gérante "La dénonciation et les dénonciateurs" (studium z dziedziny psychologii socjalnej), Claire Lucques "Un problème de l'expression" (essay o źródłach inspiracji), Alexis Moysse "Biologie et Physico-chimie", Robert Blanché "La science physique et la réalité", S. Van Mierlo "La science, la raison et la foi", André Waltz "Essai sur la vie de chacun", Naguib Baladi "Les constantes de la pensée française", Jean Fourastié "Note sur la Philosophie des sciences", Jean Sainte Fare Garnot "La vie religieuse dans l'ancienne Egypte", Gaston Zeller "Les institutions de la France au XVI siècle", Victor Schoolcher "Esclavage et colonisation", Mathis et Pons "Manuel de Pathologie exotique", Maurice Duverger "Manuel de droit constitutionnel et de science politique", Défossé Gaston "La gestion financière des entreprises, théorie et technique", Institut Nat. de la Statistique "Le Canada" i "Des administrations chargées de l'économie dirigée en Grande Bretagne et leur évolution depuis la guerre", Jean Daric "Vieillessement de la population et prolongation de la vie active", Lahy et Pacaud "Mécaniciens et chauffeurs de locomotive", i "Le travail et les techniques". Poza tym w tym samym trymestrze odnajdujemy 57 pozycji w dziedzinie przedruków.

Dla podkreślenia charakteru działalności PUF'u warto wspomnieć o jednej z ich kolekcji. Kolekcja ta nazywa się "Que sais-je?". Książki ukazujące się w tej serii są przystępnymi i popularnymi opracowaniami naukowymi różnych zagadnień interesujących szerokie warstwy społeczeństwa. Seria ta cieszy się dużym powodzeniem. Zacytujmy znowu dla przykładu kilka książek, które ukazały się w tej serii w wyżej podanym trymestrze: Henri Culmann "Les mécanismes économiques", Jean Dauven "Technique du sport", André Getting "La sécurité sociale" Gaston-Martin "La révolution de 1848", Odile Kaltenmark-Ghéquier "La littérature chinoise", Jean Marquiset "Le crime", Georges Castellan "Histoire de l'armée", René Legendre "La découverte des mers", Henri Lefebvre, "Le marxisme". Książki w tej serii są bardzo tanie, zwykle cena ich wynosi 75 fr nie przekracza, zaś 150.

W tego rodzaju domu wydawniczym co PUF trudno bardzo mówić a jakichś spektakularnych nakładach, rekordach w ilości sprzedanych egzemplarzy, best sellerach. Nie mogą jednak zapanować nad ciekawością i zapytuję się nieśmiało dyrektora literackiego PUF'u, z któ-

rym rozmawiam, o najlepiej sprzedaną książkę w tym roku. Dyrektor literacki uśmiecha się. Najlepiej sprzedawana książka w tym roku znajduje się oczywiście w serii "Que sais-je". Nie jest to jednak opracowanie — jakby się to wydawać mogło — poświęcone sportowi, energii atomowej, bombie wodorowej, jakiemuś zagadnieniu politycznemu, faszyzmowi czy komunizmowi, lecz rzecz omawiająca egzystencjalizm. Jest to broszura P. Foulquié pt. "L'existentialisme", która osiągnęła nakład przeszło 30 tysięcy egzemplarzy. Czyż nie jest to zabawne?

Dom wydawniczy Payot, tak jak PUF, główną swą aktywność skierowuje w stronę prac naukowych, dokumentarnych, obejmujących całość prawie wiedzy ludzkiej, pamiętników, wspomnień, dzieł historycznych, geograficznych, socjalnych itd. W swoim czasie Payot wydawał także i powieści, teraz publikuje ich nie więcej niż dwie, trzy rocznie.

Dom wydawniczy Payot założony został w roku 1912 w Paryżu i jest to przedłużenie starego, cieszącego się ogólnym uznaniem domu wydawniczego szwajcarskiego w Lauzannie, powstałego w r. 1835. Na czele firmy paryskiej stoi Gustave Payot, który od 1912 prowadzi ją bezmiennie sam; jest to człowiek zupełnie wyjątkowy, o pasji i zamiłowaniu wydawniczym rzadko spotykanym, o wszechstronnej i zdumiewającej erudycji, znający kilka języków, czytający i oceniający każdą złożoną u niego pracę. Należy on zresztą do rodziny o szerokich zainteresowaniach intelektualnych (trzech jego braci jest także wydawcami w Szwajcarii) a bliskim kuzynem jego jest René Payot znany i ceniony pisarz polityczny i publicysta z "Journal de Genève".

Nic więc dziwnego, że dom wydawniczy znajdujący się pod tego rodzaju kierownictwem ma wyjątkowo bogaty i ciekawy katalog. Oglądam go z prawdziwą przyjemnością. Szczególnie szeroko rozwinięta jest kolekcja poświęcona historii pt. "Bibliothèque historique". Znajdziemy w niej nieprawdopodobnie bogaty materiał, od rzeczy omawiających podbój Kamerunu, wojny jutrańskiej, aż do dzieł poświęconych dynastiom chińskim i panowaniu Dżingis Chana. Jest też wiele autorów rosyjskich i książek poświęconych Rosji, przede wszystkim zaś omawiających okres poprzedzający rewolucję i czasy porowolucyjne. Dla przykładu podam, że u Payot ukazały się wspomnienia Wyrubowej, Wołkowa, Sawinkowa, Sazonowa, pamiętniki Mikołaja II-go, Monasterowa "Histoire de la marine russe", Noskowa "Le mystère de Tannenbergl" itd. Poza tym przebogaty dział książek i dokumentów dotyczących pierwszej wojny światowej.

W innych kolekcjach znaleździemy dzieła dotyczące polityki, geografii, ekonomii, nauk społecznych, prehistorii, antropologii itd. W seriach tych spotkamy nazwiska takich pisarzy i uczonych jak Bertrand Russell, Lombroso, Poincaré, Kreczmar, Herriot, Gilson, Grousset itd. Zaslugująca na uwagę jest też seria pt. "Collection des deux textes". Ukazują się w niej książki w językach oryginalnych (niemieckim, angielskim, włoskim, rosyjskim, greckim, portugalskim, rumuńskim) i obok znajduje się wierne tłumaczenie tekstu w języku francuskim. W kolekcji tej znajdują się dzieła Dickensa, Shakespeare'a, Heinego, Tolstoja, Turgeniewa itd. Jest to ciekawy i pożyteczny pomysł.

Ostatnio zainteresowanie Payot skupia się na książkach, dokumentach i pracach omawiających drugą wojnę światową. Ma on w tej dziedzinie już cały szereg rzeczy niezmiernie ciekawych z których cytuję tylko świeżo opublikowane: Contre-Amiral R. de Belot "La guerre aéronavale dans l'Atlantique, 1939-1945", E. Wiskemann "L'axe Rome - Berlin, histoire des relations entre Hitler et Mussolini (1934 - 1945)", Robert Jars "La campagne de Pologne", Maxime Mourin "Les tentatives de paix dans la seconde guerre mondiale" i "Les complots contre Hitler". W najbliższym czasie ukazać się ma książka gen. Haldera o Hitlerze i ostatniej wojnie.

U Payot ukazała się też książka o świeżym i wzbudzającym zainteresowanie odkryciu biblii kanańskiej, pt. "La bible Cananéenne" H. E. del Medico.

U Payot odnajduję też wreszcie z przyjemnością szereg rzeczy o Polsce, lub pisanych przez Polaków. Mamy więc "Popioły" Żeromskiego, "Chłopów" Reymonta, prof. Zielińskiego "Histoire de la civilisation antique", prof. Sobieskiego "Histoire de Pologne", gen. Sikorskiego "La campagne polono-russe", Mortona "Sobieski, roi de Pologne" itd.

Niezmiernie uprzejma i doskonale zorientowana sekretarka wydawnictw Payot (której nazwiska na jej specjalną prośbę nie wyjawiam, a która u Payot pracuje już od lat trzydziestu) opowiada mi zabawną historię niewinnej — jakby się zdawało — książki autora polskiego Jana Szczepkowskiego pt. "Chasses polonaises". Książka ta wyszła przed ostatnią wojną i Szczepkowski przy opisywaniu polowań w Polsce umiał — jak się okazuje — połączyć ten odległy od wszelkich spraw politycznych temat ze swą nienawiścią do Niemców, której daje wyraz w całym szeregu złośliwych i uszczypliwych aluzji. I dzięki temu książka opisująca polowania stała się w czasie okupacji najnieoczekiwanej w świecie przyczyną szeregu trudności i przykrości, robionych przez Niemców Payotowi.

Jest też rzeczą interesującą, że obecnie Payot otrzymuje sporo zamówień z Polski na wydawane przez siebie książki. Pokazywano mi kilka takich zamówień.

Payot uważam za jedną z najciekawszych firm wydawniczych.

Józef URSYN.

Posiew zdrady

Należy zasygnalizować niezwykle książkę. Dwaj młodzi dziennikarze napisali rzecz o sprawie Hissa. Jest to pierwsza książka o tym największym procesie politycznym Ameryki współczesnej.

Bohaterem książki nie jest bynajmniej Alger Hiss, urzędnik Departamentu Stanu, doradca prezydenta Roosevelta w Jałcie, człowiek, któremu jeszcze na uniwersytecie przepowiadano niezwykle przyszłość — jest nim natomiast Whittaker Chambers, tajny kurier wywiadu sowieckiego i organizator kradzieży dokumentów w Departamencie Stanu, redaktor komunistycznego dziennika "Daily Worker", autor sztuki propagującej bezbożnictwo oraz tłumacz Feliksa Saltensa i Franciszka Werfla, człowiek, który w młodości uciekł z domu, budował drogi i jał się dziesięciu zawodów zanim wstąpił do partii komunistycznej i został współpracownikiem jej podziemnego aparatu.

Whittaker Chambers należy dziś do najpopularniejszych postaci Ameryki. Jest on człowiekiem, który zrezygnował z posady w magazynie "Time", przynoszącej 30 tys. dol. rocznie, czło-

(Seeds of Treason by Ralph Toledano and Victor Lasky, Funk & Wagnalls Comp., New York 1950)

wiekem, który nie wahał się wydać całą swoją przeszłość na pastwę publicznej ciekawości tylko i wyłącznie po to, by zaświadczyć o prawdzie i w ten sposób uchronić kraj w ostatniej chwili od niepowetowanych strat. Jest to w znacznym stopniu jego zasługą, że opinia publiczna Ameryki nie jest już dziś tak nieczuła i obojętna na niebezpieczeństwo infiltracji komunistycznej. Nie było rzeczą łatwą powiedzieć prawdę. Chambers stracił dziesięć lat zanim uzyskał posłuch czynników decydujących. A i wtedy jeszcze głowa administracji, w osobie prezydenta Trumana, nie dawała wiary prawdzie. Prezydent oświadczył przecież, że cała sprawa Hissa jest zwykłym manewrem przedwyborczym ("red herring"). Trudno nie być wstrząśniętym, gdy się w książce Toledano i Lasky'ego czyta raz jeszcze, jak bezpłodne były w roku 1939 próby Chambersa, by przekonać koła kierownicze w Waszyngtonie, że w Departamencie Stanu działa szajka szpiegowska. Franklin Delano Roosevelt, któremu co najmniej trzech albo czterech wysokich urzędników przedkładało rewelacje Chambersa, w ogóle nie chciał ich słuchać. Nie przedsięwzięto oczywiście żadnych kroków, by tę sowiecką komórkę w Departamencie Stanu zlikwidować. Tak więc stało się, że komórka ta przez całą wojnę tkwiła w samym środku amerykańskiej polityki zagranicznej, tak też stało się, że jeden z głównych jej członków, jeżeli nie najważniejszy, Alger Hiss, mógł pojechać z Rooseveltem do Jałty i doradzać mu, by porobił Stalinowi tak nieprawdopodobne koncesje. W uznaniu tych zasług Hiss był następnie mianowany sekretarzem generalnym pierwszej sesji Narodów Zjednoczonych w San Francisco. Stało się to wszystko mimo, że wiele wpływowych osób, między nimi zastępca Sekretarza Stanu, Berle i ambasador William C. Bullitt, znało całą prawdę. Próbowali oni co prawda uświadomić Roosevelta, ale ponieśli sromotną klęskę. Po prostu, prawda była zbyt straszliwa, by mogła być wiarogodna. A przy tym, Roosevelt miał idée fixe w postaci owego "Grand Design", który polegał na przekonaniu, że jego wpływ moralny na Stalina wystarczy, by go skłonić do dotrzymania po wojnie wszystkich zobowiązań, do powstrzymania się od wszelkich aneksji, bezpośrednich czy pośrednich, do niemieszania się w wewnętrzne sprawy innych państw Europy Wschodniej, słowem, że wpływ ten wystarczy, by Stalin wyparł się wszystkiego, co stanowi duszę stalinizmu. Ta wiara Roosevelta, której trzymał się niemal do ostatniej chwili swego życia, nie pozwalała mu tolerować nawet aluzji do faktu, że ten "good old fellow" (to poczciwe chłopisko) Stalin mógłby utrzymywać komórkę szpiegowską w amerykańskim ministerstwie spraw zagranicznych.

"Posiew zdrady" wyjaśnia całkowicie mechanizm sowieckiego aparatu w amerykańskiej administracji. Weźmy przykład. Opowiadawszy, jak to wysoki urzędnik państwowy nazwiskiem Nathan Gregory Silvermaster popadł w podejrzenie, że jest płatnym agentem GPU, autorzy piszą: "Co umożliwiło Silvermaste-

rowi pozostanie na służbie rządowej? Odpowiedź jest bardzo prosta. Miał on przyjaciela w osobie Lauchlina Currie, który był doradcą prezydenta. Currie interweniował na rzecz Silvermastera i namówił kilka wysoko postawionych osobistości, by za Silvermastera ręczyły. Silvermaster nigdy nie był przenoszony ze stanowiska na stanowisko w drodze przewidzianej przez pragmatykę służbową, co naraziłoby go na sprzeciw Civil Service Commission i na wykrycie całej afery. By tego uniknąć, był on poszczególnym urzędem "wypożyczany". Dzięki tej metodzie on i wielu jemu podobnych mogło zmieniać teren działania bez narażenia się na jakiekolwiek śledztwo. Dziesiątki agentów sowieckich zawdzięcza temu prostemu sposobowi swoją długoletnią bezkarność i wolną rękę. Zresztą, prawo amerykańskie (które ma być teraz zmienione) w ogóle zapewnia im bezkarność, bo sprawa szpiegowska uchodzi po trzech latach za przedawnioną. Jak wiadomo, Hiss nie można było skazać za szpiegostwo, ale tylko za krzywoprzysięstwo.

Książka Toledano i Lasky'ego osiąga swój punkt kulminacyjny w znakomitym przedstawieniu przesłuchania Chambersa przez komitet badania działalności antyamerykańskiej i obu procesów Hissa, z których drugi zakończył się skazaniem Hissa na pięć lat więzienia.

"Minęło dokładnie dziewięć lat, odkąd przybyłem do Waszyngtonu i złożyłem władzom szczegółowy raport o wszystkim, co o infiltracji komunistycznej wiedziałem". Tymi słowami rozpoczął Chambers swoje zeznanie 2 sierpnia 1948 r. Po czym powiedział: "Od lat komunizm międzynarodowy, którego integralną częścią jest amerykańska partia komunistyczna, prowadził niewypowiedzianą wojnę przeciwko Republice. Z paktem Hitler-Stalin wojna ta weszła w nowe stadium. Swoją akcją sprawozdawczą w Waszyngtonie uważałem po prostu za akcję wojenną, jak strzelanie do uzbrojonego wroga w bitwie. W tej chwili byłem jednym z niewielu po tej stronie frontu, którzy tę służbę pełnili". Chambers podał następnie powody, które skłoniły go w r. 1925 do wstąpienia do partii komunistycznej i powody, dla których z partią zerwał. Autorzy cytują powiedzenie Chambersa, które jest bardzo charakterystyczne: "Wpływ, jaki komunizm wywiera na swoich zwolenników, a nawet na ludzi, którzy nimi być przestali, jest tak potężny, że ja sam mógłbym być powiedzieć w chwili zrywania z partią: "Wiem, że przechodzę ze strony wygrywającej na przegrywającą, ale wolę zdechnąć po stronie przegrywającej, niż żyć pod komunizmem".

Następują teraz nazwiska głównych funkcjonariuszy podziemnego aparatu sowieckiego w Waszyngtonie: Ware, White Peters, Nathan Witt, John Abt, Lee Pressman i Alger Hiss.

Pierwotne zadanie tej grupy Chambers scharakteryzował tymi słowami: "Głównym zadaniem tej grupy nie było w tym czasie szpiegostwo; pierwotnym jej zadaniem była infiltracja aparatu rządu amerykańskiego. Nielojalność jest zasadą, wyznawaną przez każdego człowieka partii komunistycznej. Par-

tia komunistyczna istnieje przede wszystkim po to, by w właściwym momencie obalić rząd, i to nie przebieając w środkach. Każdy członek podejmuje się tego zadania przez sam fakt przynależności do partii".

Dnia 5 sierpnia przesłuchiowano Hissa. Przeczył wszystkiemu, a w pierwszym rzędzie temu, by kiedykolwiek był komunistą lub sympatykiem partii. Twierdził, że do r. 1947 nie słyszał nawet nazwiska Whittacker Chambersa. Oświadczał, że wszystkie zeznania Chambersa są "sfabrykowane". I dodał: "Sądzę, że moja działalność w rządzie sama mówi za siebie". W tym czasie powszechny nastrój, nawet wśród członków komitetu, był tak przychylny dla Hissa, że z wyjątkiem reprezentanta Nixona, wszyscy członkowie komitetu po pierwszych zeznaniach Hissa ściskali mu dłoń i przepaszali go za przykrość, jaką mu sprawiło przesłuchanie. To się jednak szybko zmieniło. Gdy Hiss 17 sierpnia był konfrontowany z Chambersem i gdy musiał przyznać, że go znał, choć pod innym nazwiskiem, że oddał mu do dyspozycji swoje mieszkanie, a podobno nawet stary samochód, już nikt mu na pożegnanie ręki nie ścisnął. W milczeniu wyszedł ze swoim adwokatem z hotelu Comodore w w Nowym Yorku, gdzie odbyła się konfrontacja.

Od opisu tej decydującej konfrontacji rośnie tempo opowiadania Toledano i Lasky'ego. Zużywszy 208 stron na przedstawienie wypadków poprzedzających konfrontację, autorzy mieszczą resztę, nie wyłączając obu wielkich procesów, na 62 stronach. Jeszcze w pierwszym procesie przysięgli nie mogli uzyskać jednoznaczności, której wymaga amerykańska procedura karna. Ośmiu przysięgłych uznało, że Hissowi udowodniono krzywoprzysięstwo, a więc że jest winny, czterech zaś nie było o jego winie przekonanych. Dlatego w pierwszym procesie Hiss nie mógł być ani skazany ani uniewinniony. Była to niezdecydowana ława przysięgłych "hung jury". Hiss liczył oczywiście na uwolnienie. Rozumiał doskonale, że to co uzyskał, moralnie i publicystycznie już jest wyrokiem skazującym. W drugim procesie Hiss został jednogłośnie uznany winnym. Skazano go na pięć lat więzienia. Zgłosił oczywiście apelację. Nie należy jednak wątpić, że wyrok zostanie zatwierdzony.

Porównywano sprawę Hissa ze sprawą Dreyfusa. Trudno o fałszywszą analogię. Sprawa Hissa jest odwróconą sprawą Dreyfusa. Podczas gdy Dreyfus był człowiekiem całkowicie niewinnym, którego oskarżono o zdradę i skazano na wygnanie, w sprawie Hissa trzeba było latami prowadzić podziemną walkę, by mu winę udowodnić. Jeżeli to się udało, jest to wyłączną zasługą Whittacker Chambersa.

Od sprawy Hissa zaczyna się nowy okres polityki amerykańskiej. Książka poświęcona tej sprawie ma wielkie znaczenie. Powinna być jak najszybciej udostępniona czytelnikowi europejskiemu.

Julius EPSTEIN.

Powieść o proroku-kolaborancie

Niewolnicy panują nad nami, niemasz, kto by nas wybawił z ręki ich.

Treny Jerem. V, 8.

Tak mówi Pan: nie zwódcie dusz waszych mówiąc: zapewne odciągną od nas Chaldejczycy. Boć nie odciągną.

Proroctwo Jerem. XXXVII, 9.

Przeżoż wy nie słuchajcie proroków swoich i wieszczków swoich, ani słów swoich i czarowników swoich, którzy wam powiadają, mówiąc: Nie będziecie służyli królów Babilońskiemu.

Bo wam oni kłamstwo prorokują, abym was oddalił od ziemi waszej, a wygnał was, abyście poginęli.

Proroctwo Jerem. XXVII-9, 10.*)

Doznają ściśnienia serca, kiedy nagle z pocztą pada na biurko książka z Polski, przysłana przez autora, którego się nie zna, albo przez kogoś zgoła obcego.

Pełna dramatu jest powieść biblijna o gołębicy, która, gdy opadały wody potopu, przyniosła różdżkę na znak, że Pan czyni pokój na ziemi.

Alé kiedy potop się zaczynał jakże dramatyczny musiał być przyłot ptaków... coraz ostatniejszych... z zalewanego ładu i bicia ich beznadziejne skrzydłami o arkę, w której już zalokowano bezpiecznie "z bydła według rodzaju jego i z wszelkiej gadziny ziemskiej" (Gen. XX VI. 20), a także ze "zwierząt nieczystych po dwoje, samca i samice", a także z ptaków niebieskich "samca i samice, aby żywe było zachowane nasienie na wszystkiej ziemi" (Gen. VII - 2, 3).

Taka książka bije skrzydłami po moim biurku. Książka Jana Dobraczyńskiego pt. "Wybrańcy Gwiazd"***).

Wziąłem ją do ręki z ociąganiem. Literatura w kraju rzuca się na tematy coraz bardziej odległe — bo im dalej, tym bezpieczniej. Dobraczyński odsadził się aż pół tysiąca lat przed Chrystusem. Nie mam zaufania do książek historycznych sięgających niżej, niż wiek XVI. Nie mam zaufania do ich języka — bohaterowie z czasów piastowskich mówią językiem, w którym namieszano nieco różnych "drzewiej", nieco różnych "nielża" i przykraszono rusycyzmami nieraz o mongolskim źródłosłowie; nie mam zaufania do ich wyglądu — o takim Samozwańcu w trzytomowej powieści Wyrzykowskiego mówi się na każdej stronie, że miał "babską twarz" i ani rusz dalej (choć

*) Cytaty będące mottem tej recenzji, nie są wzięte z omawianej książki.

**) Jan Dobraczyński. *Wybrańcy Gwiazd*. Poznań, Księgarnia Zdziśława Gustowskiego. Okładka Al. Krakowskiego. Str. w formacie 70×100 — 302. Druk ukończono 15 listop. 1949 r. Nakład 6100 egz.

tu już przecie były podobizny do rozporządzenia); nie mam zaufania do ich charakterów, gdzie każdy Winicjusz nie może zniżyć ani rusz bardziej w gąszcz wieków, niż Kmicic, każdy Petroniusz, niż Bogusław Radziwiłł, a każda Ligia niż Helena Kurcewiczówna.

Na historycznej powieści z czasów biblijnych złamać sobie może zęby nawet tęgi talent. idąc z konieczności na łatwiznę Dore'go, którego ilustracje biblii mają tyle do życia Hebrejczyków, ile obrazy sentymentalnego okresu z życiem pasterzy. Zabotyński, umysł niesłychanie wszechstronny, poliglota, kongenialny tłumacz w ośmiu językach, nagle w powieści biblijnej o Samsonie (właśnie sfilmowanej w kolosalnym filmie amerykańskim) daje niesłychanie naiwną ramotę, w której Samson wygłasza tyrady tchnące Mazzinim. Ale Zabotyński był przede wszystkim, politykiem i szło mu o tendencję.

No, a literatura w Polsce musi od tendencji uciekać.

Uszanujmy tę konieczność, zadowolmy się walorami formalnymi.

Jest to pierwsza książka Dobraczyńskiego, jaką czytałem, ale na pewno nie jest ostatnia. Nie znam jego biografii, ale musi pochodzić ze wsi.

"Potarłszy ręką bok konia, stwierdził, że pot wysechł, zbijając sierść w twarde ostre kłaki..."

"Woda cicho chlupała, rozpruwana sterczącym z dna korzeniem..."

To nie są żadne nadzwyczajne rzeczy, ale jest ich mnóstwo. Autor widzi to co pisze, wie o tym. Barany jego "trzępią ciężkimi ogonami, cienkie nóżki owiec sztywno, lecz mocno uderzają w ziemię".

Autor jest dobrze osadzony w przyrodzie (powiedzmy — w przyrodzie, którą zna, bo już niedźwiedziowi niepotrzebnie każe "warczeć"). I autor jest mocno osadzony w języku: "chyry" kudłów, zbcze, pokryte głębokimi "wzarami", "rozkrusz" skalny, dni, które stają się "mechate", "dziaukot" psów itd. — wszystko to wydają mi się słowa niepretensjonalne i precyzyjne trafiające w sensualizm odczuwania językowego czytelnika.

Dobraczyński języka nie pieści. Są autorzy, którzy hodują język jak rasowego psa, którego zamierzają posłać na wystawę. Czeszą go, trefiają, odmierzają mu kalorie i witaminy i cieszą się, kiedy okaz otrzymuje złoty medal. Dobraczyński mi raczej przypomina myśliwca, który poluje z szerszawym legawcem. Jest dla niego szorstki, ale wie, jak go zażyć.

Do pałacu króla Mataniasza, który śpi z nałożnicą wdziera się w nocy bunt wojskowy (w nawiasy wziętem słowa wg. mnie zbędne):

... Ta krowa ciągle spała. Wziął zasłone i delikatnie przykrył kołbęte. Dmuchięciami zgasił lampkę. Pałac napełnił się w tej chwili łomotem i wrawą. Napastnicy musieli wwalić się do środka. Zadygotały schody od ich nóg. Do uszu Mataniasza doszedł szczeł broni i

krótki odgłos walki. Potem ponad zamęt wybił się przeraźliwy krzyk zabijanego człowieka. Wiele nóg z tupotem zbliżało się do drzwi sypialni. Mataniasz odskoczył pod ścianę. Stały tam wielkie skrzynie z odzieżą. Podniósł wieko jednej z nich i wskoczył do środka. Zaledwie się jednak położył na miękkim stosie lnu i wełny, z twarzą przy szparze, uświadomił sobie, że ukrycie jest złe: każdy przecie, kto zechce rabować pałac, przetrząsać będzie skrzynie. Już widział napastników, podbiegających do ściany, odnajdujących go między ubraniami... Dotychczasowe opanowanie opuściło go od razu. Ogarnął go znowu ślepy, dławiący gardło i rozdymający pecherz lęk. Pierwszym pragnieniem było wyskoczyć ze skrzyni, szukać innego ukrycia. Ledwo zmusił się do pozostania na miejscu. Aby opanować się, zacisnął pięści do bólu. Wrzask napastników rozległ się tuż pod drzwiami. Ktoś mocnym szarpnięciem zerwał zasłone. Czerwony blask pochodni zaświecił jaszkrawo w prostokacie drzwi. I nagle na tle tego światła Mataniasz zobaczył człowieka w płaszczu, w hełmie, z mieczem w opuszczonej dłoni. Skurczył się w sobie, zdławił oddech w piersi: poznał Elmadama.

"Przybyły zatrzymał się w drzwiach. Mataniasz widział ostre błyski, ślizgające się po hełmie (tamtego) i zapalające się w szerokiej krótkiej klindze (jego) miecza. Słyszał, jak Elmadam zapytał (kogoś kto stał za nim, a kogo Mataniasz ze swej skrzyni nie widział): „To jest jego sypialnia?” (Widocznie odpowiedź była potakująca, bo Elmadam) lekko pochylony, ruszył naprzód w głąb izby. Światło padało przez drzwi smuga, tworząc niby ścieżkę prowadzącą (prosto) do stojącego w głębi łoża. Nie doszedłszy do niego, znowu się zatrzymał. Stał teraz tak blisko skrzyni, w której leżał Mataniasz, że ten, wyciągnawszy rękę, mógł go chwycić za krótką egipską spódniczkę (lub równie krótki ciemny płaszcz). Pógiłosem zawołał „Mataniaszu!” Czy to zawołanie, czy może ostry blask obudziły wreszcie Melche. Biała, zaplątana w prześcieradła i całkiem nakryta postać podniosła się na łożu. (W tej samej chwili) Elmadam skoczył (niby pantera) naprzód, chwycił dźwigającą się za gardło, powalił (znowu) na łożo. Miecz błysnął w czerwonym blasku bijącym z otwartych drzwi. Mataniasz poczuł okropne omdlenie i nagły skok żołądka. Doszło go chrapanie Melchy i gwałtowne bicie jej nóg o posłanie. Przymknął oczy. Kiedy je otworzył, Elmadam stał o dwa kroki od łoża, patrząc na prawdziwy potop krwi wylewający się na pokrywające ciało prześcieradło. Słychać było, jak ciężka struga leje się na ziemię. Tęga dziewczucha krwawiła obficie niby zabita przed ołtarzem jałówka. Elmadam wolno cofał się ku wyjściu. Mataniasz śledził go na poły ogarnięty grozą, na poły nienawistą. Mignęła błyskawica i w jej blasku mógł dobrze zobaczyć i zapamiętać sobie rysy tamtego człowieka, zastygłe w jakimś otumanieniu."

Fabuła, której służy ten niewyszukany, ale emocjonalny i celny język daje życiorys Jeremiasza. Jest to czas przed pierwszym zburzeniem świątyni, kiedy mała Palestyna jest uwikłana między potęgą Egipcjan i Chaldei (Babilon). Prorok w pierwszej fazie książki, kiedy Egipt nachodzi jego kraj, zyskuje sobie powszechne uwielbienie przez swoje nieprzejednane wrogie stanowisko względem najeźdźcy. Proroctwa jego są "bestsellerni", a Egipt zjeje nań pomstą i "odmawia wizy".

Kiedy Chaldejczycy pogromili Egipcjan, Jeremiasz mierzy ich potęgę, ocenia jej moc, ale i jej krótkotrwałość, ma wizję wyścigu czasu: czy prędzej rozleci się potęga chaldejska, nim zdąży wykorzenić jego naród z oblicza ziemi? Robi wszystko co może, aby ten czas przeciągnąć, nawołuje do lojalności wobec Nabuchodonozora. Opętane deklamatorstwo i nie liczenie się z rzeczywistością idzie za fałszywymi prorokami, których galeria przewija się przed czytelnikiem. Są to opętanci, głup-

ki, albo karierowicze, ludzie rozbieżni, których łączy "wishful-thinking". Jeremiasz jest obrzucany przez patriotyczną gawiedź błotem, poniewierany, więziony.

Autor, jak należało przypuszczać, nie uchronił się od anachronizmów. Anachronizm, jest to przenoszenie swego stanu duchowego na osobistość i zdarzenia epoki na tyle odległej, że brak nam dla niej psychologicznych sprawdzianów. Dyskusja na ten temat byłaby zbyt dęta, bo recenzent w tymże samym stopniu, co autor nie posiada tych sprawdzianów. Może tylko stwierdzić, że w dziedzinie bardziej namacalnej — faktów materialnych, książka Dobraczyńskiego, jak wszystkie książki z wczesnej historii ludzkości, rozgrzesza się na używanie dowolności, które by nie uszły uwadze czytelnika przy temacie mu bliższym.

Bohaterowie powieści co rusz, to pożyczają sobie po kilka talentów (str. 42). Talent — jest to cała fortuna. Zawiera 57 funtów srebra i dlatego jest monetą raczej teoretyczną; obiegową monetą jest drachma; dopiero sto drachm stanowi minę, a 60 min — talent. Talent nie zdeprecjonował się wiele i w trzysta lat po wypadkach opisywanych przez autora, ważąc za czasów Machabeuszów czternaście funtów z czymś. A tu tymczasem dwaj gentlemani spotykają się przy straganie, jeden z nich nie ma pieniędzy, wobec czego "Joel sięgnął woreczka u pasa i pożyczył Elmadamowi dwa talenty" (str. 39). Z kolei Elmadam rzuca sykla jako napiwek stróżowi przy studni za wyciągnięcia wiadra wody. Jeśli zważymy, że Michas nęcił Lewitę (Jud. XVII. 10), obiecując mu za całoroczną pracę dziesięć sykli (srebrników) i utrzymanie, rozumiemy, że za Judaszowe trzydzieści srebrników mogła być kupiona rola pod samym miastem. Srebrnik był tak dużą monetą, że danina na świątynię zwykle wynosi pół srebrnika.

Tak z tymi monetami jest kłopot. Nie dziwota, że Parnicki zasypywał przyjaciół listami, co była warta rynkowo sestercja.

Z odległościami podawanymi w książce również trudno się zgodzić. Kupiec z Megiddo, dając zakochanemu młodzieńcowi ściętego rumaka, pociesza go, że przestrzeń do Jerozolimy i z powrotem zrobi w sześć dni. Ja tę drogę zrobiłem w półtorej godziny, wprawdzie samochodem, ale licząc, że w obie strony nie ma więcej, niż 50 mil, trzeba przyznać, że zakochany nie leciałby na skrzydłach. Bo przecież starymu Jeremiaszowi, dyrdającemu z Jerozolimy na piechty nad jezioro Kinnereth (Tyberiadzkie), a więc o wiele dalej, niż do Megiddo, każe autor stanąć u celu na trzeci dzień.

Podejrzewamy, że im wyżej w sferę faktów mniej materialnych, a więcej psychiczno-moralnych, tym takich nieścisłości musi być więcej. Bogaty kupiec z Megiddo chwali się, że zrobił wielki majątek na handlu zamorskim. Wierzmy jego przechwałkom, bo Megiddo jest przedślonkiem Tyru, leżąc na wielkim przedhistorycznym szlaku karawan Damaszek — Bagdad i wiemy, że już na pół tysiąca lat przedtem przez Tyr otwo-

rzyła się droga wodna w świat, że niesłychane bogactwa króla Salomona powstały nie na wyciskaniu danin z pastuchów, tylko na intratnej spółce handlu złotem z królem Tyru Hiramem, na eksploataowaniu kopalń w Ophir (bodaj, że to aż we współczesnym Zanzibarze), na kombinacjach handlowych z królową Sabą (Abisynia). I nagle bogacz z Megiddo, importujący rumaki z Egiptu, wino z doliny Sorek, przystrajający ukochaną jedynaczkę w sznury pereł, zachwala ją przyszłemu mężowi, że umie obrządzać wielbłądy. Coś tu zanadto pachnie Labanem sprzed tysiąca lat.

Królowa Nohesta ma przetknięte złote kółko w nosie. Malarz Abel, hebrajski Dore, którego obrazy biblijne ukazują nam biblijne niewiasty nie w hieratycznych szatach, tylko jako seksapilowate szelmutki wymyślnie i perwersyjnie ubrane, pokazywał mi swoje zbiory — nigdzie nie znalazłem kółka w nosie.

Dziedziec rodu Dawidowego jest żonaty z Filistynką. Zdarzają się skandale w najlepszej rodzinie, ale to byłby skandal na całe pismo święte. Filistynami się obrzydzano, gardzono nimi, pomstował na nich i Amos i Izajasz i wszyscy prorocy po kolei. Jeśli były przejściowe okresy pozornego godzenia się, to nie w tych właśnie czasach Jeremiasza, który na Filistynów również srogo piorunował i wzywał na nich pomsty Bożej (XLVII. 4).

Chleby "pokładne" — dwanaście bochenków leżących w świątyni jako ofiara na stole obitym złotymi blachami, są przedmiotem kultu. Pismo święte zalicza je do "rzeczy najświętszych i poświęconych" (Lev. XXI, 22). Tymczasem Jeremiasz, który jest nieubłaganym rytualistą i gromi naruszanie sabbatu, bierze chleb pokładny "pod pachę" i idzie nakarmić Barucha. A przecie jakież piekło powstało, kiedy w czasie obłędzenia Jerozolimy przez Tytusa, bezbożni "szkari", szturmowcy, ginąc z głodu, te chleby pozjadali. O ile wiem, przez dwa tysiące lat nie ma ani jednego żydowskiego komentarla, który by ten postępek rozgrzeszał.

Słowo Jehowa (Jahwe) było słowem świętym, nie mogli go wymawiać nawet kapłani. Jako substytut mówiono o Bogu — Pan, zastępowano jego imię określnikami: Wszchemocny, Nieogarnięty, Najwyższy, w ostateczności używano formy Adonai, Elohim. Czasem pozwalano sobie na słówko umowne: "Jah". Bóg tego bardzo przestrzegał i pouczał Mojżesza, że nawet klejdy pojawiał się Abrahamowi, Izaakowi i Jakubowi, określał siebie jako Bóg Wszchemogący, ale właściwego miana swego nie zdradził (Ex. VI, 3). Raz tylko do roku, kiedy arcykapłan wchodził za zasłonę do Arki Przymierza i ponownie ukazywał się z za zasłony "padało to straszliwe słowo, a czterdzieści tysięcy ludu rzucało się na kamienne flizy posadzki" (cytuje z pamięci z Flawiusza).

Tymczasem "per Jehowa" u Dobraczyńskiego klnie szewcom, wymyślając mężowi (str. 178), królowa, pomstując na przeciwników (str. 80), słowem tym przerzuca się tłum (151), to słowo wykrzykuje bogobojny Daniel, ucieszony spotkaniem na dro-

dze (str. 146), bohaterzy powieści używają tego słowa lekko, łatwo, jak Francuzi jakiegoś "parbleu".

Bazowanie fabuły na źródłach legendarnych doprowadza autorów, którzy usiłują pisać w sposób realistyczny do śmieszności. Wyobraźmy sobie, że ktoś zechce napisać sensowną psychologiczną powieść o Herkulesie i będzie starał się uzasadnić sensownie któryś z jego wyczynów. Jakichże ekiwoków dokonuje Żabotyński, żeby wytłumaczyć, że Samson mógł wyłamać wrota w murach Gazy. Dobraczyńskiemu, mimo, że z wielką plastyką opisuje mocowanie się Jeremiasza z lwem, nie udaje się nas przekonać, że "w końcu człowiek rozdarł paszczę lwa, zgniół mu kolanami żebra". Tak samo trudno nam uwierzyć, żeby prok mógł "porwać zmięć za ogon".

Te rzeczy są przytoczone tylko jako przykład tego jak trudno jest pisać powieść z tak odległej epoki. Aby uratować sens, a nie zmylić szczegółów niektórzy, jak Furchtwanger, po prostu unowocześniają terminologię, nazywając beluardy artylerią, a centurionów rotmistrzami. Nie wiem, czy takie granie Hamleta we frakach jest słuszne.

Dlatego — dajmy prawo życia powieści z czasów zamierchłych. Tą metodą krytyki, jaką zastosował T. Siuta do "Faraona", a której też dałem małą próbkę w tej recenzji, można zabić każdą bez wyjątku powieść historyczną. Pozwólmy jej być tylko tym, czym być może: kanwą dla sztuki, albo kanwą dla myśli przewodniej.

G. Hanottau twierdzi, że Jeremiasz był nie tylko prorokiem, ale i politykiem. "Zrozumiał efemeryczność Chaldei i to "zacydowało o jego postawie".

To nam wystarczy.

Melchior WANKOWICZ.

P O L S K A
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE
SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
 w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Doświadczenia węgierskiego Mikołajczyka

Książka Imrego Kovacsza przeczytałem bardzo szybko, prawie nie przerywając lektury, z tym samym podnieceniem, z jakim były więzień, od lat na wolności, przebiega swoją dawną cełą, przypominając sobie wszystkie szczegóły prawie zapomnianego uwięzienia. Skutek był taki, że po nocy zaczęły mnie nawiedzać dawno zapomniane koszmary, które potem w ciągu dnia, jeszcze potęgowały nastrój wywołany książką. Przy ostatnich jej stronach byłam znowu doskonale wytresowana, jak ten pies Pawłowa: kroki na schodach przerażały mnie, silniejsze pukanie do drzwi dosłownie mną wstrząsało, a podniesione głosy na ulicy jeżyły mi włosy na głowie. Wszystko to po prawie czteroletnim pobycie na Zachodzie. Tak silna i doskonała jest tresura ludzi, oparta na naukowych zasadach odruchów warunkowych.

Książka Imrego Kovacsza należy do tego nowego rodzaju literatury, który jest skrzyżowaniem pamiętnika z reportażem. Autor, pisarz i dziennikarz pochodzenia chłopskiego, należy do czołowych działaczy Paraszt Part (węgierskiej, lewicowej partii chłopskiej), która miała zabarwienie jednocześnie antysemityczne i antinazistowskie i która wiele sobie obiecywała w razie, gdyby Rosjanie mieli zająć Węgry, licząc na ścisłą współpracę z nimi. W tym wypadku wszystkie lewicowe partie węgierskie (a nawet komunistyczne) miały straszny pecha: czerwoną rewolucję Beli Kuna w 1919 roku, zgniecioną bezwzględnie przez Horthy'ego, co spowodowało masową ucieczkę niedobitków do Rosji. Co prawda sam wódz, Bela Kun, osiągnął tam normalny szczyt sowieckiej kariery urzędniczej, czyli został zlikwidowany, ale za to jego bardziej przewidujący koledzy otrzymali staranne wychowanie i po zajęciu Węgier, Rosjanie nie potrzebowali się już wcale liczyć z miejscowymi siłami, przywożąc z sobą gotowe już węgierskie kadry urzędnicze, którymi z czasem obsadziły wszystkie ważniejsze stanowiska w tym kraju. Takiej niesprawiedliwości nikt się oczywiście nie spodziewał i w książce Kovacsza wiele miejsca zajmuje opis, jak autor, w charakterze własnie działacza lewicowej Partii Chłopskiej, został wydelegowany, jeszcze przed zajęciem Budapesztu przez Czerwoną Armię, do marszałka Malinowskiego w celu omówienia przyszłej owocnej współpracy. Do marszałka nie dotarł nigdy, a jak się skończyła owocna współpraca wiadomo, nawet nie czytając "Z jednej okupacji w drugą".

Kovacs dokładnie opisuje historię Węgier mniej więcej od 19-go marca 1944 roku (data zajęcia kraju przez armię Hitlera)

IRME KOVACS: *D'une Occupation à L'autre*, Calmann-Lévy, 1940.

aż do ostatnich czasów, szczególnie dokładnie opisując okupację sowiecką. Przez cały ten okres czasu opozycja nazistowska na Węgrzech wydaje się zaskakiwana wypadkami i zupełnie nieprzygotowana do spełnienia swego zadania. Polskiego czytelnika, wychowanego w tradycji konspiracji, przede wszystkim uderza dyktando jej poczyniła w dzikim, nieznanym i niezrozumiałym dla nich świecie, w którym się Węgrzy nagle znaleźli.

Imre Kovacs jest przeciętnym Węgrem, czyli Europejczykiem. Jego poglądy, jego stanowisko i jego reakcje są typowe dla Zachodu, tak samo, jak typowe dla Zachodu jest zakończenie książki, której synteza zawiera się w hasle: *Wiejmy, bracia, póki co.*

Nastrój książki będzie prawdopodobnie doskonale rozumiany w dzisiejszej Europie, ale Polak, czytając ją, uśmiecha się czasem. Jesteśmy znacznie twardsi, choć inna sprawa, czy się nam to na coś przyda. Rosjanie są Azjatami, inni nasi sąsiedzi: Węgrzy, Słowacy, Czesi i Niemcy — Europejczykami. A Polacy są Polakami.

Jakże się nie uśmiechnąć, czytając na stronie 191: "la capitale hongroise fut le théâtre du plus grand siège de la guerre" (stolica Węgier przeszła największe oblężenie tej wojny). Trzeba było tylko zobaczyć po tej wojnie Warszawę i Budapeszt, to znaczy właściwie tylko Budapeszt, bo Warszawa, jako miasto, po tej wojnie nie istniała. W innym miejscu, na stronie 121, autor pisze o masowym gwałceniu Węgiek przez oficerów i żołnierzy sowieckiej armii: "Les maris, le frères, les pères durent assister impuissants à ces scènes effroyables. Si l'un d'eux se hasardait à dire un seul mot, les Russes lui reponaient à coups de mitraillettes où (druga ewentualność, również nie do zniesienia; przypisek mój) l'envoyaient aussitôt trainer des canons, transporter des munitions ou enterrer les morts" (mężowie, bracia i ojcowie musieli asystować przy tych straszliwych scenach zupełnie bezsilni. Gdyby który z nich ośmielił się powiedzieć słowo, Rosjanie odpowiedzieliby strzałami z automatów, lub posłaliby go zaraz do ciągnięcia armat, noszenia amunicji, czy grzebania trupów). Już lepiej spokojnie asystować przy gwałceniu córki, czy narzeczonej, niż narazić się na śmierć niepotrzebnie, czy też również niepotrzebnie na grzebanie trupów i noszenie amunicji. Jest to bardzo zachodnio-europejska reakcja; polskie stanowisko w takich wypadkach jest odmienne: jeżeli już kobieta musi być zgwałcona i nie ma na to rady, to scena ta rozegra się w końcu w wieńcu trupów polskich mężczyzn. Problem, czyj system lepszy, nie będzie tu roztrząsany. Chodzi mi tylko o podkreślenie zasadniczej różnicy między nami, a dzisiejszym Zachodem. To, że wymyślił się słowo "czechizacja" i że tak bardzo tej "czechizacji" pragniemy się nauczyć, jest wprost wrzeszczące i najlepiej świadczy o naszej odrębności, jeżeli chodzi o pojmowanie zjawisk. Wątpię, czy kiedykolwiek inny naród musiał dla siebie wymyślać podobne reakcje, by się ratować.

Ale Węgry są krajem europejskim: to co dla nas jest od lat chlebem powszednim, dla Węgrów — jedyną w dziejach katastrofą. Głód, chłód, brak szpitali, szpicle na piętach, gwałty, tajne policje, niesprawiedliwość, grabież, kłamstwo i bezlitosna przemoc, były to dla Węgrów-Europejczyków rzeczy niesłychane i musieli głęboko sięgać w swoją historię, aż do okupacji tureckiej, by choć w części pojąć, co się dzieje. Trzeba ich też było widzieć w owych czasach, jak byli zdumieni i oszołomieni najpierw, a potem przerażeni.

Spędziłam lata 1939 - 1946 na Węgrzech. Imre Kovacs napisał nie tylko bardzo zajmującą książkę, ale, co ważniejsze, książkę prawdziwą: wszystko, co pisze o swoim kraju, o jego sprawach i ludziach jest prawdą, włącznie z tym, że do samego gorkiego końca, żaden Węgier nie był wprost, w stanie uwierzyć w prawdziwe oblicze Niemiec i Rosji. Ale: trudno jest żyć nieprzyzwyczajonemu, jak mawiał śp. Stanisław I. Witkiewicz.

Na Zachodzie Kovacsza powinni czytać nie tylko wrogowie, ale i sympatycy komunizmu. Pierwsi, dlatego, że nawet znając wszystkich Krawczyneków na pamięć, jak pastor swoją Biblię, przecież jeszcze ciągle nie wiedzą z kim walczą. Ich wyobraźnia jest niezdolna uzmysłwić sobie spraw, które nie mają żadnego odpowiednika w ich doświadczeniach, ani w doświadczeniach ich przodków; słyszy się często ich naiwne porównania z wojnami religijnymi, lub z Wielką Inkwizycją. Powinni się przyzwyczaić do myśli, że żadne mądrzenie się, ani żadne kombinowanie nic tu nie pomoże. Trzeba się przygotować na to, że to, co na nas idzie, z niczym, co było, porównać się nie da. Ci, co "widzieli", wiedzą o tym.

Tak samo ci drudzy, sympatycy lenino-stalinizmu, komuniści salonowi i tzw. "towarzysze podróży" nie mają pojęcia o czym mówią, ani komu służą i rosyjska okupacja będzie dla nich taką samą tragedią straszliwą i niezrozumiałą, jak dla zażartych burżujów. Tak jedni, jak i drudzy żyli od pokoleń, jak u Pana Boga za piecem i będą dzięki temu obojętni jednym machnięciem sowieckiej łapy. Jest tak olbrzymia różnica, prawie przepaść, między tymi, co "widzieli", a tymi, co nie "widzieli", że jedno z końcowych zdań książki Kovacsza: "A mon avis rien ne vaut une conviction nourrie par l'expérience personnelle" (nic nie jest w stanie dorównać przekonaniu, które jest oparte na własnym doświadczeniu) zawiera głęboką i zarazem tragiczną mądrość.

Jakże boleśnie uczyli się tego wszystkiego nieprzygotowani Węgrzy! Przed samą okupacją sowiecką było dla nich jakoś bardziej zrozumiałe, że Polska, Jugosławia, czy Rumunia tak cierpią pod Rosjanami; te kraje nie były dla nich "prawdziwą" Europą i liczni uchodźcy-Polacy bez końca słyszeli ich uwagi: "u was, co innego; zawsze były gwałty, kozacy, nahażki i jakieś tam Ochrany, ale my? my tego nie zniesiemy, my jesteśmy Zachodem, z nami tak się nie uda..." No i proszę... Skutek taki, że dobrze zorganizować na Węgrzech ruch podziemny jest nie-

zmiernie trudno. Co innego bowiem sporadyczne ruchy wojskowe podczas wojny, prowadzone przez zawodowych, zaprzysiężonych oficerów-spiskowców, a co innego krecia, cicho-ciemna praca tysięcy cywili: kobiet, mężczyzn i nawet dzieci, gotowych na największe poświęcenia i czujących się w podziemiu, jak ryby pod wodą.

W 1946 r., w Warszawie, ludzie mówili z uśmiechem: "Musimy tu wytrwać wszyscy na zasadzie przyszłych Wallenrodów". W Budapeszcie w tym samym czasie mówiono: "Trzeba wiać czym prędzej do Argentyny". Jeżeli Rosjanie zajmą kiedykolwiek całą Europę, ostrzegam na tym miejscu rząd argentyński, że Europejczycy powiedzą to samo, co Węgrzy.

Tysiące ludzi pewno przeczyta na Zachodzie książkę Kovacs, pokiwa głową ze zgrozą, albo może stwierdzi, że autor pewno trochę przesadził; może przez zemstę za to, że nie udało mu się zostać węgierskim ministrem spraw wewnętrznych po wkroczeniu Rosjan do Budapesztu.

Dla tych, co "widzieli", ani strona literacka książki, ani osobiste polityczne animozje, czy sympatie autora nie są ważne. Ważne jest na nowo obudzone zwierzęce uczucie strachu.

Ważne jest też, żeśmy się nauczyli, że ludzi można tresować i że wszystkie cnoty, których wspólną cechą było to, że wydawały się nie mieć granic, jak: idealizm, honor, szlachetność, lojalność, bohaterstwo, opór, hart, mają swoje ciasne i to bardzo ciasne granice i znikają z łatwością wobec nowej tresury, jak śmieszne mrzonki.

I choćby z tego powodu będziemy mieli wojnę, której pan Kovacs sobie zresztą nie życzy i której radzi uniknąć.

"Mesdames, Messieurs, c'est votre tour!" (na was teraz kolej panie i panowie!) Tą zachęcającą obietnicą kończy Kovacs swoją książkę, napisaną dla ogłupiałej Europy.

Jedna uwaga, co do tłumaczenia imion i nazwisk węgierskich: niektóre imiona chrzestne tłumacz tłumaczy, inne pozostawia w brzmieniu węgierskim, mimo, że posiadają odpowiedniki francuskie. Poza tym tłumacz czasem przestawia kolejność imion i nazwisk. Węgrzy, jak Chińczycy, wymieniają najpierw swoje nazwisko, a potem imię. Na ogół tłumacz zmienia tę kolejność, ale czasem pozostawia jak w oryginale, przez co nie zawsze wiadomo o jakiego człowieka chodzi, jeżeli się nie zna dokładnie polityków węgierskich ostatnich lat. Z powodu nieużycia czcionek węgierskich wiele nazwisk, imion i nazw miejscowości jest zniekształconych.

Druga uwaga, tym razem prawdopodobnie nie dotycząca już tłumacza: niewiadomo dlaczego wszyscy oficerowie sowieccy mówią z książce Kovacs przez telefon po polsku; nigdy nie wołają: "hallo, da, da", lecz zawsze krzyczą: "tak, tak, tak".

Alexandra ORME.

Kres wędrówki

Tylko ten, kto nie ma schronienia, rozumie bezdomnego; tylko ten, kto dotknął dna nędzy, rozumie nędzarza; tylko człowiek z nizin może współczuć cierpieniom ludu i może lud ten wybawić. Idea to stara jak świat. Spotykamy ją u myślicieli greckich, u mędrców Wschodu, w Starym i Nowym Testamencie. Powraca ona do literatury w okresie tzw. budzenia się mas. U nas wielki jej renesans, trwający po dziś, rozpoczyna Żeromski doktorem Judynem.

Dr Chaim Weizmann, pierwszy prezydent odrodzonego państwa Izraela, jest tej idei urzeczywistnieniem, jej odpowiednikiem z krwi i kości. Jeżeli udało mu się osiągnąć fanatyczny w koncepcji i gigantyczny w zamierzeniu cel stworzenia siedziby narodowej dla bezdomnej, prześladowanej masy żydowskiej, to przede wszystkim dlatego właśnie, że sam się z tej masy wywodzi i że nie zatracił wspólnoty z nią nawet wtedy, kiedy dzięki geniuszowi naukowemu i upartej pracy stworzył sobie taką pozycję, że ofiarowywano mu dom w wielu krajach i od niego osobiście odwrócono całkowicie ostrze antysemityzmu.

Na pierwszy rzut oka wydać się może nieprawdopodobne, że mały Żydek z biednej miejsciny na Pińszczyźnie, w czasach carskich należącej do tzw. "sfery osiadłości" dla Żydów, stał się wielkiej miary uczonym, który w obu wojnach światowych zrobił duży wkład do wysiłku wojennego Aliantów i siłą polityczną, która więcej, niż jakikolwiek inny czynnik osobniony, przyczyniła się do stworzenia państwa żydowskiego. Czytając autobiografię Weizmanna,*) przekonywujemy się niebawem, że osiągnięcie tych szczytów nie było dziełem przypadku ani kaprysem fortuny, choć — jak we wszystkich sprawach ludzkich — i one odegrały rolę.

— Nie jestem Polakiem i nic o Polsce nie wiem. Jestem Żydem i jeżeli chce Pan rozmawiać ze mną o tym, jestem do Pana dyspozycji" — odpowiedział Weizmann ówczesnemu redaktorowi "Manchester Guardian" C. P. Scottowi, kiedy na początku pierwszej wojny światowej znakomity ten dziennikarz, interesujący się ogromnie sprawą polską, spytał go czy jest Polakiem. Istotnie nic on o Polsce nie wie i, z wyjątkiem jednego twierdzenia, nie tyle złośliwego ile wynikającego z ignorancji, a mianowicie, że ziemiaństwo polskie na kresach wschodnich stanowiło pewnego rodzaju klasę *Junkrów*, pozostawia on Polskę w spokoju, ograniczając się do tej masy żydowskiej w Polsce, która była materiałem emigracyjnym dla Palestyny.

Charakterystyczna dla bezpośredniości Weizmanna jest jego reakcja na spotkanie z hr. Skirmuntem, który, jako właści-

*) Trial and Error. The Autobiography of Chaim Weizmann, First President of Israel. Hamish Hamilton, 1949, 21 s.

ciel obszernych dóbr na Pińszczyźnie, był dla chłopca żydowskiego "potężnym dziedzicem", "postacią legendarną". Znalazł się na oficjalnym obiedzie koło Konstantego Skirmunta, ambasadora Polski na dworze św. Jakuba, Weizmann opowiedział mu, jak jako niedorostek kradł jabłka z sadu należącego do dóbr jego czy też jego ojca. Skirmunt przypomniał sobie dwóch wujów Weizmanna, z którymi miał kiedyś interesy...

Dwa dążenia były motorem działania Weizmanna od zarania młodości do dnia dzisiejszego, kiedy ma lat ponad siedemdziesiąt pięć, — praca naukowa i schron dla prześladowanych mas żydowskich. Dążenia te nie tylko biegły zawsze koło siebie, ale były jedno dla drugiego zachętą i bodźcem, a w chwilach decydujących krzyżowały się tworząc mocne ogniwa w łańcuchu, który doprowadzić miał nie tylko do powstania Uniwersytetu w Jerozolimie i dwóch poważnych placówek naukowych — Instytutu Badań Naukowych im. Daniela Sieffa oraz Instytutu Naukowego im. Chaima Weizmanna w Rechowot — ale i do stworzenia państwa żydowskiego w Palestynie.

Ekwipunek dr Weizmann miał dobry: jasny umysł naukowca połączony z uporem autodydakty; wizjonerstwo proroka Starego Testamentu połączone z jednostronnością fanatyka idei; żarliwą wiarę w niezawodność prawdy połączoną z umiejętnością obracania się w świecie wielkiej polityki i dyplomacji; trzeźwe poczucie realizmu połączone ze zrozumieniem, że "ignorowanie sentymentu w imię praktyczności jest równoznaczne z ignorowaniem samej praktyczności"; prostotę człowieka z ludu z godnością człowieka wiedzy.

Ciekawym przyczynkiem do psychologii narodów jest fakt, że Chaim Weizmann, uosobienie cierpiącego Żyda z ludu, nie był nigdy przez masy żydowskie tak kochany, ani nie był wśród nich tak popularny, jak Teodor Herzl lub nawet Max Nordau, którzy byli kompletnie zasymilowani i do kwestii żydowskiej podchodzili ze strony teoretycznej. I znowu żaden z asymilowanych przywódców żydostwa nie znalazł tyle sympatii, zrozumienia i przyjaźni w sferach nieżydowskich, co właśnie dr Weizmann.

O ile Weizmann, który tak dobrze zna masy żydowskie, rozumie ich problemy i tęsknoty, o tyle jest on ślepy na zagadnienia i dążenia Żydów zasymilowanych i jest wręcz niesprawiedliwy, żeby nie powiedzieć wrogi, w stosunku do tych, którzy przyjęli chrzest. Choć słusznie zauważa on, że głęboka religijność i zażyłość z biblią zbliżyły do syjonizmu takich ludzi, jak lord Balfour, Lloyd George czy Winston Churchill, nie docenia on roli, jaką w tym rozwoju odegrał współczesny kierunek myśli chrześcijańskiej. Najbardziej dobitnie został on sformułowany przez Piusa XI, kiedy powiedział we wrześniu 1938 r.: "Antysemityzm jest ruchem, w którym chrześcijanie nie mogą brać żadnego udziału... Antysemityzm jest niedopuszczalny. Duchowo, my chrześcijanie, jesteśmy Semitami". Stąd prosta

linia prowadzi do tezy jasno sformułowanej przez Jacquesa Maritaina, że chrystianizm jest rozszerzeniem i spełnieniem judaizmu.

Miarą wartości, a może i wielkości ludzkiej Weizmanna jest fakt, że mimo ostrej krytyki, jakiej poddaje politykę angielską w Palestynie między wojnami, a już szczególnie po drugiej wojnie światowej, angielscy recenzenci jego autobiografii mieli dla niego osobiście tylko słowa najwyższego uznania. A byli wśród nich takie osobistości, jak Sir Charles Webster i Harold Nicolson, którzy ex officio mieli wielokrotnie możliwość poddania jego charakteru próbie szczerości.

Droga Weizmanna ciężka była i zwycięstwo odniesione ma posmak piołunu: z Żydów wschodnio-europejskich, dla których on zbudował dom w Palestynie, pozostała garstka tylko, — Niemcy wymordowali ponad sześć milionów, — i teraz musi on apelować do Żydów amerykańskich, aby z wielkiego swego rezerwuaru ludzkiego zasilili młode państewko Izraela.

Jednak jest on rzadkim wybrańcem losu, któremu dane było stać u kolebki ruchu syjonistycznego, przejść z nim przez wszystkie fazy i w chwili jego urzeczywistnienia stanąć z woli narodu na czele nowego państwa.

Helena HEINSDORF.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Bibliografia

Polonica niemieckie od 1.IX. 1939 do 31. XII. 1948 roku

Kalendarzyk na rok 1946. Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe w Fuldzie, 1945. Str. 64.

Kalendarzyk na rok 1946. Wydane przez Komitet Wydawniczy przy Polskim Stowarzyszeniu b. Więźniów Politycznych Niemieckich Obozów Koncentracyjnych, Monachium 1945. Str. 44. (Nakł. 50.000 egz.).

Kalendarzyk na rok 1947. Wydane przez Wydawnictwo «Stowo Polskie» w Monachium-Dillingen 1947. Str. 20 + 126. (Nakł. 10.000 egz.).

Kalendarzyk na rok 1946. Wydawn. «Dziennik Polski», Regensburg 1945. Str. 16.

Kalendarzyk na rok 1947. Wyd. Zjednoczenie Polskie na terenie okupacji brytyjskiej w Niemczech. Hanower 1947. Str. 20 + 1 nlb.

Kalendarzyk na rok 1947. Wydawn. Zjednoczenia Polskiego w Bramsche 1947. Str. 20.

Kalendarzyk na rok 1947. Wyd. Zrzeszenie Ośrodków Polskich Bawarii Południowej i Szwabii w Monachium 1946. Str. 38 + 8 nlb. (Nakł. 30.000 egz.).

Kalendarzyk polski na Obczyźnie 1947. Schwäbisch Gmünd 1946. Str. 64. (Nakł. 1.000 egz.).

Kalendarzyk polski 1946. Nakład. Ks. Ign. Rabsztyn, Schwäbisch Gmünd 1945. (Nakł. 5.000 egz.).

Kalendarzyk Polaka na Obczyźnie 1947. Wydawn. Ks. Ign.

Rabsztyna Schwäbisch Gmünd-Lorch/Württ. Wydanie II. Domu Książki Polskiej w Stuttgart 1947. Str. 96. (Nakł. 10.000 egz.).

Kalendarzyk Polaka w Niemczech na rok 1948. Wydawn. «Jutra Pracy» Lippstadt 1947. Str. 40.

Kalendarzyk — Terminarzyk na rok 1948. Dodatek Informatora Polskiego Wysiedleńca i Emigranta. Wydano Zjednoczenie Polskie na terenie okupacji brytyjskiej Niemiec. Osnabrück-Fernblick 1948. Str. 64.

(C. d. n.)

Jan KOWALIK.

OŚWIADCZENIE REDAKCJI

Stała się rzecz przykra. P. Zbigniew Florczak, którego parę artykułów „Kultura” zamieściła w roku ubiegłym, wrócił do kraju. W N-rze 5-tym reżimowej „Nowej Kultury” znajdujemy nawet jego krótką recenzję z „Przeglądu Artystycznego”.

Jeżeli dla określenia faktu powrotu p. Florczaka do Kraju użyliśmy słowa „przykry”, to nie dlatego żebyśmy się potępiając ustosunkowali do każdej decyzji wyjazdu do Polski. Od chwili gdy manewry politycznych kapitulantów przekreśliły możliwość odegrania przez emigrację polską roli zbiorowego czynnika oporu i protestu i oddały okupantom nieocenione usługi, a karygodna — by nie użyć ostrzejszego określenia — lekkomyślność, zakłamanie i „wiszfultinkostwo” przywódców i niektórych organów prasowych tę emigrację rozładowało, nie możemy dziś osądzać jednostek, które rezygnują z dalszego pobytu na uchodźctwie. Walka z bolszewizmem musi być dziś prowadzona innymi drogami i źle byłoby, gdyby uzależniać ją od indywidualnej postawy czy załamania jednostki.

„Przykrym” nazwaliśmy ten fakt ze względu na osobę samego p. Florczaka, którego ocenialiśmy jako pisarza inteligentnego i czujnego. Nie znając go osobiście (jak, zresztą tylu innych publicystów i pisarzy, drukowanych w „Kulturze”) nie zrozumieliśmy, że to co pisał p. Florczak o emigracji, było nie tylko wynikiem jego obiektywnej obserwacji, lecz i jego wewnętrzne dramatu, potrzeby „osobistej i publicznej myśli, jakiejś myśli uczciwej, i nie tej naturalnie, której powaga kończy się za słupkami granicznymi danej grupy narodowej czy kulturalnej” (jak to pisał w jednym ze swych najlepszych artykułów drukowanych zresztą nie w „Kulturze”).

P. Florczak nie umiał znaleźć w samym sobie dostatecznie dużo siły i odwagi, by zdobyć się nie tylko na walkę ze złem absolutnym, ale i z tymi przeciwnościami, które trafnie oceniał na terenie samej emigracji. Jego rezygnacja jest świadectwem zjawiska na które nie możemy zamykać oczu, a mianowicie:

jeżeli spojrzeć bez okularów na rzeczywistość naszej emigracji politycznej, na jej możliwości organizacyjne, intelektualne i moralne, to rzeczywistość ta przerazi każdego, nie posiadającego dostatecznej wiary we własne siły. Nie mamy prawa wymagać od każdego, by wierzył w zwycięstwo samych impoderabilii zasad czy hasel, jeżeli nie są one wykładnikami czynu, jeżeli za nimi nie idzie przemyślana i konsekwentna akcja.

I z tego tytułu „sprawa” p. Florczaka jest ważna i warta zastanowienia.

Reakcja części prasy emigracyjnej na powrót p. Florczaka poszła w innym kierunku. Przede wszystkim dano pełny wyraz „schadenfreude” i próbowano ten powrót w jakikolwiek sposób związać z „Kulturą”. Po wtóre, dano niewiadomo już po raz który upust tym znakomitym zdolnościom detektywistycznym, dwójkarskim, cenzorskim etc., które, niestety, coraz częściej zaczynają występować na łamach naszej prasy emigracyjnej, a które właśnie powodują m. in. i takie „haniebne fakty”, jak powroty do Kraju. Nie każdy ma ambicje współpracowania z rodzinnymi donosicielami i cenzorami i woli już być „podo-piecznym prawdziwej Bezpieki”.

Ala reakcja ta nie może oczywiście w niczym zmienić ani całości, ani stylu pracy „Kultury”. Nadal będziemy drukowali każdą analizę rzeczywistości, każdą krytykę, każdą ocenę sytuacji jeżeli będziemy mieli przekonanie, iż autorem kieruje uczciwość, dobra wola i jeżeli będziemy uważali iż ocena ta czy krytyka będzie w najmniejszym stopniu pomocna przy krystalizowaniu się programu i taktyki walki o niepodległość i nowe oblicze świata.

REDAKTOR.

Cena ogłoszeń: cała strona 6,000 fr. fr.; ½ strony 4,000 fr. fr.

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopiśma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
V. BRYTANIA: "GRYP", Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, LONDON E.C. 1.	3 sh.	16 sh.	39 sh.
VŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
ZWECJA: Red. Norbert ZABA, Kalkskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	22 kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN, Polish Camp Schwabenhof ..	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	4 peso	24 peso	48 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Przedstawiciel na Stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave., BROOKLYN 15, N. Y. Przedstawiciel na Stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos Campan, DETROIT 11, Mich. Przedstawiciel na Stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 4917 West 24th Place, CHICAGO, 50 Ill. Przedstawiciel na pozostałe Stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 9, Oxford Street, CAMBRIDGE 38, Mass. Przedstawiciel na Stan California — L. DUDAREW - OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California	75 cent.	4 dol.	6 dol.
ELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	20 bfr.	100 bfr.	180 bfr.
FRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	4 sh. (a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
RAZYLIA: Prenumeraty przyjmuje: Julia, BARCÍŃSKA, RIO DE JANEIRO r. Erasmo Braga 227 s. 214	15 cruz	90 cruz	150 cruz
ISZPANIA: Jan STASZEWSKI, Goya 6, MADRID	15 pts	90 pts	160 pts

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LITERACKIEGO

ADAM MICKIEWICZ
KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA

HENRYK SIENKIEWICZ
LEGIONY

STANISŁAW SZPOTANSKI
PROMETEUSZE

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI
MIASTO MOJEJ MATKI

LEON BLUM
NA MIARĘ CZŁOWIEKA

PAWEŁ HOSTOWIEC
DZIENNIK PODRÓŻY DO AUSTRII I NIEMIEC

STANISŁAWA KUSZELEWSKA
KOBIETY

JÓZEF CHAŁASIŃSKI i JAN ULATOWSKI
PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ INTELIGENCJI POLSKIEJ

SERGIUSZ PIASECKI
JABŁUSZKO
NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA
SPOJRZĘ JA W OKNO...

TADEUSZ FELSZTYN
ENERGIA ATOMOWA

WAĆLAW SIEROSZEWSKI
BENIOWSKI

ARTHUR KOESTLER
KRUCJATA BEZ KRZYŻA

ANTOLOGIA NOWELI WOJENNEJ (1939-45)
W OCZACH PISARZY

BOLESŁAW MICIŃSKI
PORTRET KANTA I TRZY ESSAYE O WOJNIE

JAN BIELATOWICZ
BRYGADA KARPACKA
PASSEGGIATA

STANISŁAW GRYZIEWICZ
SRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

WERONIKA HORT
TUŁACZE DZIECI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

MELCHIOR WANKOWICZ
KLUB TRZECIEGO MIEJSCA

MARIAN KUKIEL
KSIĄŻĘ ADAM

JAMES BURNHAM
WALKA O ŚWIAT

Cena 120 frs.